





# Z ZA KULIS TEATRU

*Artystkom i Artystom  
Scen polskich  
Pracę moją poświęcam*







*Józef Kotarbiński*



LUCYNA KOTARBIŃSKA

# Z ZA KULIS TEATRU

WSPOMNIENIA I REFLEKSJE

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

W A R S Z A W A

1 9 3 3

525 d2b

322053

I

K-70/10470

7.5.

30,-



---

Zakłady Graficzne A. Konarzewskiego, Senatorska 30.

## SŁOWO WSTĘPNE.

Kusząc się o kreślenie moich wspomnień i refleksji z teatru, muszę zastrzedz, że będą to uogólnienia, wypływające z czysto osobistych i towarzyskich stosunków łączących mnie z Artystami. Byłoby bowiem z mej strony zrozumieniem, więcej nawet, zuchwalstwem, gdybym ważyła się wydawać sądy, o ich artystycznych wartościach, które jednak nauczyłam się wyczuwać, cenić i podziwiać, ale o nich nie wyrokować, zostawiając to powołanym.

Jeśli podjęłam tę pracę to dlatego, głównie, że mam dużo osobistych wrażeń i wspomnień z obcowania z artystami, i że notatki moje dla kogoś, kto będzie pisał historję rozwoju teatru w Polsce, mogą rzucić pewne światło na zakulisowe nasze stosunki, z onej epoki, która miała istotnie wyjątkowy charakter. Mogą dostarczyć jakiegoś zapomnianego szczegółu. Mogą w perownym sumarycznym obrachunku, dać obraz naszego współżycia w Krakowie, o którym zamsze mówiłam: „jeszcze chwila, a kto wie, czy nasze „zakulisy“ nie zamienią się w oazę chrześcijańską pełną braterstwa i miłości“. Bo tak tam było.

Zgodnie, pogodnie, i prawie zamsze wesoło. Każdy

*tam, z jakimś mołem w głębi zaszytym borykał się niezawodnie. Jeśli można było, nieśliśmy sobie wzajem ratunek, żeby go usunąć. Jeśli nie — to trudno! I tak żyć trzeba.*

*Nienawiści, komeraży, zazdrości, kwasów — mało pamiętam u nas za kulisami. A jeśli były — to się je traktowało, jak się traktuje drobne a nieuniknione, codzienne wydatki. To, co z zewnątrz czasem napływało — trawiło się dość szybko. Wewnątrz praca zabijała wszystkie niezdrowe bakcyle, o ile się pojmiały, i była tem błogosławieństwem życia, jakie dane jest człowiekowi dla godnego odbycia ziemskiej wędrówki.*

*Stale przebywanie w teatrze przez lat kilka, zbratanie się z atmosferą teatralną przez całe życie, pozwalała mi na zanotowanie i skreślenie charakterystycznych cech pracy za kulisami oraz znamiennych rysów niektórych, bliżej znanych mi artystów, pracujących z Mężem moim w Krakowie. Będą wśród nich wielcy i mali, będą maluczcy, może nawet bezimienni. Nie będzie tylko nikogo, kto by nie miał miłości dla sztuki czy sceny, a to nas łączyło.*

*Przez lat sześć razem wędrowaliśmy do jednych celów; służby dla sztuki, zarosze z wermą, humorem i wiarą, że chociaż często szło coś, „jak po grudzie“, to jednak rezultat był zamsze: „jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie“.*

L. K.

Dn. 20. X. 1932 r.



## „BRAC” AKTORSKA.

Cofnę się nieco wstecz, w świat, z którego wyszłam. Dziadek mój, Stefan Baliński, ukraińiec, ożeniony z Apolonją Bieńkowską, był profesorem architektury w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Umarł 1827 r. Kochał rysunek, malarstwo, skrzypce i... widocznie kobiety, bo był potrójnym recydywistą, w małżeństwie. W domu kwartety co każdą niedzielę. A trzy piękne panny, z których jedna była potem moją matką, chowały się w atmosferze pracy i artyzmu.

W domu dziadków moich, mieszkających wówczas w pałacu Paca przy ulicy Miodowej, bywali artyści Marcin Olsztyński, Franciszek Kostrzewski i Wojciech Gerson, którego młodzieńcze portrety naszych matek i ciotek przechowujemy z petyzmem w rodzinie.

Stąd też zamiłowanie do literatury i sztuki żyły w domach, które te córki stworzyły i które, z kolei, przekazywały swym dzieciom.

Moich rodziców straciłam wcześniej. Dom ciotki naszej, Kamili, żony Władysława Rudzińskiego, reagenta w Koninie, z najstarszą córką Stefanją, później Felicjanową Leśkiewiczową, założycielką pierwszej polskiej szkoły w Koninie, istniejącej po dziś, jako gimnazjum

państwowe, był rozsadnikiem kultury w mieście; w nim nieraz znajdowałam gościnę podczas świąt i wakacyj. Toteż kiedy, po pierwszym etapie życia, zostałam naręczoną Józefa Kotarbińskiego, — maleńkiego synka z pierwszego małżeństwa, wzięłam na ręce i jechałam z tą radosną dla mnie nowiną do moich Wujostwa — po Ich błogosławieństwo.

— Dobrze, że wychodzisz zamaż, mówił mi ze zwykłą flegmą i dobrotliwością, a podszytą serdeczną nutą, mój drogi wuj. Kobiecie źle na świecie samej. Ale rób to moje dziecko rozważnie, bo przysłowie mówi: zgubił dziad torbę — nie płakał, znalazł dziad torbę — nie skakał. Żebyś przypadkiem przedwcześnie nie skakała. Bo choć on może i wykształcony i, mówicie, porządny człowiek, a serce się ku niemu skłania, zawsze to tylko aktor. Nie wiadomo jak to tam może być.

Tak mówił wuj.

A kumy?

Trajkotały jak najęte.

— Bój się pani Boga! Co pani robi najlepszego. Przecież to inna sfera, inni ludzie. Jak się pani z tem zżyje, jak się z tem pogodzi? — biadała jedna.

— Nie boisz się zostać żoną aktora? Jaby tam umarła, żebym wiedziała, że mój mąż co wieczór całuje się z inną kobietą — gorszyła się druga.

Jeszcze inna prawila:

— Mogłabyś przecie wyjść za obywatela, człowieka bogatego, kupić sobie i dziecku spokój, mieć bez troski wszystko, a ty sobie coś uprojektowałaś z tym Kotarbińskim, na własne nieszczęście, bo — pominąwszy już wszystko — będziesz jeszcze miała, napewno, raczą biedę.

Nie wiedziała co prawda, że ten „bogaty człowiek“, za którym adwokatowała, był nawet sympatyczny, ale cóż? powiedział kiedyś w rozmowie zamiast: „niespodziewanie“ — „niespoźdianie“ i tem przepadł dla mnie i swoich dobrych względem mnie zamiarów — na wieki.

Zresztą mnie też chowała moja matka, z tego gniazda ród wiodąca, w którym artyzm szanowano. Matka, której jako podarunek, nie suknię przywiózł ojciec mój z Paryża, ale całkowite wydanie Wiktora Hugo, z niego jeszcze dwadzieścia parę tomów stoi na mojej półeczce pamiątek. Matka, która nas uczyła listów Kremiera na pamięć, bo w domu był kult pięknej mowy, zagrożonej wówczas wprowadzeniem języka rosyjskiego w uczelniach i ojciec, który kładł nacisk na naukę muzyki, a jeszcze większy na naukę rysunku. A Kołarbiński przyniósł mi Słowackiego! Na scenie grał w „Mazepie“ Zbigniewa! A w naszym mieszkanku wieczorem mówił:

Ach ta róża! ach ta róża!  
Co się w twoje okno wdziera,  
Na pokusy mnie wystawia,  
Sen i spokój mi odbiera...

— — — — —  
I te usta, co miłośnie  
Wpółotwarte — chcą czarować...  
I rozważam: co za rozkosz  
Takie usta pocałować!

Więc wszystkiego wysłuchiwałam co mi o nim mówiły kumy i wyszłam czempredzej — „za aktora“, odbierając, od mego ukochanego Mistrza, Wojciecha Gerso-

na w dzień ślubu list, pełen wskazań na drogę życia — „z Artystą“.

Jako cywil, nie mogłam iść w szeregach tej armji, do której Mąż się zaciągnął. Ale natomiast mogłam tem łatwiej obserwować jej cechy — śledzić ruchy, ogarniać teren, na którym ona rozwijała swą działalność, a która mnie żywo obchodziła, bo była terenem pracy i umiłowania mego Męża.

\*

\*

\*

Pierwsze lata naszego życia w Warszawie dały mi poznać artystów, którzy łaskawie nawiedzali nasz dom i z którymi stykałam się — nazewnątrz, chwilowo. Ale dopiero wyjazd do Krakowa, potem objęcie Teatru krakowskiego przez mego Męża, pozwoliły mi zbliżyć się bezpośrednio do życia zakulisowego, w którym przez lat sześć bywałam od rana do nocy.

Nie grałam sama na scenie, ale przeżywałam wszystkie wzruszenia, jakich dostarcza życie teatralne.

Widziałam wielkie usiłowania i wielką pracę, widziałam lekceważenie jej i próżniactwo. Talent i jego zdobytcze. Jego poszanowanie i sponiewieranie go. Widziałam dobrą i złą wolę. Dobrą i złą dole.

Cieszyłam się radościami i płakałam z niejednem nie-szczęściem. Porywała mnie na skrzydłach poezja w nadziemskie krainy i waliła o ziemię proza.

Widziałam ciche dramaty i głośne komedje. Patrzyłam na Małgosie, rzadziej na Faustów, bo ci operowali nazewnątrz, a biedne Małgosie znosiły za to wszystkie konsekwencje ich zabiegów do teatru.



Widziałam zbliżona duży nakład pracy zbiorowej. Patrzyłam jak na turniej, na złe, dobre, szlachetne i marne instynkty mocujące się ze sobą, a wszystko z takim jakimś gwałtownym pośpiechem, w tak nagłym, szalonym tempie, że robiło to na mnie wrażenie nawałnicy, którą, sama porwana, razem z innymi lecę, a huragan to nas wzbija w górę — to wali o deski sceny, szumi, wyje, huczy, że jedno drugiego czasem nie słyszy, a pędzi jak rozszalały naprzód, dalej, prędzej, bez oddechu, bez wypoczynku. Bo takie jest życie teatralne, zwłaszcza na mniejszych scenach. Nieobliczalne, pełne niespodzianek, z gorączkową pracą, nieomal ciągle w podniesionej temperaturze, bo wcielające, co tydzień, innych natchnień dzieła.

Dla czego tak jest? Czy brak porządku, planu, czy brak systematu w pracy?

Oczywiście, nie jest to biuro, i szczęście — dopóki nim nie jest.

Sławna artystka, której czarem, w swoim czasie, upajali się ludzie, Romana Popiel-Święcka, była raz u nas w teatrze krakowskim, na sztuce: „Zaczarowane Koło“, Lucjana Rydla, za kulisami. Robiła, po koleżeńsku, uwagi aktorom o ich grze, o co ją sami prosili. Byłam świadkiem, jak w garderobie p. Marji Przybyłko, grającej ślicznie wojewodziankę z czarem i zwykłą jej artystyczną prostotą, powiedziała:

— Robicie może błędy, ale, na szczęście, niema między wami urzędników, są -- artyści.

Otóż, pewien ład jest i być musi w należycie artystycznie zorganizowanym teatrze. Ale pamiętać należy o tem, że, w owym teatrze, jest przedewszystkiem napływ różnorodnych elementów, biorąc je tylko za-

wodowo. Są zastępy sił pomocniczych: malarz-dekora-  
tor, im większy artysta tem lepiej. Jest elektrotechnik,  
maszynista, rekwizytor, krawiec, fryzjer. Każdy w kil-  
ka, czasem kilkanaście osób do pracy. Cały zastęp lu-  
dzi, ocierających się o artyzm, ale których praca musi  
być poniekąd zmechanizowana. Oni przygotowują te-  
ren, który pod okiem reżysera powinien być artystycz-  
ny, a na którym dopiero aktor pełni służbę swą dla  
Sztuki i wypełnia scenę swą indywidualnością w róż-  
nych odmianach. Tu już o żadnem zmechanizowaniu  
nie może być mowy.

Tu więc bywał artysta inteligentny i utalentowany,  
i aktoreczka, która z samą techniką czytania nie dosyć  
się jeszcze zżyła.

Była, dajmy na to, aktorka inteligentna, z doskonałe-  
mi manierami, arcyzajmująca w życiu, ale... nudna na  
scenie, bo nie miała talentu. I, dziewczyna ordynarna,  
ze środowiska, o którem lepiej nie mówić, która talen-  
tem buchała. Bywa aktor, który miał być księdzem. Ba!  
nawet bywa taka aktorka, która przyszła jako wycho-  
wanka klasztoru. Cudnej urody, dziwnej dobroci i ła-  
godności — czyjaś metresa, o czem świadczą brylanty  
i niewspółmierny do dochodów tryb życia. Bywa po-  
rządna, z uczciwej mieszczańskiej sfery, zła jak piekło,  
cnotliwa, aż strach — mężatka, trująca każdą chwilę  
życia zahukanemu, zacnemu człowiekowi, mogącemu  
jednak chlubić się jej cnotą, o której mówiła p. Lüde-  
Żmurko, że „jest to doskonały przymiot na domowy  
użytek“.

I aktor, który istotnie uważa teatr za świątynię a służ-  
bę w niej za kapłaństwo. Aktor, który kocha sztukę,  
scenę, twórczość i aktorską i literacką — ponad wszyst-

ko. Jednego z takich znałam blisko. Patrzył zawsze wzwyż i wdał. Dlatego pewno nie dopatrzył niejednej wady i ułomności tych, którzy byli obok niego. I szedł pogodny, ze swem miłością dla sztuki przepełnionem sercem, ufny i hojny w podziale swych zasobów i swego wewnętrznego zapału — wśród otoczenia.

Bywa, poza wybitnymi jednostkami, cały, zresztą, szereg pracowników pożytecznych, w różnej mierze uzdolnionych, ale zawsze z pewnymi aspiracjami w dziedzinie sztuki.

Gatunkowa zaś różnorodność wśród artystów wynikała dotąd z tego, że przyjęcie do jakiegokolwiek instytucji, jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, rzemiosła nawet, normowały pewne z góry wymagane warunki. Wstępu na scenę, u nas, dotychczas nie normowało nic.

Wstępem na scenę, kierowało tak zwane „zamiłowanie“, a potem dopiero scena decydowała o przyszłości — ujawniając talent lub jego brak. Ale talent — a ład w pracy, talent — a poczucie obowiązku, talent, słowem, a człowiek, to wszystkie dalekie od siebie pojęcia zawsze prawie i wszędzie tam, gdzie się zjawiają. Cóż dopiero tu na scenie, gdzie, istotnie, samowładnie panuje.

Dziś jest już inaczej.

Dziś już ten talent jest ujmowany w karby pewnego wykształcenia, wiedzy własnej i wiedzy reżyzerskiej, nie zostawiony samym porywom natchnienia i intuicji.

Dziś, obowiązek jest już czemś obowiązującym.

Dziś już zanikł typ aktora, który mówił: „zachoruję, cóż mi zrobić“, i zachorowywał i nic mu nikt zrobić nie mógł.

Związek Artystów Scen Polskich, jedno z najlepiej

zorganizowanych stowarzyszeń, niezawodnie ma w tem dużą zasługę. Gromada zobowiązuje. Regulamin i paragraf kładzie pęta na nasze nieuniknione krzywizny. Prostujemy się.

I dziś stwierdzić mogę, żyjąc wśród aktorów i z aktorami, olbrzymie zmiany, jakie poczyniła ewolucja w naszej gromadzie, tak w kierunku intelektualnym, jak i etycznym, zdobywając stanowisko w społeczeństwie należne aktorowi-artystcie i obywatelowi.

Toteż nigdy nie miałam powodu żałować, że los zbliżył mnie do teatru i nigdy żałować, mimo groźnych przewidywań najbliższych, że los złączył moje życie z aktorem — artystą — obywatelem.

Dawniej aktorska drużyna, najczęściej, rekrutowała się z ludzi o nieustalonych planach życia.

Nieukończone szkoły, brak wytrwałości w jakimś fachu, pchały do teatru tego, kto z domu nie wyniósł wiele, często nic, bo go nie miał.

Dziś musi mieć skończoną szkołę dramatyczną, do której nie może wejść bez odpowiedniego przygotowania.

Czterdzieści cztery lata terminowałam przy teatrze. W pierwszych dziesiątkach mego z nim pożycia, wykształconych ludzi spotykałam w nim nie wielu. Ale wielu spotykałam z tą artystyczną inteligencją, która często zastępowała metodyczne wykształcenie. „Aktorowi więcej potrzebny łut talentu, aniżeli funt rozumu” mówił mój Mąż. A, choć Szekspira studjował rzetelnie, a Hamleta w szczególności, mając go grać — odrzucił wszystkie komentarze, wgryzł się tylko w każde słowo tekstu i krytyka przyjęła go bardzo pięknie.

A w długie lata po jego występie w Krakowie, Artur



Górski, przesyłając mu swój szczytny dramat „Śluby“ (w r. 1929) pisze:

„Kochanemu panu Józefowi, w podzięcie za Hamleta, granego przez pana za mych uczniowskich czasów w Krakowie, tę książkę, z prośbą o jej przyjęcie, przesyła autor“.

Bardzo cenne.

A że wszystko się w świecie zdarza, więc, sprawdziłam to osobiście, że jeden z wybitniejszych nawet artystów w Krakowie nie czytał sztuki, w której grał w ostatnim akcie. Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe. I to właśnie dziś — jużby się stać nie mogło. Dziś aktor i uczy się i czyta i gromadzi bibliotekę. Czyta jednak, nie czyta, kształci się lub nie, na deskach robi cuda, najmniej często oczekiwane i spodziewane.

Widziałam, w zaraniu pracy Jerzego Leszczyńskiego, świetnego dziś i poważnego artystę, któremu wszyscy wówczas mówili nawet nie Jurek, ale Jureczek, bo był prawie chłopaczkiem tylko, nawet jeszcze nie młodzieńcem.

Był to wieczór, złożony z jednoaktówek, młodego wówczas autora, Adolfa Nowaczyńskiego. Dawano: „Miłosierdzie ludzkie“, „Prawo Mimikry“, „Hamlet“ i „Don Juan“.

Leszczyński nie mógł mieć jeszcze pełnego pojęcia o tych przeżyciach, których na scenie miał być przedstawicielem w „Hamlecie i Don Juanie“. Niepospolity, już wtedy, talent Autora, dał postać głęboko odczuta, sceptyka, melancholika, cynika wytwornego i subtel-  
nego.

Jak ten Jurek to grał!

Do dziś go widzę.

Od charakterystyki, która daleka od wszelkiego szablonu, dawała pyszną maskę zblazowanego młodzieńca, do każdej pauzy. Wydawało się, że to człowiek, który morze goryczy wypił, którego usta dotykały wszystkich czar i napojów i po nich tylko pogardliwe, spokojne jakieś wyczerpanie zostało.

Półwestchnienie, półskrzywienie, leniwe powolne ruchy. Papieros długo otrząsany, jakby jednocześnie z tym popiołem otrząsał myśl niedopowiedzianą, bo mówić — nie warto. Wszystko było skończenie artystyczne, inteligentne, wytworne. Jak do tego doszedł? Na próbach dowcipkował, ba! błaznował czasem, wyprowadzając, serjo pracującego reżysera Waleskiego z równowagi. Przed rolą grał w tenisa, po roli wypijał „bombkę“, jedną, drugą.

Czy i co myślał? Może obmyślał?

Nie mógł wtedy myśleć. Nie miał na to czasu. Nigdy o niczem nie myślał. Był dobrym, ładnym chłopcem. Miał kochających go rodziców. Panią Honoratę zwłaszcza, wpatrzoną miłośnicie w jedynaka. Otoczony sympatją nas wszystkich. Lubił i miał za co się ubrać, nosił pyszne krawaty. Radował się życiem — oto jego ówczesna treść.

Więc gdzie i w czym tkwiło słowo zagadki?

Miał talent — oto wszystko.

A jednak Juljusz Osterwa, kiedy go pytam:

— Ma pan talenty w swoim zespole — odpowiada mi:

— A po co?

Zapomina, ile winien własnemu. Zapomina, że właśnie przy wrodzonym wdzięku osoby i głosu, tylko talent czyni go znakomitym aktorem, pomysłowym reżyserem, fascynującym całe swe otoczenie dyrektorem.

O tem nie pamięta. I zapomina, że właśnie ten talent robi cuda, choć bywa czasem i strasznym tyranem. Jeśli jest nie ujęty w karby przez etykę, nie pogłębiony wiedzą, nie wsparty charakterem, a w dodatku, jeśli rozwija się na tle natury złośliwej lub choćby kapryśnej, czyni z istoty ludzkiej małego potworka. Rośnie wtedy pycha i samoprzecenianie się, a przy obojętności na sprawy całego świata poza sobą, swoją rolę, swem powodzeniem, a więc i swoim głupstwem, tym, których jakikolwiek węzeł połączy z taką parodią człowieka, czyni życie wprost nieznośnem — a i taki bywa czasem.

Mimo to, ten talent, w państwie sceny, jak każdej zresztą sztuki, można powiedzieć wszystkiego na świecie, jest siłą rozstrzygającą wszelakie sądy i pociągającą tłumy na teren, na którym się ukazuje. Nęci on, zachwyca, czaruje.

Dziś zmienił się nieco wyraz tych podniet, jakie wywołuje, bo mamy inne upusty dla temperamentu. Rozszerzyły się horyzonty demonstracyj uczuć i osobiście i zbiorowo. Ale dawniej, w żadnej dziedzinie nie ujawniało się takie zainteresowanie, nie tworzyły się szeregi tak namiętnych wielbicieli i przeciwników, jak w dziedzinie sztuki teatralnej.

Aktor jest ciągle na widowni i ciągle — pod sądem, nie tylko tego, jak gra, ale jednocześnie i tego co gra, bo im lepiej gra, tem bardziej identyfikuje się treść sztuki z jego osobą. I stąd, według mnie, często wynika nadmierne może przecenianie siebie. Zagrał rolę. Świetnie ją zagrał — prawda. Ktoś inny bez jego talentu tę sztukę zgubi. Ale w najbliższym do niego promieniu, są przecie ci często niedoceniani przez niego a coś warci — autorowie. O nich prawie, że nie myśli.

Wprawdzie, Jan Kochanowicz, zajmujący aktor modernistyczny, mówi mi: „Autor jest zupełnie niepo-  
trzebny dla sceny“ — ale na koncercie, — za czytanie,  
tylko za *czytanie* Meterlinka, w co kładł skupienie  
i wielki wysiłek wewnętrzny, *aktor*, czytający *autora*,  
zbierał huczne oklaski.

Bo jednak inaczej być nie może, tylko tak, że aktor  
chodzi *zawsze* w blasku twórczym autora, do którego  
dodaje talent i zdobył nim sławę własną. I że dopiero  
ten snop światła, który autor rzuci w jego utalentowa-  
ną duszę — promienieje jego odtwórczą, często twórczą  
pracą, na słuchaczy ze sceny. Miara talentu wykonaw-  
cy decyduje bezsprzecznie o sile tego promieniowania.  
Od tego, jak pojmie, czy jak odgadnie dany moment  
psychiczny, co wydobędzie z tej lub z owej, często słab-  
o nawet skreślonej postaci czy sytuacji przez autora,  
a wychodzącej świetnie na scenie, zależy często powo-  
dzenie dzieła, ale posiew choćby najbardziej natchnie-  
nej kreacji talentu aktora, zdaje mi się, będzie zawsze  
w znacznej mierze zasługą tego, kto tę wyobraźnię za-  
plodnił.

Byłam kiedyś w Neapolu na dwu, bardzo interesują-  
cych przedstawieniach, stwierdzających to, co powie-  
działam. Jedno odbywało się w teatrze popularnym.  
Grano sztukę, widocznie jedną z takich, którą publicz-  
ność, jak to mówią, zna na pamięć, ale przychodzi tłum-  
nie jeszcze raz jej wysłuchać — może odpowiadającą  
naszemu: „Kościuszcze pod Racławicami“ Anczyca lub  
„Obronie Częstochowy“ Juljana z Poradowa.

I oto, kiedy ukazuje się „fabrykantka aniołków“, aby  
ukraść dziecko, spokojnie śpiące w kołysce, wybucha  
burza. Publiczność krzyczy, gwizdże, ryczy. Na scenę



padają jajka, skórki pomarańcz, badyle, słowem dzieje się coś, czego nigdy nie widziałam i trwa, dopóki nie spadnie kurtyna. Aktorka nie dochodzi do słowa.

A drugi raz, już w poważnym teatrze i to na pięknej poważnej także sztuce: „La citta della morte“ (Miasto śmierci), na której gościnnie występowali Eleonora Duse i Zacconi, a był obecny autor D'Annunzio. Otóż, kiedy, po drugim akcie, już wiemy, że ślepy mąż jest okłamywany przez brata Aleksandra, dla którego zdradza go żona, a przed kurtynę, na oklaski, wychodzą wszystkie trzy postacie, publiczność inteligentna (taki ma przynajmniej pozór) zaczyna, niby huragan, krzyżeć: „a basso il Alessandro, a basso, a basso“! (precz z Aleksandrem, precz, precz!) i nie uspakaja się, dopóki nie wychodzi sam ślepy mąż. dla którego znów oklaskom niema końca.

Tak. Aktor, o ile zawód swój podniósł do godności artyzmu, jest i będzie zawsze przedstawicielem wielkiej sztuki i podniosłych wrażeń. Dobra gra będzie zawsze zwiększała sławę autora, ale, o ile patrzałam na to przez ostatni lat dziesiętek, zainteresowanie się sceną, aktorem, aktorką, uległo pewnej zmianie, i na ogół według mego skromnego zdania, ma już swój głębszy podkład, niż uwielbienie jednostki.

Teatr jest tem łożyskiem, przez które przepływa szereg dokumentów życia. Jest zreasumowaniem przez sztukę dramatyczną tych drobnych atomów, które krążą w atmosferze każdej epoki, jest odtworzeniem postępów kultury, rozwoju psychicznego i etycznego danej chwili, jest najwszechstronniejszą a najłatwiej podana ilustracją — zdobyczy ducha danego momentu.

Więc ci, którzy najbezpośredniej z robotą tego ducha

twórczego są złączeni, skupiać muszą uwagę tych, którzy zdają sobie z tego sprawę, a nawet tych, którzy sobie z tego sprawy jasno nie zdają, że, oklaskując aktora, oklaskują także i dzieło, co zresztą, obu twórców obowiązuje jednako i żadnego nie obniża.

Nie obniża ani trochę znaczenia stanowiska artysty, podnosi tylko widza, który zrozumiał, że świat jest pełen skarbów boskich i ludzkich dokoła i że dobrze sięgnąć myślą w głębie dusz artystycznych i z ich twórczym lotem wybiedz czasem w bezkresne przestrzenie ducha.

\*

\*

\*

Środowisko, w jakim się rozwijamy, stanowi o naszym urobieniu fizycznym i duchowym, i na każdej grupie ludzi, poświęcającej się pewnej pracy zawodowej, odciska się jakieś ogólne piętno, nadające cechę materialnej i umysłowej jego fizjonomji.

Toteż naogół, jeśli by mnie kto spytał, jakie są natury aktorów... powiedziałabym jednym wyrazem: ludzkie, bo ani lepsze ani gorsze od innych zbiorowo traktowanych natur, tylko odrębne noszą piętno, jak odrębne są wszystkie warunki, w których się urabiają.

Aktorzy są warżliwi i drażliwi. Są przeczuleni i nie doczuleni na pewnych punktach. Ambicja jest nieodłącznym towarzyszem postępu. Więc o ile nie są źle ambitni, to dobrze, że są ambitni. Mało myślą o jutrze. Jest to ich zguba, ale i ich urokiem. Jeśli mają szlachetność — to wysoką. Jeśli dobroć — to bezmierną. Mają pewną fantazję życiową i *humor*.



Ten humor, co to z niczego potrafi zrobić radość, co umie bodaj na minutę, szarą w jasną zmienić chwilę, co ujmie wagi ciężarowi gniotącemu serce, zdmuchnie chmurę z czoła, co często i najczęściej własny ból zdławi, własną łzę wyszydzi, byle innych rozśmieszyć, byle nędzę życia przykryć — ten humor mają aktorzy.

Co spaja, co łączy, co koordynuje całość pracy przy zbiorowej, licznej a różnorodnej rzeszy?

*Miłość*, niektórych dla sztuki — wszystkich dla teatru. Każdy człowiek ma w sobie coś Bożego. W duszach aktorskich ta miłość to właśnie jest to — Boże.

To się tli w każdym i buchnie płomieniem, byle ten, który ją rozdmuchuje, miał moc. Będzie to moc materialna, zła, niska, brudna. Są często słabi, niebaczni. Ten i ów ulegnie. Może ktoś zmarnieje. Może się zbruka.

Będzie moc szlachetna, czysta, wzniosła. Będzie zapal silniejszy od drobnych próżności, cel głębszy nad codzienny drobny zysk i własny interes. Porwie ich.

Pójdą za nią wszyscy do ideału.

## ZA KULISAMI.

Niebo zesłało nam, na własny użytek, najpiękniejszy dar, jaki ma zawsze w zapasie dla ludzkości: Wolność.

Wielki wstrząs, wywołany wojną, zmienił świat. Dziś już dużo spraw, które budziły dawniej ogólne zainteresowanie, wydają się blachostką. Sprzecząmy się o przekonania ideowe. Jesteśmy zaciekle prawicowi lub lewicowi. Piłsudczycy lub antypiłsudczycy. Młodzież nasza gremjalnie wiecuje, jeśli chodzi o wielkie zagadnienia, związane ze sprawą narodową. Ale już nie mamy „wisnowczyków“ i „czakistów“, którzy gremjalnie wystawali przed teatrem, by w odległości — konwojować do domu swą ulubienicę ze sceny, odprowadzaną przez uprawnionych do tej galanterji przyjaciół.

Więc i owe kulisy, wiecznie tajemnicze, pełne niepokojących uroków, najdziwaczniejszych opowieści, rozsiewanych przez tych, którzy, zawsze wzdychając do tego „Edenu“, nigdy nie mieli do niego wstępu — przestały nęcić w tym stopniu, w jakim to bywało dawniej.

Dość było uchwycić zmrużenie oka podstarzałego lowelasa, pytającego: „Za kulisami się było... co? Tak?... A kolacyjka będzie? co? lat temu 30 bywało się, bywało... ha... ha...“ Dość posłyszeć ten specjalny tonik,

w którym było i wspomnienie jakiegoś dobrego smaczku, i niewysłowiony żal za minionem, aby pomyśleć: „Musi to być coś niebywale egzotycznego, rozkosznego, a jednocześnie rozpustnego“.

Zasugestjonowana zzewnątrz, długo sama tak myślałam. Ale od czasu, kiedy tak myślała, do dziś, przeżyłam życie z aktorem.

Cale długie a tak krótkie życie!

I gdybym z za kulis tego życia, nie teatralnego, ale tych różnych sfer, tych różnych żywotów, które mniej więcej poznałam, dzięki właśnie sferze artystycznej, bo jest także jej przywilejem, że zapraszają nas wszędzie i bywamy też wszędzie, od pałacu Namiestnika, dawniej, za kordonem, czy dziś Zamku Królewskiego, do zwyczajnej knajpki, na kolacyjkę niewybredną, często w niewybrednem także towarzystwie, gdybym chciała czy mogła opowiedzieć niejedną historję, jakie chcę opowiedzieć z za kulis teatru, to różniłyby się one niezawodnie tylko cechą, jaka wyodrębnia jedną grupę ludzi od innej. Niczem więcej.

Ale gdzie więcej będzie subtelności, szlachetności, gdzie więcej cynizmu, gdzie więcej prawdy czy obłudy, gdzie więcej lub mniej tragiki — nie wiem.

Wiem, że wszędzie będzie dużo serca i egoizmu, dużo kłamstwa i szczerości, wszędzie dużo nieszczęścia, a niedoli ludzkiej może nie mniej właśnie tu, w tym świecie szychu i ułudy.

Miałam w życiu szczęście do ludzi. Nie zawiodło mnie ono i w sferze aktorskiej. Bywała u nas, w Warszawie, liczna grupa artystów. Na zbiorowe zebrania koleżeńskie byłam zawsze przez nich zapraszana, choć nie byłam aktorką.

Bolesław Leszczyński, przez kolegów krótko zwany „Bolciem“, ten największy z wielkich naszych artystów, podżartowywał ze mnie mówiąc:

— Józiowa siadaj przy mnie, dam ci parę lekcji kulisologii. Niebyło to nic strasznego i nie przerażało mnie, bo więcej było w tem niefrasobliwej swady i animuszu, aniżeli jakiegoś zepsucia, a pochlebiało, że kolega mego Męża, wielki artysta, nie pomija mnie. Bawiłam się zawsze doskonale. Bywali: Prażmowski, Ładnowski, Tatarkiewicz. Rakiewiczowa, Lüdowa, Wisnowska, Czaki, i wielu innych artystów i artystek na tych zebraniach, prócz „cywilów“ (tak nazywał się każdy kto nie był aktorem). Towarzystwo zamknięte.

I widziałam, że wszelkie stosunki między-aktorskie były zawsze czysto koleżeńskie, swobodne, wesołe, często żartobliwe, ale nie pozbawione pewnej nawet kurtuazji, tak w Warszawie jak i w Krakowie, tak w towarzystwie jak i za kulisami.

Zupełnie ten sam stosunek był zawsze ze mną. A za kulisami, gdy tam już stale przebywałam, wiem, że nigdy nie mnie nie raziło. Plotki między nami nie kursowały, bo ich nie miał kto ani kiedy słuchać. Pochlebstwa i zauszników nie było, bo ich nie było czem opłacać.

Mąż mój po objęciu teatru w Krakowie, w pierwszym przemówieniu swoim na scenie do kolegów, jako dyrektor, zaznaczył, że na tej scenie musi być wspólna praca dla sztuki, pozbawiona, nie tylko w stosunku do niego, ale i naogół, kabotynizmu. I taka była.

Że tam za oczyma ten i ów może ogadywał, o czym mówili inni, a może i nie ogadywał, w co wierzyłam ja, że czasem sarknął, że nie był słusznie czy niesłusznie z czegoś zadowolony być może. Są to odchylenia nie-



uniknione od każdego zbiorowego życia. Ale z nami, wewnątrz teatru, stosunek był oparty na wzajemnym szacunku, pełen uprzejmości. Praca była poważna. Często dawała chwile artystycznych upojeń i rozkoszy, odczuwanych przez nas wszystkich razem.

Kiedym wchodziła rano na scenę do swojej roboty, aktorzy byli zajęci próbami, każdy z rolą w rękę, którą nieraz, przy pośpiesznej robocie, intensywnie trzeba było „kuć”. To też nie przeszkadzałam im powitaniem, mówiłam zdaleka „dzień dobry” i ginęłam we wnętrzu tego olbrzyma, który co dnia chłonał dużo zbiorowej naszej pracy.

Za to podczas pauzy, przychodziłam często na scenę, a wtedy gadaliśmy dopóty, dopóki jak mówiłam, reżyser nie wyrzucał mnie za drzwi, bom przeszkadzała. Wtedy — z żalem, ale wychodziłam.

Do rozmowy, oczywiście, tematu nie zabrakło nigdy. Dużo na szerokim świecie widziałam i teatrów i aktorów. Często jeździłam do Wiednia, Berlina, bywałam w Paryżu. Miałam zawsze tyle obchodzących nas wspólnie spraw do poruszenia, że rozmowy bywały bez końca o sztukach, o rolach, tak lub inaczej pojętych, kostjumach i strojach, o wystawie, o grze, o występach — Duse, Sary Bernhard, Sormy, Rejane, Wolter. O Keinzu i Sonnenthalu, Bonie, Robercie, Ponsardzie, Mounet Sullym i le Bargy.

Ale, żeby nasz wzajemny stosunek scharakteryzować dosadnie a krótko, powiem, i to pod słowem, że mówię prawdę: Przez lat sześć *nigdy* żadna aktorka nie robiła plotki na drugą, nigdy jedna drugiej *nie obmówiła* przedemną, a widywałyśmy się przecież co dnia i przeżywały wspólnie różne życia momenty, czasem nawet

katastrofy. Gdybym sama tego nie przeszła, nie uwierzyłabym. Tak jednak było.

I, że jeżeli do przeprowadzenia tego w czynie, co było istotnie cichem mojem marzeniem, dość zuchwałem w teorii, dopomogły mi artystki koleżanki swoją dyskrecją, to niech wiedzą, że za ich sprawą osiągnęłam jednej z największych uciech wewnętrznych i że dla nich za to chowam w sercu wieczną a wdzięczną pamięć ich dobroci.

Oczywiście, życie aktorów i aktorek obchodziło mnie głównie w ramach teatru. Ani wiedziałam, ani wiedzieć mogłam, często nie chciałam, jak i co robią poza nim. Nie przez obojętność względem nich, raczej może często przez solidarność kobiety względem kobiety.

Tu, na scenie, miałyśmy wspólną pracę, tu więc interesowały mnie jako koleżanki i jako pracownice, mimo to jednak tworzył mi się całokształt ich istnień.

Czy mnie lubiły?

Na ogół, muszę powiedzieć, że więcej w tych warunkach chodziło mi o równą uprzejmość — aniżeli życzliwość, której nie miałam ani powodu ani, na razie, prawa się spodziewać. Mogłam dopiero na nią z czasem zasłużyć, o to się starałam i to mnie nie zawiodło.

Uprzejmością ogólną byłam otoczona. Życzliwość trwała, której odbieram do dziś dowody, mimo, że już od lat nie byłam żoną *dyrektora* teatru, zdobyłam u wielu osób, różnych kategorii z personelu naszego i nie naszego. Zawsze była mi ona, lub jest, droga. Pielęgnuję ją i pragnę zachować — dopóki życie sążone.

Mężczyźni-artyści byli dla mnie bardzo uprzejmi. Miałam między nimi paru życzliwych. Na wrogów



q u a n d - m ê m e i burczymuchy nie zwracało się uwagi.

Zaznaczyć tu jeszcze muszę jedną, zmienną cechę naszych już tylko współpracowników i pracowniczek, nie uogólniając kwestji aktorskiej.

A mianowicie:

Pieniądz jest *podobno*, przeżyłam życie a stanowczo tego nie twierdząc, — otóż *podobno* jest wielkim czynnikiem w normowaniu stosunków ludzkich, zwłaszcza tam, gdzie jest pewna władza z jednej, pewna od niej zależność z drugiej strony.

Myśmy pieniędzy nie mieli.

I nietylko, żeśmy ich nie mieli, ale ich brak, w prowadzeniu jak u nas, dużego, na owe czasy, parękroć sto tysięcy koron, mającego w rocznym obrocie interesu, powodował nieraz tragiczne sytuacje, groźne dla czystego imienia, sytuacje, czasem nie do przeżycia dla ludzi uczciwych, o czem właśnie mówiłam w książce mojej: „Wokoło Teatru“, (wydanej nakładem firmy Hösicka, r. 1930). A tu na rozpacz i kontemplacje czasu niema. Sztuka danego wieczoru iść musi, z nią, milion drobnych spraw nierozłącznie związanych do załatwienia.

Troska o ten weksel, czy o to zobowiązanie jutro płatne — gniecie, termin wypłaty, na którą niema gotówki, przywala, zda się, do ziemi — a tu... o siódmej kurtyna pójdzie w górę, na scenie musi być kanapka do romansu na dziś jeszcze, *taka* a nie inna, *ten* parawan, może *te* kwiaty, *ta* poduszka, *ten* obrazek czy miniatura.

Zlecenia niedość wydać, trzeba doiplnować, żeby były wykonane, trzeba być, ustawić, ułożyć. Reżyser wierzył, że o to troszczyć się nie potrzebuje, bo zlecił to

mnie do wykonania. Zdawało się nieraz, że zmysły się straci.

Aktorzy zawsze wszystko wiedzieli, bo uchwały Magistratu rozchodziły się w lot po mieście, a bez względu na ich drażliwą treść, mogącą szkodzić interesom teatru, odbywały się głośno, jawnie. I, w takich chwilach, nie tylko nikt nie skorzystał z praw silniejszego i nie zrobił nigdy nic uwłaczającego swej godności, ale w takich chwilach, nie narzucali mi się z rozmową. *Nigdy* o nic nie pytali. Miałam wrażenie, że widząc mnie zafrasowaną, zgnębianą, jakby ciszej i mniej mówili, mając poszanowanie dla mojej nieraz prawdziwie wielkiej troski. Mówię „mojej“, bo dyrektora, ile sił, tyle się oszczędzało i chroniło od tych wieści. Należało szybko radzić, a nie mącić mu myśli w pracy, w której musiał i powinien mieć spokój.

Rzewnem wspomnieniem otaczam te chwile, które mi słodziły piolunem i żółcią przepojone dni, przeżywane częściej, niż trzeba, w Teatrze Krakowskim, a zawsze żywe, bo jest coś w duszy, co długo zachowuje pamięć doznanej niezasłużenie krzywdy, a krzywdy były, choć, na szczęście, pokrywała je wrodzona radość życia u obojga, koła je i zacierała doznawana życzliwość i wielkie skarby prawdziwej przyjaźni, które z Krakowa wywieźliśmy — na zawsze.

Bywały tam chwile gorzkie. Prawda.

Ale było życie pełne, z ideałem.

Życie wzniosłe, piękne, radosne, którego wyczucia i toku, żaden Magistrat i nikt, nie był w możności — zatamować.

Był wreszcie miły kąt, nie mogę powiedzieć cichy, bo gwarno było zawsze na tem trzecim piętrze, gdzie by-

ło dużo kwiatów, dużo ludzi i zawsze wspólna celowa praca.

Aktorom kolegom i koleżankom, świadkom różnych przeżyć, które czasem mąciły radosne chwile życiowe, na które, już dziś patrzy się ze spokojem, nie zapomnę jednak nigdy, że byli dla mnie w chwilach nieraz prawdziwej udręki zawsze — pełni dobroci.

## TEREN PRACY. ROLA. DYREKTOR.

Różnym, a odmiennym od innych gatunkiem zarasta pole sceniczne, na którem co wieczór zakwitają łany barwne grzędami przedziwnych roślin sadzone.

Czarują one, upajają, porywają dusze w nadziemskie krainy fantazji. Umieją śmieszyć i bawić, każą płakać i cierpieć, gorszyć się i oburzać, koją lub drażnią.

Wonią swą odurzą, urokiem obezwładnią, wdziękiem podniecą i, kiedy jesteś w największej ekstazie, nikną, giną, może więdną.

Szara zasłona skrywa przed tobą ten świat nieznany, urojony, którego życie przez parę godzin i w tobie szybszym tętnem zabiło, świat ponętny, pociągający, zagadkowy. I oto na płowej firance coś majaczy, zaczynają się rysować jakieś niby głoski, aż czytasz zda się jeden tylko wyraz: złudzenie, a myślą przedłużasz stan zachwytu, dążysz za kulisy, za owe wiecznie nęcące kulisy i pytasz:

Jak to tam jest, co się tam dzieje?

I najczęściej myślisz, że wszystko pewno łni się tam i błyszczy. Każda garderoba to gniazdo wysłane miękko falami jedwabiów, przepojone wonią wschodnich pachnidel, obwieszona zwierciadłami. Szampan się tam perli,

a strojna subreta ładzi adonisów. Wieńce, kwiaty, podarki, listy miłosne. Każda aktorka — bóstwo precudne, każdy aktor, wykwintny, piękny, pełen blasku w oczach, szlachetności w ruchach — bohater.

Wszyscy się bawią, szaleją, upojeni ekstazą powodzeń, oklasków, kadzidłem krytyk, ogłuszeni szelestem wieńców laurowych, dumni z szumnych napisów na najczerwieńszej ze wstąg owi zdobywcy, owe władczynie z niedostępnego świata, nieznanego, fascynującego tajemniczością.

A mimo to, wszystko, co myślą niewtajemniczeni, marzeniem najspokojniejszych i najbardziej zrównoważonych kobiet — było iść i własnymi oczyma zobaczyć te „za kulisy“. Dziś mnie to nie spotyka, bo sama będąc lojalną, zawsze pytam, kogo należy, czy mogę tam iść, jeśli chcę odwiedzić drogie mi koleżanki czy kolegów lub wypowiedzieć im zachwyt ich grą. Ale, kiedy życie moje ściśle było z teatrem związane, a klucz od drzwi żelaznych był w ręku, ileż razy słyszałam prośbę:

„Niech mnie pani weźmie za kulisy, nigdy nie widziałam aktorów zbliska“.

Coprawda, nigdy nie skłaniałam się do tych prośb chętnie. Aktorzy, słusznie zupełnie, nie lubią obcych za kulisami, z którymi zapoznawać się nie ma czasu, ani potrzeby. Zresztą, oprowadzać i pokazywać — co?

Czy menażerję, pełną ciekawych okazów?

A stąd spada mi ten wyraz z pióra, że p. Marja Marciejowska, tak nazywała, oczywiście żartobliwie, nasze kółko literackie, w którym, wówczas było wiele okazów, istotnie, niebywałych odmian i to niebyłe jakich: Wyspiański, Przybyszewski, Miciński, Rydel. Więc choćbyśmy nawet mieli to przekonanie, że jesteśmy tak-



że taką „menażerją“ — to dla siebie. Obcy żywioł za kulisami jest prawie zawsze denerwujący.

Zdarzało się, że, po znakomicie odegranej roli, ktoś ze „stałych bywalców“, chciał osobiście powiedzieć kilka miłych słów wykonawcom. Wtedy, z rozkoszą, otwierały się przed nim drzwi żelazne. Inaczej, były one szczelnie zamknięte. Choć zdarzało się także i to, że raz naprzekład, bywający w naszym domu, utytułowany młodzieniec przychodzi do mnie do kancelarii z prośbą:

— Mnie tak bardzo na tem zależy żebym mógł bywać w garderobie panny Z. Z., wtedy, kiedy ona gra, że przyszedłem prosić, aby mi państwo wstępu nie odmówili. Ja gotów jestem na kasę emerytalną złożyć sumę, jaką pani oznaczy, bo ja naprawdę i t. d.

— Panie łaskawy, gdyby pan miał więcej niż 22 lat, poprosiłabym o nieprzeszkadzanie mi w pracy. Teraz poproszę pana o schowanie pugilaresu i przyjęcie odmowy, niestety, bez apelacji.

Kasa emerytalna straciła, ale „za kulisy“ zyskały i nadal były dla niego niedostępne.

A to wszystko właśnie, co się tak chciwie podejrzewa w stosunku do „za kulis“, nie jest ani cechą życia zakulisowego, ani jego szczególnem znamieniem. Natomiast jest tam wiele więcej interesującego, nad to, co zawierają płytkie ogólniki.

Przedewszystkiem, trudno o teren pracy mniej zdrowy, ponętny, normalny. Jest tam duszno i często brudno. Są zawsze i wszędzie stosy dekoracyj pod ścianami, z których za każdym poruszeniem podnoszą się tumany pyłu i, naturalnie, osiadają w płucach i gardłach tych „cudnych głosów“, które swym dźwiękiem czarują publiczność wieczorem. Po kątach snują się często płach-



ty pajęczyn. Jest mało światła — a nigdy nie bywa słońca. Jest rzadko zadowolenie, mimo to dużo humoru i żartu, często pikantnego, ale ten posłyszeć można było nawet na korytarzach uniwersytetu, a, na upadłego, pod-słuchać i w Akademji, której członkowie bywali właś-nie stałymi bywalcami na farsach, ku naszemu po-żytkowi.

Jest dużo neurastenji i hysterji, burz z tego wynika-jących, które rodzą się i giną bez potomstwa, bo mało się zwraca na nie uwagi, traktując je niemal jak składowy czynnik tego ustroju.

Jest intensywna, często ciężka, wyczerpująca ner-wy — praca aktorów, grających duże role i — próżno-wanie aktorów, mających małe rólk. — I jest nieusta-jąca walka, właśnie o te role i rólk, bo aktorzy, niemal wszyscy, ciągle, nawet grając, są rozgoryczeni tem, że „nie grają *mcale*“. A rola, to oś, około której obraca się wszystko w życiu „za kulis“. Rola — to treść życia akto-ra. On z niej i dla niej żyje.

Toteż, jako dla części swej najwewnętrzniejszej istoty, nie waha się on przed niczem, co do jej osiągnię-cia może być pomocne. Mała intryżka, podejście, po-chlebstwo, szukanie dróg i drózek. Słowem, czem kto mo-że wojuje — byle zwyciężyć.

A dla czego?

Bo na każdą taką rolę czeka, przeważnie, kilku kan-dydatów czy kandydatek.

Dostaje ją jeden — czy jedna.

Najczęściej ten, komu się należała, często, niestety, ten, kto umiał się o nią ubiegać.

Jakież morze goryczy napęlnia dusze tych, którzy

przez jej odegranie marzyli o powodzeniu, oklasku, karierze!

Zagra ról innych dziesięć, że tej właśnie upatrzonej nie dostał, pamiętać będzie aktor do dnia sądnego.

Często aktora niezdolnego, a nawet zdolnego, gryzie myśl, że jest zapoznany.

Miewa milion pretensyj, do autora, reżysera, dyrektora, że nie gra tego właśnie, czemu napewno świat zadziwił, według swego mniemania.

Często słusznie — częściej nie.

Te żale, urojone czy prawdziwe, rosną trucizną w sercu i zawsze są dotkliwe dla tego, kto ją w niem piastuje. Wykwitają w sarkazm, szyderstwo, ironję i zapadają na dnie duszy, jako ziarnka niczem niestartej — gorczy.

A jeśli ktoś powie:

— Niesłuszne ma pretensje, więc niema co mu współczuć, to odpowiem: A czyż warjat, ciągle łowiący pamięcią dawno minione nieszczęsne obrazy, których groza mu kiedyś umysł zmąciła, nie cierpi w tej chwili, gdy je sobie przypomina i płacze równie, rozpacznie jak ongi, w pierwszej chwili ciosu? Czy krzyk jego bólu nie płynie z duszy przepełnionej taką dozą cierpienia, że aż się podarła w strzępy, i biednych łachmanów wylatać nikt nie jest już w stanie, nawet czas?

Cierpi. To dostateczne, żeby mu współczuć. Miary i wagi na cierpienia jeszcze, zdaje się, niema. Wprawdzie, rozpetane nerwy przebiegają czasem granicę. Bo legenda opowiada, że doskonały aktor charakterystyczny, Ostrowski, umarł — na Frenkla, bo ten go przewyższał talentem i warunkami.

Sama pamiętam pierwszy występ Mieczysława Frenk-

ła w teatrze. Rozmaitości i niemilknące oklaski, towarzyszące mu zresztą po dziś — bezmiennie, ile razy się na scenie ukaże. Ale Ostrowski, choć dobry aktor i dobry, niezawistny człowiek — tem się gryzł i to go dobiło. U nas Mielewski Andrzej chorował na Michała Tarasiewicza, który miał lepsze warunki i wówczas zwycięski wdzięk młodości. Komuś sen odbierało pojawienie się — Kamińskiego. A ktoś pewno gryzł się i zatruchiwał talentem wszechstronnym znakomitego Solskiego. Słowem, „ktoś płakał, aby śmiał się ktoś, to są zwyczajne dzieje“. Na te choroby patrzałam. Często im współczulam. Rattunku bezwzględniego na nie niema, jeśli chory sam się nie opanuje.

A ileż odmian, różnych zmartwień zakulisowych na wszystkich stopniach stanowisk.

Raz, pamiętam, odbywała się próba generalna. A w teatrze krakowskim, odbywały się próby generalne w piętek — wieczorem.

W czasie antraktu spuszczano kurtynę. Nieoświetloną widownię zalegały zupełne ciemności. Wychodzę na korytarz, aby pójść na scenę. W tem, dochodzi mnie krzyk. Jeden, drugi, wreszcie, rozdzierające jakieś wrzaski, wydobywają się gdzieś, z wnętrza korytarzy teatru zupełnie nieoświetlonego.

Chwilę nasłuchuję, wracam na widownię i pytam: Jest tu który z mężczyzn?

— Ja, ja, — odpowiada mi parę głosów w ciemności.

— Chodźcie panowie prędko. Tam, gdzieś na korytarzach, dzieje się coś strasznego.

Wychodzimy, krzyki rozbrzmiewają coraz pełniej, ktoś kogoś niechybnie morduje, dusi. Idziemy za głosem.

Przez wejściowe drzwi szklane, latarnie z zewnątrz, rzucają trochę światła i kładą długie smugi cieni filarów na kamiennej posadzce.

Cisza.

— Jest tu kto? — pyta Andrzej Mielewski.

Jeszcze cisza.

— Czy jest tu kto? — powtarza po chwili energicznie.

— Ja jestem, odzywa się kobiecie, piskliwy, cienki głosik.

— Co za ja?

— To ja, Iksowska.

— Co pani tu robisz?

Cisza.

— Z kim pani tu jesteś? — indaguje energiczny kolega.

— Sama.

— Jako sama?

— Sama.

— Więc czemu pani wrzeszczałaś?

Tu już występuje z za filaru drobna, wątła niewieścia postać i, tragicznie gestykulując, mówi zwracając się do mnie, piskliwie ale z emfazą:

— To ja, pani *derektorowo!* A wyciągając rękę w kierunku sceny — nie mogę taam... więc ja choć tuu... sobie deklamuję.

Ileż to tragikomizmu w całym tem nieszczęsnem istnieniu biedactwa, które nie może nigdy wyjawić swych artystycznych wynurzeń *taam*, na tej arenie, na tem bojowisku, na którym bodaj się ukazać, bodaj wejść jest już szczęściem.

Innym razem, wchodzę za scenę rzucić okiem przed rozpoczęciem sztuki, czy wszystko w szczegółach, mej

pieczy przez reżysera powierzonych, w porządku. Było to na jednym z dalszych przedstawień „Snu nocy letniej“.

Aż tu naprzeciw mnie biegnie pędem jakaś chuda pseudo-greczynka, ściśnięta w pasie, ze złotą, na bakier „fantazyjnie“ włożoną opaską, ze łzami, które znaczą czarne mapy od podkreślonych oczu, na malowanych policzkach.

— Czekam pani dyrektorowej, jak zbawienia! — mówi przez łzy, składając ręce to chude, dekoltowe, biedne stworzenie.

— Pani dyrektorowo, taka krzywda, tak skrzywdzić kogoś! Ja tak pięknie wyglądam w stroju greczynki, ja nawet w Warszawie kazałam się fotografować, tak sobie, bez roli, bo mi tak pięknie, a tu, pan reżyser nie pozwala mi wyjść na scenę i jeszcze taki nieprzyjemny, pani dyrektorowo, dla kobiety, mówi: Zrobiłaś pani z siebie czupiradło. Tak krzywdzić kogoś, pani dyrektorowo, — i nowe różnokolorowe potoki łez.

Oczywiście, ów gorset, salwujący wypukłości, niezbyt obfitego biustu, owa fantazyjność dowolna, to wszystko było już swobodne poprawianie i *ulepszanie* pierwotnych, z góry danych instrukcyj ubrania, i dlatego reżyser, za karę, cofnął ją z przedstawienia. Fantastyczność — bez fantazji gubiła ją. Gorset poszedł precz, „fantazję“ się zmodyfikowało, reżysera się uprosiło o przebaczenie, załagodziła się sprawa, na scenę wyszła.

Trzeba było widzieć to szczęście i tryumf, w godności pełnej postawie i wdzięcznem spojrzeniu, zwracaniem raz w raz do mojej łóż.



Do dyrektora aktor często ma niechęć — jako do zwierzchnika, tej pewnej, bardzo problematycznej reszty władzy, która, mówiąc nawiasem, jeśli się zetknie z kabotynizmem, jest zupełnie — *bezwładna*.

Nieraz, zimny pot ze strachu ocieka czoło przed widmem niezapłaconego na termin weksłu, a on obrzuca nienawistnym wzrokiem „plantatora“, zubożonego na jego „krwawej pracy“.

Oczywiście — ta niechęć ma swoje uzasadnienia.

Były całe szeregi dyrektorów przedsiębiorstw teatralnych, którzy na nią pracowali. Przegląd tej działalności często nie byłby bardzo chlubny, choć może także nieraz warunki, w jakich się pracuje, najporządniejszych ludzi wprowadzają w sytuację bez wybrnięcia. Ale czyż jest na świecie godność, którejby człowiek nie zaznaczył swemi indywidualnymi cechami? Każdy człowiek, w każde środowisko wnosi to, co sam w sobie wyhodował, czemu sam w sobie służy, w co wierzy, co kocha i co reprezentuje. Więc za to, jakim jest, musi ponosić odpowiedzialność zawsze i wszędzie.

Tytuł monarszy nie ożywi słomianej bezdusznej pałuby, tytuł dyrektora nie da powagi i cnoty, jeśli jej niema w tym, kto go nosi. Aktorzy aż nadto dobrze o tem wiedzą, rozumieją to i doskonale wyczuwają, tylko nie wszystkie żarna jedną mękę miały.

Jedni chcą, drudzy nie chcą tego uznać.

W każdym razie, to ciało zbiorowe, które stanowi teatr, jest bardzo zależne od jednostki, stojącej na jego czele.

Ta jednostka często szamocze się w matni, splecionej z różnych postronnych wiązań. Ociera się o ludzkie namiętności, w których zmysły biorą górę nie tylko nad

rozsądkiem, ale czasem nawet nad godnością człowieka. Ta jednostka nieraz wolałaby zrzec się swego stanowiska, aniżeli spełniać życzenia wpływowych osobistości, którym uleganie pociąga za sobą konflikty, trujące chwile pracy.

Zwycięża je, stoi prosto. Ale ileż to energii chłoną te walki uczciwemu i sprawiedliwemu człowiekowi na przodującym stanowisku w teatrze, którego ciężar bywa często nie do zniesienia.

Rola dyrektora teatru nie jest łatwa.

Przedewszystkiem ten, kto tę godność piastuje, musi doskonale znać teatr i wszystko, co z zawodową pracą na terenie teatru związane. Nie może być tylko reprezentantem stanowiska, musi raczej stanowić integralną część tej stustronnej całości.

Musi tytuł *Dyrektora* ciągle chować skromnie nawet przed samym sobą, a jednocześnie pamiętać, że go nosi nie dla formy. Musi być, kiedy potrzeba, rozumnym i sprawiedliwym zwierzchnikiem, a kiedy indziej dobrym kolegą w pracy i prawdziwym przyjacielem artystów. To niezbędne.

Dyrektor musi współżyć z aktorem, musi rozumieć jego życie. Musi z nim mówić, umieć go wysłuchać, mieć dla niego zawsze czas i życzliwość, cierpliwość, czasem pobłażanie. Musi być sam artystą, a może nawet, gdy trzeba, aktorem i wtedy, jeśli go nie stać na prawdziwe odczucie duszy artysty, *udać*, że ją wyczuwa i rozumie. Bez tego na stanowisko i tytuł *Dyrektora* aktor będzie głuchy. Bo on ma, słusznie zresztą, przekonanie, że jego właśnie stanowisko jest w teatrze najwyższe i nic sobie robić z żadnego innego nie będzie, jeśli nie będzie miał miłości dla tego, który je piastuje. Miłość tę dyrektor

zdołyć musi i to jest jednym z kardynalnych jego obowiązków, bo dopiero wtedy aktor go uszanuje, podda się jego wpływowi i da mu się prowadzić z ufnością dziecka.

Dyrektor, jeśli chce być przodownikiem, co jest zresztą jego obowiązkiem, powinien ciężar odpowiedzialności przyjąć i wytrwale dążyć do zrealizowania wszelkich wartości, z nim związanych. Nie rozpraszać, musi umieć gromadzić i utrzymać aktorską drużynę, boć bez niej nie może istnieć dobry teatr.

Są to warunki trudne, bo związane z tysiącami różnorodnych objawów, dodatnich i ujemnych stron ludzkich natur. Trudne dlatego, że nie można się kierować stosowaniem gwałtownej dyscypliny, żadnym apodyktycznym razem za przewinę — bo często wprowadzenie tych środków nie naprawi osobnika karanego, a zaszkodzi instytucji. W każdym jednak razie, pamiętać musi, że wódz za armję, dyrektor teatru za trupę i prowadzenie teatru ponosi — odpowiedzialność.

A to, co mówię, nie jest frazesem wziętym z powietrza. Jest to owoc długiej obserwacji, długiej wspólnej z aktorami pracy, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Pracy, która trwała przez lat sześć pod dyktando Józefa Kotarbińskiego w Krakowie, wśród nieraz bardzo ciężkich warunków, płynących z zewnątrz, bez scen, awantur i przykrości, ze strony aktorów wewnątrz teatru.

## REŻYSERJA. WYSTAWA SZTUK.

Dedykacja, na pierwszej karcie książki, p. t. „Satans Kinder“, ofiarowanej mi przez Stanisława Przybyszewskiego, wydanej w Berlinie r. 1897, brzmi tak:

„Świetnej reżyserce moich dramatów, kochanej Pani, w której domu spędziłem tyle pięknych i serdecznych godzin, pani Lucynie Kotarbińskiej, z głęboką przyjaźnią i wdzięcznością, Stanisław Przybyszewski, Kraków, 2. X. 1902 r.“.

Roześmiałam się, kiedy to wyczytała. Bo, że wiele chwil spędzonych razem w naszym domu, było niezapomnianie miłych — prawda. Ale, oprócz legendy, snującej się o moim współludziale w pracy kierowniczej i reżyserskiej, niema w tej dedykacji ani cienia prawdy.

Reżyserja, to praca ponętna, ani słowa. Nawet, z czasem, mogłabym mieć na nią chrapkę, bo widziałam, że w niej można przeprowadzić i do niej wprowadzić dużo indywidualnych przemyśleń i drogich sercu każdego artysty, złych czy dobrych, ale własnych postulatów artystycznych. Ale, wiedzieć o tem był powinien właśnie Przybyszewski. bywając na scenie podczas prób ze swych sztuk i zdawać sobie sprawę z tego, że reżyserja — to nie byle co.

To nie same wejścia i wyjścia i choćby najświetniejsze powierzchowne efekty.



Reżyserja — to nasłuchiwanie wszystkich tonów sztuki, baczność, żeby który nie ozwał się fałszywie, to wydobywanie nazewnątrz *duży dzieła*, stąd wielka odpowiedzialność.

To też reżyser, jak to bywało dotąd, który był jednocześnie nietylko aktorem, ale nawet aktorem grającym rolę w sztuce, którą reżyseruje, to już nadmiar pracy.

Kto tego nie dotknął, kto na to nie patrzył własnem okiem zainteresowanego widza, nie zdaje sobie z tego sprawy. A ja, patrzyłam na to własnem okiem zainteresowanego w tej sprawie — widza. I, nietylko podziwiałam, ale wprost zrozumieć tego nie mogłam, jak może jeden człowiek, wydać z siebie taką olbrzymią dozę nietylko energii, ale wydobyć z siebie tyle twórczej intuicji. Tak. Bo przecież bezmiar wiadomości przygotowanych trzeba mieć na to, aby w jednym tygodniu układać scenariusz, wyznaczać sytuację, poddawać ton każdej grającej jednostce, choćby najzdolniejszej, bez czego nie będzie harmonji całości, a oprócz tego, z krawcem omawiać kostjunny, z fryzjerem peruki, z tapicerem meble, z dekoratorem tło, na którem to wszystko ma ożyć w sztuce Schakespeare'a, za tydzień Molièr'a, jeszcze za tydzień Wyspiańskiego. Odetchnąć chwilę, dając lekką komedję i znów borykać się z wyczarowaniem jakiejś egzotycznej bajki. A wszystko wśród jednego miesiąca, jak to było na scenie krakowskiej.

Dziś już wyrabiają się reżyserowie — specjaliści. W epoce, w której ja na to z bliska patrzyłam, nie było tak wykształconych reżyserów, jacy są dzisiaj. Bywali jednak, można powiedzieć, twórcy genialni, odgadujący wszystko to, czego wymagała sztuka. Natężenie pracy bywało bezmierne, a tylko wielka miłość dla Sztuki widocznie dawała natchnienie, które nie zawodziło.



Tymczasem jednak, jako „chłopiec do posług“, miałam dość roboty w innej dziedzinie, i ani do obsady ról, ani reżyserji nigdy się właśnie nie mieszałam.

Natomiast prawdą było to, że, stępując z początku chwiejnie po tej równi pochyłej, jaką jest w całym tego słowa znaczeniu scena, dla każdego kto się jej w jakikolwiek sposób dotknie, prędko zorjentowałam się, na czem polega użyteczna robota w tym kierunku i szłam do tej roboty z zapalem. Byłam wyszkolona w systemie pojęć na sztukę mego męża, co mi ułatwiało zadanie i dlatego mogłam szybko iść za falowaniem na ten temat — jego myśli.

Ledwo projekt jakiś się wyłonił już go odczuwałam, już się z nim żywałam. Omawialiśmy go i sami i z autorem, nieraz długie godziny, zanim powierzyło się go do wykonania zawodowcom.

Po stracie dzieci, nie rodziłam Mężowi, niestety, następnych. Wynaszałam natomiast jego pomysły. A gdy ożywały — kochałam je. I może robiłam to czasem lepiej od niejednego, bo kładłam w pracę najlepszą wolę i całą duszę.

Jaką?

W tem sęk. Bo im lepszą — tem lepiej.

A ta dusza, to taka bestyjka nieuchwytna a lotna, że ani wiesz, gdzie i kiedy zaznaczy swą bytność, ale za to wiesz napewno, kiedy i gdzie jej nie ma. Ja, w pracę, kładłam taką, na jaką mnie było stać.

Z pomiędzy kilku reżyserów, z którymi pracowałam w dziale wystawy sztuk, jednego mieliśmy z mężem za szczególnie zdolnego. Tymczasem, widząc jego dalszą samodzielną pracę, oboje, znów, niestety, skonstatowaliśmy oziębłość i właśnie bezbarwność, a przytem bez-

duszość w całym ujęciu przez niego danej sztuki i jej sytuacji.

Sztuka w teatrze krakowskim musiała iść co tydzień nowa. Niestety, było to nieuniknione. Wymagała tego kasa. A to małe stworzenie — to jednak serce organizmu. Krążą w nim banknoty normalnie, szeleszczą prawidłowe papiery, brzęczy złoto teatr żyje. Tętno zaczyna być nierówne, słabnie, szmery cichną, zcichły! Teatr pada.

Więc aby nie padł — musi płynąć mamona, a kilka tysięcy bywalców, ciągle tych samych w teatrze krakowskim, ściągnąć może zawsze tylko nowość — premiera.

I chcesz nie chcesz, musisz co tydzień dawać nową sztukę, a do nowej sztuki i odmienną wystawę.

A co jest ta „wystawa”? Przyszłam do pewnych wniosków, które mnie nie zawodziły — w przygotowaniu.

Słowo na scenie ma, według mego zdania, które pewno przyswoiłam sobie od męża, pierwsze i bezpodzielne panowanie. Żywe słowo, w ustach dobrego aktora.

Przed forum publiczności wychodzi ono pierwsze. Co po kostjumach ściśle historycznych, co po subraportach wypukło rzeźbionych, co po komnatach według autentycznego wzoru danej epoki malowanych, jeżeli w ustach artysty niema słowa, które chwyta zbiorową duszę tłumu, porywa ją i wiedzie w kręgi świata poezji, wprowadza w tajniki duszy ludzkiej, każe mu z nią cierpieć, szamotać się, radować lub rozpaczać. I dlatego lepsze to piękne ważne słowo w ustach jednego talentu, choćby na wytartej szmacie, aniżeli najwspanialsze przyprawy uludy, bez należnego mu dostojęstwa podane.

Najczęściej też, nawet doskonała wystawa nie utrwali

na scenie sztuki mało wartej, a najmniej właściwa nie zgubi dzieła wartościowego.

Ale, wystawa jednak może nie tylko pomóc do wypuklenia myśli autora, nie tylko podniecić fantazję słuchaczy, ale stworzyć koloryt i tło obrazu, zasugerować widza, *dopełnić* miarę artystycznej całości. Wystawa — to coś ściśle złączonego z duchową stroną sztuki, coś, co z nią stanowi najbardziej bezpośrednią, najwięcej nierozzerwalną całość, byle nie próbowała wybić się na pierwszy plan i krzyczeć o sobie: jestem.

Dlatego: urządzać scenę, to nie znaczy wcale obwieścić, zapelniać, zastawiać ją.

Ale to znaczy: stawiać na niej te meble, zgromadzać tylko te przedmioty, które mogły być jedynie *właściwe* w danem środowisku.

To nie znaczy: nawieszać obrazy, choćby one były oryginałami włoskich mistrzów, lub pędzla pierwszego talentu współczesnych artystów, ale powiesić *ten* jedynie obraz, który tu wisieć *mógł*, albo wisieć był *pomienien*.

Urządzać scenę, według moich obserwacyj i doświadczeń, to wnikać subtelnie w nastrój i harmonję wewnętrzną dzieła, aby zewnętrznymi warunkami jej nie zmącić.

Urządzać scenę, to wżyć się całkowicie w nastrój danego środowiska, znaleźć się w niem, wsiąknąć w nie do zapomnienia nawet o swym własnym smaku, jeśli tego potrzeba. Myśleć kategorjami tego, który tu gniazdo sobie słał, i przekonać widza, że *takie* a nie inne usłać sobie musiał.

Jak do tego dojść?

Bardzo prosto.

Każde dzieło literackie, każde, nawet tylko sceniczne, myślącemu reżyserowi *porwie samo o sobie*, jak ma być podane.

Oczywiście, zdolność dekoratora, reżysera, jak wszędzie i zawsze wszelka zdolność, zaważa na szali tej do-  
twórczej pracy i w twórczą ją zamienia snadnie. Ale wtedy, nawet fantazję należy kontrolować wolą autora, a wszelkie własne pomysły stosować ściśle do woli jego i jego woli *jedynie* podporządkowywać swe na tem polu czyny.

Nie pomoże bogactwo mebli, przepych strojów, zmiana światła na ujęcie i podbój widza, dla którego zdobyć wszystko się to robi, jeśli to wszystko będzie niestosownie użyte, zostanie on chłodny, bez odpowiedzialności za swój chłód.

Dlaczego?

Bo widz przeciętny nie myśli o tem, co się składa na tę melancholję, która się wlec będzie w każdym kącie, osuwać po każdej ścianie portjery w pokoju mizantropa, lub na czem polega ten śmiech rozproszony po jasnych ścianach rozfliglowanej kokietki. Widz przeciętny nie wie, co to jest owa wystawa sztuki, często na nią nie zwróci uwagi, i to jeszcze niezły rezultat, ale często też skarży się na to, że scena była źle urządzona, lub że były brzydkie meble.

Dlaczego?

Dlatego tylko, i to twierdzić można niemal z całą pewnością, że właśnie te meble nie harmonizowały z wewnętrzną stroną sztuki, i tym sposobem, wysuwały się na plan pierwszy, najniepotrzebniej „grały“, — jak się mówi zakulisową gwarą, i, mimowolnie, obrażały wrodzony instynkt prawdy widza, chociaż on sam nie zdawał sobie z tego dokładnie sprawy.



Pamiętam, jak raz, jeden z artystów, prosił o pozwolenie dania mu nowych ekstra modernistycznych mebli do poczciwej, starej, mieszczańskiej francuskiej sztuki, którą wybrał na swój benefis. Uwagi i perswazje nie pomogły i na scenie odbyła się tego wieczoru taka dysharmonija treści z wystawą, jakiej nigdy w życiu ani przedtem, ani na szczęście, potem — nie widziałam. Wyrugowane z należnych im miejsc — śliczne stare empir'y, mściły się za swą krzywdę na każdym kroku, przez cały wieczór.

Mebel „grać“ może i powinien, ale z tem jego graniem nadzwyczaj ostrożnie zachować się należy.

Na scenie jest skoncentrowane życie momentu. Tu wszystko w ciągu paru godzin musi mieć swoją nieublaganą logikę.

Jeżeli otwarta klawiatura fortepianu, choćby najcudniejszego Blüthnera czy Steinway'a nie łączy się z akcją, stać na scenie nie może, a przynajmniej trzeba go zamknąć, bo rozrywa uwagę widza i niepokoi go swą postacią, gotową do czynu. Sama wyczekiwałam kiedyś na próżno jego właśnie „gry“ — a on milczał przez cały akt jak zakłęty, niepokojąc moją uwagę.

To samo stać się może z jakimś portretem, na wybitnem miejscu zawieszonym, z pękiem świeżych kwiatów, porzuconą robotą, albumem, byle drobiazgiem zresztą, który może być równie nieocenionym w stworzeniu harmonijnej całości, jak zabójczym w wytrąceniu nastroju i rozerwaniu myśli widza. Draperje rzeczywiste i malowane, akcesorja wypukłe i płaskie — rośliny sztuczne i naturalne — słowem, wszystko, co na scenie się pojawia, musi logicznie wiązać się z całością danej sztuki.

W świecie sceny, świecie sztucznych piorunów, złud-



nych blasków słońca, w tym świecie, gdzie co wieczór kawał życia własnego daje aktor, żeby wzruszyć miłością, której nie czuje, choć ją odczuwa, bólem, którego nie zaznał, rozpaczą, która go nie dosięgła, a jednak, jakże prawdziwą, lub wybuchnąć szczerym śmiechem, kiedy jego własna dusza najbardziej może właśnie w tej minucie rozpacza, w tym świecie — jest miljon rzeczy umówionych, obowiązujących niewzruszonym prawem.

Aktor np. musi mówić, choćby zwierzał największą tajemnicę stanu, takim głosem, aby go widz mógł słyszeć, w najskrytszym kącie teatru, za który zapłacił. Musi, kiedy wpada na scenę, pioruny mając w ustach, jeśli tego trzeba, zamknąć jednakże drzwi, któremi wpadł, jak huragan, lub postawić na danym miejscu krzesło, na które przed chwilą padł bez zmysłów, jeśli ono, nieodstawione we właściwej chwili, może popsuć sytuację sceny następnej jemu samemu, lub jego partnerowi czy partnerce. Nad usuwaniem tych powikłań dziś już czuwa wyrobiony reżyser, ale długo tak bywało.

Publiczność jest to zawsze tylko — tłum, przyszła się bawić, chce słyszeć, widzieć, chce się wzruszać lub śmiać, chce pełnej uludy.

Publiczność niczego nie wybaczy, nie ma na żadne ujemne niespodzianki pobłażania. Zapłaciła!

Publiczność nie wybaczy, jeśli artysta nie dość ariystycznie padnie zemdlony, czy martwy, nie wybaczy jeśli w szamotaniu niebacznie coś wywróci i roześmieje się z tego w najtragiczniejszej scenie, nie wybaczy, jeśli głosu, łez, śmiechu zabraknie aktorowi. Wszystko to



Alojzy Żółkowski



Ludwik Pancerkowski



*Romana Popiel*



*Maria Derynq*

dla niej musi mieć aktor gotowe, wystudjowane, artystycznie pełne.

Mam jedno takie przykre, potwierdzające me słowa, wspomnienie.

Byłam w letnim teatrze w Krakowie. Jeden z grających artystów był w ostatniej fazie suchotnikiem. Głos mu już zupełnie nie dopisywał. Na scenie pili koledzy piwo, co wynikało z treści sztuki — on, mlekiem odwiłżał biedne gardło. A kiedy przyszła jakaś dłuższa kwestja, i kiedy ten głos mu się nagle załamał, schrypl, w końcu zcichł zupełnie, wśród publiczności rozległo się wołanie: głośniej! głośniej!

Nazajutrz artysta ten zamilkł na zawsze.

Natomiast, ta sama publiczność nie zwróci uwagi na tysiące anomalij, jakich dostarcza każde niemal przedstawienie.

Na scenie szaleje burza. Wichry wyją. Błyskawice oślepiają, pioruny głuszą słowa. Deszcz leje, huragan miota się i ryczy.

A drzewa wszystkie na swych „siatkach“ najspokojniej bezdrgnienia wiszą. Łany „wolnej okolicy“ nie fałują, nawet słońce często na nich nie gaśnie, ziemi nie wilży ani jedna kropla deszczu, szaty grającego aktora nie rusza podmuch wiatru.

Czy to ma być może wyraz potężnego symbolu obojętności natury na sprawy człowieka, jej niewzruszenie filozoficznego spokoju wobec jego bólów, jęku, szamotanias?

Nie.

To poprostu jedna z tych licznych niemocy sceny, wobec jej konwenansu, w którą jednak widz zasugerjowany — wierzy.

To, co powiedziećby można na temat wystawy sztuki na scenie, mogłoby zająć tomy pod piórem znawcy, do czego nie mogę pretendować. Piszę moje obserwacje z doświadczeń życia za kulisami, tak, jak je odczuwałam.

Jest to sprawa szeroka, u nas prawie nie dotykana. Przez krytykę najczęściej pobieżnie, ogólnikowo, traktowana, a jednak w całości artystycznej — ważna.

Nie mam pretensji do wyrokowania w tym zakresie umiejętności, jak do żadnego zresztą wyrokowania.

Doświadczenie jednak nauczyło mnie wiele i powiedziało, jak do danej sprawy odnosi się publiczność, a przecież dla niej się pracuje i o nią tu chodzi. Tembardziej, że można ją zasugerować tak, jak się sugeruje koguta, rysując mu od dzioba białą kreskę na podłodze, w którą wpatrzony będzie bezwładnie z opuszczonymi skrzydłami leżał, sam nie wiedząc dlaczego — do nieskończoności.

Byle jeden przedmiot efektowny, byle szczegół oryginalny, ujarzmi jej uwagę, z którą właśnie dlatego należy się obchodzić ostrożnie.

Otóż, mnie się zdaje, że wystawa dobra polega głównie na dopełnieniu dzieła i osób w sztuce żyjących.

Że we wzorowej wystawie nie może być mowy o przypadkowości.

Że tekst tak samo dla myślącego aktora, jak i dla inteligentnego reżysera i dekoratora musi być — ewangelją.

Że ten, kto urządza scenę z myślą, celem i ładem logicznym, powinien przede wszystkim wniknąć w dzieło i w wykonaniu mieć o wiele więcej oględności, niż zachwalstwa.



Że obciążać dzieła dramatycznego balastem wystawy nie należy, bo można łatwo podnieść sztukę teatralno-dekoracyjną, ale obniżyć dramatyczną.

Że chodzić powinno o to, aby sztuka dekoracyjna zawsze grała drugą rolę, aby była skromnie cofnięta, aby zajmowała widza, bez jaskrawości, aby, zadość czyniąc — dziełu dramatycznemu, należycie wyczuwała jego duszę. I wtedy tylko wystawa, łącząc się z rdzenną treścią dzieła, dopomoże do osiągnięcia tej harmonii słowa, ruchu, plastyki, oświetlenia, która wytwarza artystyczny nastrój całości, a czarem podbija widza.

To jest dzisiaj, jak mi się zdaje, najwyższem zadaniem sztuki dekoracyjnej, co zresztą u nas tak świetnie wcielają wysoce utalentowani artyści: pp. Wincenty Drabik i Karol Frycz „o ile nie ponosi ich chęćka wybicia się na plan pierwszy, przed słowo“ — dodawał Józef Kotarbiński.

Ostrzega przed tem także, niejednokrotnie p. Jan I.orentowicz w pierwszym tomie swej cennej pracy: „Dwadzieścia lat Teatru“ (str. 145, nakł. ks. F. Hoesicka) i pisze: że źle, jeśli „piękna dekoracja przytłacza aktora, a przez to nie uwydatniają się należycie literackie wartości dzieła“.

W bardzo zajmującej, a przedewszystkiem przepojonej miłością dla sztuki, sceny, autora, aktora, słowem dla wszystkich i wszystkiego co się zwie: Teatrem, pełnej bystrej obserwacji i cennych uogólnień, przedwczesnie, niestety, zmarły Adam Zagórski, w swej książce p. t. „Walka o Teatr“ (nakład F. Hoesicka, Warszawa, 1931) zabiera głos w tej sprawie. A, przyznając wielką wagę twórczej pracy reżysera, malarstwu dekoracyjnemu u nas daje zaszczytne stanowisko. Wymienia nazwi-

ska naszych świetnych pracowników na tem polu: Frycza, Drabika, Fr. Siedleckiego, Mehofera i mówi:

„Niestety jednak ambicje malarzy - dekoratorów górują i wynoszą się ponad prawodawstwo teatralne, które zjednoczenie twórczych elementów nakazuje“.

Potem zupełnie znów krytykuje nadmierny zbytek naszych wystaw i pisze:

„Temu zwłaszcza tamę położyć należy. Przepych zewnętrzny nie najrzadziej gubi sztukę, jest wrogiem tego, cośmy pięknem przywykli nazywać. Prostota i pogłębienie twórcze każdego szkicu, wydobyć go nie z dorywczej fantazji, ale z pracy nad dziełem, powinno być ideałem tego dekoratora, który do czołowej roli w teatrze rości sobie prawo“.

A ponieważ wystawa sztuk w Krakowie była powierzana przez reżyserów mej pomocy, więc oczywiście wszystkie te refleksje pchały mnie w bezdeń pracy.

— Jakże, jakże — biadałam — mogą tu być ściany kolorowo-wzorzyste, kiedy tu musi być spokój i cisza, cisza niczem nie naruszona.

— Jakże, jakże, tu dać meble nowe, kiedy tu właśnie muszą być takie z przed stu laty, na których musi być znać długie życie tego domu.

A dopóty biadałam, kręciłam się, szperałam, aż nareszcie wydobywałam takie meble z przed stu laty właśnie i wtedy wszystko dociągało się do tonu, do obrazu, do duchowej całości z treścią sztuki.

Troski moje musiały być szczere, bo zniewalały. I zawsze zdobywałam, z pomocą ludzką, to, czego dana chwila wymagała.

\*

\*

\*

Każdej sztuce należna jest jednaka staranność wystawy. Zła czy dobra, przyziemna, czy niebios sięgająca, jest to zawsze czyjegoś ducha — ukochane dziecko, a więc to, co się ma w życiu najdroższego. To dziecko jest powierzone teatrowi.

Wszystko, co w mocy ludzkiej, zrobić należy, żeby wyzyskać najlepszą i największą sumę stron dodatnich tej czyjejś drogiej własności, temwięcej, że z tem związany jest zawsze kawał ludzkiego szczęścia.

Jednakże, niech no przyszła „Nieboska“, „Wesele“, „Horsztyński“, „Herodjada“, a nawet współczesna sztuka, do której można się było zapalić, to aż skry leciały, tak szła robota, a paliła się w rękę, ogarniając płomieniem zapalę wszystkich i wszystko dookoła.

Wszyscy tam wtedy miłowali sztukę i teatr.

W prowincjonalnym teatrze, gdzie, z konieczności, co tydzień gra się premierę, — niedziela i poniedziałek to znużenie jeszcze u wszystkich po zeszlotygodniowych wysiłkach. Chociaż już w poniedziałek — o nędzo aktorskiej pracy, — jest próba. Wtorek i środa już się każdy prostuje, do nowego gotując boju.

Czwartek naprężają się struny nerwów.

Piątek dwie próby. Rano i generalna wieczorem. I tu jest piekło.

Reżyser wrzeszczy, aktorzy klną, aktorki zdenerwowane. A sufler! Nieszczęsna ofiara. Pan Bóg napewno stworzył inną glinę, z której ulepił suflera. Inaczej wprost wyobrazić sobie nie można, aby jakikolwiek człowiek na świecie, taki sam jak my, mógł przeżyć to, co przeżywa sufler — na próbie zwłaszcza generalnej i to nie tylko w prowincjonalnym teatrze, w Polsce, przy intensywnej robocie. Nawet w Paryżu, na scenie

Antoine'a, co naocznie stwierdziłam. Co chwila ktoś na niego tupie, tak samo tu, jak tam, aż tumany kurzu, z teatralnej podłogi nieba zda się sięgają. Wrzeszczy, klunie. „Imbecile“ pada, z pogardą zwrócone do budki suflera, w Paryżu. Narodowe „Psiakrew“, wychodzi równie snadnie z ust gwałtownego Otella, jak słodkiej i cichej Desdemony w Krakowie czy w Warszawie. Meble dostają nogą... w nogi. Reżyser się niecierpliwi. A że przy tem rekwizytor wlatuje i wylatuje (nie można powiedzieć wbiega) tapicer, na zmienne ciągle rozporządzenia, rusza w milczeniu ramionami, ale mści się na chłopakach... chłopaki poszturgują się wzajemnie i robi się sądny dzień.

W sobotę rano gorączka dochodzi do maksimum tego, co człowiek przeżyć może, wszystko jest naładowane elektrycznością. Wieczór zaś, na przedstawieniu, wszystko wre, kipi, miota się, szaleje, kocha, nienawidzi, tryumfuje lub pada — na scenie. Ale, za kulisami już nie bywa głośnych awantur. „Fryzjer!“ — rozlega się namiętnie rozkazujące wołanie, po korytarzach, bo wszyscy chcą mieć go naraz, potem jeszcze tu i owdzie, „fryzjer!“ — znów „psia krew!!“ i już cisza.

Jest to coś, jakby głucho wrzenie wewnętrzne wulkanu, który co chwila buchnąć może lawiną żaru i płomieni. Noc zapada. Milknie to na dzień, dwa, żeby znów z nowym autorem wcielać się w nowe formy, nowemi drzeć namiętnościami, w nowych stwarzać nowe sytuacje, z tym samym zawsze nakładem pracy i siebie, swoich nerwów, sił, swego istnienia.

To ciężkie.

Nad tem mało kto myśli z tych, którzy myślą o tem; „jak też to tam jest za temi kulisami, co się tam dzieje?“



\*

\*

\*

Nieraz, zmordowana, po urządzaniu, wśród krótkich minut antraktu, jakieś pięknej areny, na której rozgrywać się ma zatarg dusz, poplątanych w sieci nieubłaganych kolizyj psychicznych, usiadłam sobie w kącie na zwitkach wielkiego dywanu, który już „grał“. Wszystkie barwy i wdzięki, jakie przed chwilą miał dla publiczności, zwinął w siebie i oto leży zmęczony, szary. Ja też w szarym kitlu, wypoczywamy sobie oboje. Szary od podszewki dywan i ja od wierzchu szara.

Wśród ciszy zakulisowej dochodzi nas od czasu do czasu ze sceny wyraz; żartu, wymówki, groźby, rozpacz czy wreszcie. Rampy światła za kulisami do połowy przygaszone, aktorzy, oczekujący kolei swego wejścia stoją — w milczeniu nasłuchują. Inspicjent, z oczyma wkućmi w egzemplarz, jak dyrektor batutą — ręką z ołówkiem — wylawia z mroku kulis tego, kto na placu boju w danej sekundzie ma ruszyć z kolei.

Wtedy myślę: Czego tej zwartej ludzkiej rzeszy trzeba? Tysiącem oczu, jak jednym okiem przykuta do sceny. Zdawałoby się, że trochę tylko malowanych szmat, przymocowanych kruchymi świderkami do desek podjuma scenicznego, trochę szminki i fatałachów, trochę szychu jej wystarcza. Albo, może tylko trochę banalnego głupstwa. A jednak, jakąż moc twórczego ducha musi koncentrować, z każdej dziedziny, ta scena, aby na prawdę wzięła, opanowała. ujarzmiła ten nieznany, różnorodny tłum i zniewoliła go do oklasku.

Co myślał dywan — nie wiem. Ja wiem, że za chwilę miała być zmiana i znów krótkie tylko minuty na nowe



zabiegi w czasie antraktu i myślałam, że wdzięczne serca powinny ogarniać wszystkich, którzy dają szeregi tych pięknych ułud i miłość winna otaczać te kwiaty, których czar choćby na chwilę upaja.

To także cząstka — radości życia.

## KOBIETA W TEATRZE.

W tem „piekle“ czy „edenie“, na tych grzędach, różnem zielem zarosłych, jest jeden cudny kwiat — kobieta.

I oto długo myślałam, długo się wahałam, mogę szczerze powiedzieć, wiele przecierpiałam, zanim wzięłam pióro, aby pisać o aktorce.

Dlaczego?

Może wprost dlatego, że sama w każdym calu — tylko kobieta. Że, jako taka, jeśli nie wszystkie drgnienia kobiecego serca rozumiem, za co Bogu niech będzie chwała, a ludziom wdzięczność do końca dni, wszystkie napewno wyczuwam. Na to, aby tak było, bywałam dość szczęśliwą i dość nieszczęśliwą. Dosyć kochaną i niecierpianą. Dosyć uczciwą i grzeszną. Dosyć dobrą i złą. Toteż mało jest nut bólu w ludzkich cierpieniach, które nie znalazłyby echa w mojem sercu.

A życie aktorek, które dość dobrze poznałam, odźwięków takich obudziło we mnie dużo, bardzo dużo.

Zażyłych stosunków, w ścisłem słowa znaczeniu, z aktorkami miałam niewiele.

Najpierw, prawdziwie zbliżył mnie los do ich życia w wieku, w którym rzadko już nawiązuje się nowe ni-

ci zażyłości, zwłaszcza jeśli niema po temu zasadniczych łączników, jednego środowiska, jednakich stać nawyków, upodobań, umiłowań, ni jednej pracy. A potem, jest to życie tak całkowicie odmienne w swem założeniu, że przystosować się doń, komuś, z zewnątrz jest niezmiernie trudno, prawie niepodobna. A jednak przystosować się w pewnej mierze i chciałam i umiałam.

Niektóre aktorki mówiły mi z tej lub owej przyczyny dużo o sobie.

Najczęściej mało prawdziwe były wtedy.

Niektóre mówiły niewiele.

Te były prawdziwsze.

Jeszcze inne nie mówiły nic. Czasem westchnęła któraś, czasem zapłakała, czasem... zakłęła.

Te były może najprawdziwsze.

Słowem, pisać mi o aktorkach trudno, ciężko, prawie strach.

A pominąć tego tematu, pisząc notatki z przeżytych chwil za kulisami, nie można, nie trzeba, nawet nie należy.

Wyobrażam sobie, że chirurg, który ma pod skalpelem życie ludzkie, a ludzi kocha i zawód swój miłuje, doświadczać musi tego drżenia, jakiego ja doznaję w tej minucie...

Dlaczego?

Bo życie aktorek składa się z tylu włókiełek niedostrzegalnej czasem cienkości, nienawykłemu do patrzenia w tym kierunku oku -- tyle każda nitka, którą są omotane te istnienia, więzi kombinacji, a tyle w ich matni splecionej szamoce się i wiję dusz kobiecych, różnej treści i bez treści, różnej miary i wiary, że strach przeżywa, czy się z tego wybrnie. Pominąć, przeoczyć, za-

pomnieć nie można niczego, bo możesz tem zranić, szarpnąć, bodaj zasmucić jakąś duszę kobiecą. Możesz najniesłuszniej coś chybić i nie dać całości obrazu ogólnego tego żywota, pełnego nieartykułowanych nut, nie-normalnych uderzeń pulsu.

\*

\*

\*

Czy teatr kształci i doskonali charaktery?

Po co miałby to robić? Nie jest to ani jego powołaniem, ani przeznaczeniem. Mogąc oddziaływać umoralniająco, wzniośle, ożywczo, nie jest sam w sobie szkołą moralności.

Ale czy dlatego ma być szkołą niemoralności i ma z zasady wszystko paczyć, co w siebie wchłonie i, jak smok żądny, ma jadem swym zatruć każdy organizm, zanim go przeżuje i strawi?

Czy dlatego aktor ma być wiecznie przedmiotem nieokreślonej opinii, aktorka synonimem — wyzwolin z kanonów umówionej moralności?

Nie zdaje mi się.

Jest to wprawdzie sprawa niesłychanie trudna do rozstrzygnięcia, bo kryjąca w sobie bezdeń drażliwości, ale, nie mniej interesująca i godna poważnego wejścia.

Ile razy z ludźmi, nawet kompetentnymi, mówiłam w tej sprawie — odpowiadali mi: „Na całym świecie w teatrze tak jest“. To znaczy: nie jest normalnie w stosunku do prawidłowego życia ludzi, pracujących zawodowo.

I nic mnie to nie przekonywało.

Bo, może na całym świecie być źle — a nie idzie za tem, żeby się tego samego zła nie próbowało naprawić u siebie w domu.



Co i jak mówi się o aktorce?

„Aktorka“, — mówi się z zachwytem, wkładając w dźwięk tego wyrazu całą sumę rozkoszy, jaką on w sobie mieści i mieścić może.

„Aktorka“, — mówi się z lekceważeniem, a z okrucieństwem takim, na jakie tylko zdobyć się umie człowiek względem człowieka, i wtedy dźwięczy w tym wyrazie poniżenie, obraza, niemal — wzgarda. Dziś, niezawodnie, pojęcie o aktorce uległo dużej zmianie. Ale ja piszę i uwzględniam to, na co patrzałam i co słyszałam przez lat 45.

Tak. Aktorka — artystka to istotnie czarowny twór.

Talent obrał sobie siedzibę piękną, składając iskry swego Bożego ognia na tem paliwie, które umie wystrzelić gorącym płomieniem — pod niebo. W tej duszy, która potrafi potokiem wrzółku uczucia — rozgrzać, zapalić, porwać. W tej mocy, która obojętnego zmieni w zapaleńca, która podbije, uwięzi, przykuje. To słońce w ciemnościach „zakulis“ i słońce, émiące miliony sztucznych światel na deskach teatru. Czarodziejka, na której pojawienie z zapartem tchnieniem czeka tłum. Ciepło, światło — poezja sceny.

Jest kapryśna, nieobliczalna. Zła, szalona, lekkomyślna. Tkliwa, rzewna. Współczująca i wspaniałomyślna.

Depce po kwiatkach — może po sercach. Rwie pęta



umówionej moralności, oburza, gorszy, ale czaruje i zachwyca.

I za ten jeden moment artystycznej podniety, za to jedno drgnienie, które całą istotę tłumu przejdzie — kiedy jej taka wola, jeśli jest co do wybaczenia, wybaczają się jej zawsze wszystko, po wszystkie czasy, dając wzajemian uwielbienie. Witają i żegnają ją oklaski tłumu, otacza zachwyt, szal.

Nikt nie pyta, kto ona, skąd ona? Nikt nie wie, czy ma dom, rodzinę, męża, dzieci, czy jest samotna. Nikt nie umie powiedzieć, czy imię jej prawdziwe, czy przybrane do turnieju, w którym zawsze zwycięża. Nie wie i nie chce to nie obchodzi, czy jest bogata, czy biedna, dobrze czy źle wychowana, wykształcona, czy nie.

Wie, na razie, że jest piękna, porywająca. Że gra, jak nikt przed nią i nikt po niej grać nie będzie. Na brylanty, koronki, pióra, stroje... Nikt nie pyta skąd? Musi to mieć dla publiczności, bo jej w tym pięknie, a publiczność lubi patrzeć na całość harmonijną, estetyczną, świetną. Według niej to się jej należy. Brylanty mieć musi także. Chora, niedysponowana, a nadewszystko „nieusposobiona“ nie powinna być nigdy. Zawsze musi być pełna sił, werwy, dowcipu, przytomności umysłu. Zawsze w pogotowiu mieć spojrzenie, w którym są setki niedomówionych wyrazów, obietnic, zapowiedzi. Tego każdy od niej żąda i po to przyszedł do teatru.

Wiecznie ma płynąć od niej czar ze sceny, który, niaby miękka pieszczota jej delikatnej dłoni, otacza każdego z kolei i wszystkich razem na widowni. Nie powinna znać opornych. Wzajemian: młody, stary, mężczyzna, kobieta, to jeden dla niej wyraz: hołd.

Co wieczór piękna, świeża, tryumfująca, jak Wenus

z piany, falą gaz i miękkiej materji spowita, staje w pełni wdzięków niemal zuchwała — na forum i z tysięcznym tłumem mierzy się odważnie oko w oko. Życie daje — życie bierze. Dla publiczności powinna mieć, bo ona tego czeka i tego wymaga, zawsze blask żrenie gorący — wszystkie wdzięki, którym nie szczędzi podnieity. Ma też zapasy swego talentu, którego objawom nie kładzie tamy. Szafuje nim — bez pamięci. Poza tem, całą gamę wirtuozowstwa uczuć, nabytego nieraz męką życia, i zawsze wdzięczny, czarowny uśmiech, wzamian za żywy oklask. Dla otoczenia za kulisami ma często pioruny w ustach, częściej humor dziecięcy, swawolny. Dla koleżanki, o ile niema zazdrości, ma w zapasie tyśiąc drobnych usług, dla służby ma szczodrość, dla autora słowa podziękki za rolę, dla reportera milion obietnic, dla krytyka czasem ich spełnienie, dla przyjaciela gorący uścisk dłoni — drobny rachunek do załatwienia, dla kochanka rozkosze wiecznie podniecanego temperamentu czy wyobraźni — bez zastrzeżeń. To wszystko powinna mieć dla drugich według ogólnego pojęcia. A dla siebie?

Co ma aktorka dla siebie?

Do odpowiedzi na to pytanie wrócę później.

\*

\*

\*

Teraz, wracam jeszcze do sprawy, którą już raz poruszyłam, że człowiek wiele zawdzięcza środowisku, z którego wychodzi. Że z niego czerpie na całą dozgonną wędrówkę zadatki swych sił życiowych. Wszelkich sił. Moralnych, fizycznych, i materialnych.

Na glebę, z natury swej, plenną czy jałową w tem środowisku padają ziarna. Życie je przeorywa. Wschodzą bujne i silne, lub wątłe i mizerne.

Zdarzy się czasem ptactwo, idące za pługiem, co tak ziarenka wybierze, że gleba nie urodzi nic. Żle było siane. Płytko przeorane. Stąd jałowizna.

A kto, co i jak sieje w tych środowiskach, z których wychodzi aktorka?

Jakich to ona w niem sil nabywa? W jakich źródłach czerpie napoje do nasycenia pragnień, często niespokojnej, z natury, wyobraźni? Co ją do snu kołysze? Co ją z niego budzi? Na co patrzy, co widzi?

Bywa w teatrze taka aktorka, która miała złą matkę i poczciwego ojca, średni byt, ale w nim duży zasób cnót mieszczańskich. Pracowitość, oszczędność, zgadzanie się z wolą Bożą — ostrożność i tę pewną ciszę wewnętrzną tafli stojącej wody. Niema w niej nurtu, niema fal, niema głębi, ale niema i wiru, który w każdej minucie może porwać łódź i wytrącić wiosło z ręki najbystrzejszego pływaka. Wirów tam niema. Wiedziała, od wczesnego dzieciństwa, że ma być porządną kobietą, jak jej matka, po prostu, bez zastrzeżeń — porządną.

Wiedziała, że kłamstwo jest grzechem. Że cudzego dobra tykać nie należy — pożądać, broń Boże!

Dalej, że ma wyjść za mąż, być dobrą żoną i troskliwą matką. Że przytem musi ciągle pracować i łądzić wszystko dookoła. To wszystko wiedziała, ale, mimo to wszystko, jakaś wichura zagnała ją na scenę. Bywa więc taka, co to wiedziała od swoich rodziców i to wyniosła ze swego środowiska i nadal pielęgnuje. Bardzo rzadko, ale bywa.

Ale była i bywa, częściej, aniżeli ktokolwiek myśli,

a raczej nie myśli nikt o tem, bo go to nie nie obchodzi, że bywa inna.

W tym świecie, w którym szuka się czaru i upojenia, rozrywki, łatwego romansu, zabawki, stosunków bez zobowiązań, śmiechu, żartu, dowcipu bez zastrzeżeń i humoru bez miary, nie myśli się wcale, kto to są te istoty, od których się tego żąda, i nieraz prawie tragiczna ich dola, nic nikogo nie interesuje. Bywa tam często taka, która ma matkę, ale nigdy nie znała ojca, — której matka ta w ciągłej żyła szarpaninie, często we łzach, często z przekleństwem na ustach, a zawsze w braku i w biedzie.

Bywa taka, której rodzicielskie kłótnie, ordynarne wymysły, są jedynym wspomnieniem dzieciństwa, zlagodzonem duszną atmosferą jakiejś ciasnej podrzędnej pracowni, w której próbowała szyć lub robić kapelusze w wieku młodzieńczym.

Bywa taka, którą matka oprowadzała dopóty po wystawach, pod bramami torów wyścigowych, dopóty jej wdzięki nęcąco narzucała ludziom, aż została metresą bogatego hrabiego, który w krótkim terminie ustalił, swemi stosunkami, jej pozycję — na scenie.

Bywa, której zawsze kazali pamiętać, jak była dziewczynką, że to, co jest w domu, ma mówić, że jest „od tatusia“, a to było — ona o tem zawsze dobrze wiedziała — nie od tatusia ale — „od wujaszka“.

Bywa taka, która długie lata nie wiedziała nawet, co to matka. A bywa i taka, która w młodości grożąc paluszkami, jak opiewa tradycja, mówiła: „ej, ciotka, jeśli mi nie dasz tego ciastka, to powiem przy wszystkich, że ty nie jesteś moją ciotką, tylko moja ma...“ i urywała. To wszystko bywa — i gorzej jeszcze bywa w środo-





*Helena Modrzejewska*



*Marja Wisnowska*





Władysław Woydatowicz



Marian Prądmowski

wiskach, w których zwykle aktorka czerpie pierwsze natchnienia swych artystycznych aspiracyj.

Te barwne motyle — nie zawsze są pieszczone przez słoneczne promienie życia.

Mało jest artystek, których rodowód dałby się wywieść ze zrównoważonego rodzinnego jasnego gniazda. A jeśli są i takie, prędko załatwiają się z ową tradycją, którą natychmiast warunki życia zmieniają na egzystencje, nawet wśród największego powodzenia, — pełne szamotań, niepokojów i — męki. Im są szlachetniejsze i uczciwsze, tem większej.

Czasem, któraś najzbytniej jakby zabłądzi — na deski. Nie umie się na nich ruszać i albo w porę sama z nich schodzi — co najpomyślniejsze, albo wyrzuci ją fala na mieliznę, z której po ciężkim trudzie do jakiegoś brzegu musi dotrzeć i zawsze nieść tęsknicę niespełnionych marzeń.

Patrzałam na pannę z najlepszych sfer obywatelskich, która została aktorką, nie wiadomo zupełnie dlaczego. Ot, wprost nie miała co ze sobą zrobić.

„Co się z tą dziewczyną dzieje?“ — mówi mi ktoś: — „Wczoraj jeszcze zupełnie przyzwoita panna, a dziś wygaduje takie bezeceństwa, że nie wiadomo, jak wobec niej właśnie na to reagować“.

— „Byłam na wyścigach — mówi mi ta sama panna X. — Zys stawiał mi szampitra. Strąbiłam się tak, że we dwu z Dyziem prawie mnie wniesli do powozu — chcieli jeszcze na knajpę -- ale już nie mogłam. Cóż! Artystka jestem — mogę sobie pozwolić“. — Tak pojmowała swą pozycję.

Dla objaśnienia muszę dodać, że była w teatrze na maleńkiem stanowisku, które zdobyła wielką protekcją

ze stosunków towarzysko-rodzinnych. Talentu nie miała żadnego, urody efektownej trochę, i niezgrabną, na prędcę wyrosłą, jak z pod ziemi, dezynwolturę, która niby miała cechować odtąd jej najfałszywiej pojęte stanowisko — aktorki. Ale ponieważ nie płynęło to ani z jej nawyków, ani temperamentu, ani zamiłowań, a talentu jak w każdej innej, tak i w tej roli było brak, więc robiła bez smaku jakąś karykaturę — niby hetery, będąc śmieszną i wielce niezajmującą. Wyobraziła sobie najniedorzeczniej w świecie, że z chwilą, w której weszła do teatru, musi być rozhukana, trywialną i nigdy już inaczej nie nazywać *spodni* jak *portkami*.

Wyszła wkrótce zamaż. Niebawem zaczęła łątać majtki dzieciakom. O „portkach“ zapomniała. Jest dobrą żoną i ani jej w głowie szampany, kiedyś fundowane przez „Zyziów“, czy „Dyziów“, bo przez chwilę tylko źle rozumianej *pozy* na aktorkę przyjmowała je, bez cienia wewnętrznego nieładu. Więc i to się zdarza.

Obserwacje jednak moje do innych zgoła doprowadziły mnie rezultatów. A chociaż sceptycyzm ani trochę nie jest cechą mej natury, jednak patrząc długie lata na różne adeptki i aspirantki do sceny, doszłam do takich wniosków:

U każdej kobiety niemal zawsze, o ile spostrzegłam, pewna deprawacja wyobraźni była pierwiastkiem decydującym o wstąpieniu jej na deski teatralne.

A dopiero tylko wyjątkowo artystyczne i wyjątkowe organizacje idą na boje sceniczne przez wielką, prawdziwą, pięknie pojętą, szlachetnie odczutą *miłość dla sztuki*.

I tych jest nadzwyczaj niewiele, chociaż niezawodnie są takie.

I dlatego sędzę, że może byłoby pożytecznie, aby każdy kto wstępuje do teatru, obliczył się ze sobą i zdecydował, czemu ma i chce służyć: sztuce czy pretekstowi do urzeczywistniania swych projektów życiowych. Jeśli sztuce, musi się wyrzec kompromisów, gięcia karku, schlebiana na każdym kroku niskim instynktom — lecz ukochać pracę i otoczyć ją powagą.

Jeżeli chce służyć czemu innemu, poco szuka osłony sztuki dla swych celów? Ułatwi sobie na chwilę sytuację, dla tych lub innych obliczeń, ale obrazi sztukę. Ona nie przebaczy tego nigdy i pomści się, prędzej czy później, za swą poniewierkę.

## POŁAWIACZE PEREŁ.

Nie mam powodu, w żadnym stopniu, mieć osobiście jakichkolwiek pretensji do mężczyzn.

Żyłam w tej epoce, w której, wobec nich, miałam nie tylko równe, ale większe prawa, bez żadnej, z ich strony, opozycji.

Zawsze łączyły mnie z tym rodem przyjazne i życzliwe stosunki. Żalów nie mam do nich żadnych. Wdzięczności za ich dobroć dla mnie — dużo. A idąc z pogodą w starość, mam pełną duszę tych jasnych blasków ich umysowości, które często olśniewały mnie w ich towarzystwie i które do dziś opromieniają mi niejedną chwilę życia.

Byłam zawsze raczej ich sojusznikiem, nigdy antagonistką. A wszystkie te zastrzeżenia robię dlatego, że z żalem wyznać muszę, iż w stosunku do aktorki mocno mi się zawsze nie podobali ci mężczyźni, których w zasadzie jestem szczerą przyjaciółką. Jest coś w naturze kobiecej, co się solidaryzuje z wszelką kobiecością.

Gdyby kto przy mnie ośmielił się sponiewierać choćby najwięcej sponiewieraną przez los — kobietę, stanęłabym, bez rozpatrzenia przyczyn ni motywów, zawsze po jej stronie i potrafiła ją bronić. To byłoby mo-



że niesłuszne, i dlatego też nigdybym nie chciała być sędzią, ale wiem, że takbym zrobiła. A cóż dopiero tutaj, gdzie niema żadnego prawa, a często nie było nawet żadnego powodu do pozycji i tonu, który, ryczałem niemal, pozwalali sobie przybierać — mężczyźni wobec aktorek.

Zbliżając się do aktorki, już z góry każdy uważał ją za łatwą zdobywcę, za swoją zdobycę, „byle chciał”.

I powiem, że sprawiało mi to w pewnym stopniu złośliwą, ale dużą przyjemność, kiedyś, niby nie patrząc, widziała jednak, że nie zawsze zdobywał — chociaż nieraz usilnie chciał.

Prawda, że te sfery mężczyzn, których „kręcenie się koło teatru” można było obserwować, to nie są najczęściej ci ludzie, których treść i postawę możnaby uogólnić ze wszystkimi mężczyznami, bez zastrzeżeń. Ale za to ci, którzy, pod jakimkolwiek pretekstem, schwycili sposobność zbliżenia się do teatru strzegą jej pilnie. Z odwagą nurków rzucają się w panujące kręgi teatralnej atmosfery, na której dnie przeczuwają — perły. Czasem im się to udaje, częściej — nie. Ryzyko niewielkie, bo znów nie są to głębie bez dna — więc próbują, mając zawsze ton irytująco poufały w obejściu z aktorkami.

Na usprawiedliwienie zaś: „Aktorka, zepsute stworzenie”, powtarzają sobie i innym.

Być może, ta i owa jest zepsuta, ale nie każda przez ciebie, więc dlaczego, łaskawy panie, wchodzisz bez zastrzeżeń w prawa, których ci nikt dotąd nie dał i chcesz korzystać z przywilejów, do których się niczem jeszcze nie przyczyniłeś. — To mi często przychodziło na myśl, patrząc na trywjalne zaloty, podejmowane z miejsca

wobec aktorki. I, póki nie poznałam zbliska życia zakulis, dziwiłam się nieraz małej oporności tych kobiet, wobec niezdolnego zachowania się, które zbyt często można było zauważyć wśród onych nurków, a potem, to się już dziwić przestałam i konieczności znoszenia go szczerze współczułam. Czy ta konieczność jest i skąd ona wynika?



Teatr, sam w sobie, mógłby mieć i jestem przekonana, miałby o wiele normalniejsze stosunki, gdyby nie te kręgi, które najbezpośredniej go otaczają, gdyby nie atmosfera, którą one stwarzają, gdyby nie pęta i kajdany — nieszczęsnego, obezwładnionego, w pewnym kierunku, przez tę atmosferę — organizmu teatralnego.

Więc: owi poławiacze pereł, którymi są: Protektorzy aktorek i dygnitarze, a nadewszystko, pewni recenzenci i reporterzy teatralni.

Gdybym miała swój własny teatr, to zupełnie z zimną rozważą, ale i niezłomną stanowczością, napisałabym u jego podwoi: *Prasie, piszącej recenzje i rozmianki teatralne, — rękę wzbronioną.*

I jestem najgłębiej przeświadczona, że to byłby olbrzymi krok naprzód w uzdrowieniu, naogół, stosunków w łonie teatru, a nawet jego interesów.

Kto jest zdaleka od trybu życia teatralnego, zdanie to może mu się wydać wysoce paradoksalnem. Tak: kto jest od kuchni teatralnej zdaleka. Ale kto raz wszedł za kulisy i bierze bezpośredni udział w życiu teatru, kto blisko patrzył na bezprawia, jakich się ta prasa dopu-

szcza na dyrektorze, autorze, aktorce i aktorze, ten wie, że wszelkie chłodne dysertacje na ten temat ustać muszą. Że natomiast wszystko, co jest w ludzkiej naturze sprawiedliwego, zamienia się w nim w krzyk umotywowanego oburzenia. Niema ani aktora, ani aktorki, ani reżysera, ani dyrektora, niema uczciwego poważnego literata-recenzenta, ani reportera, któryby mi nie przyznał, że prasa nieuczciwa i lekkomyślna była, a podobno i bywa, rozkładowym czynnikiem w sferach teatru. Patrzałam własnymi oczyma, patrzałam zdaleka i zbliżsk, co to się wyrabia w teatrze, aby zdobyć te drogi, przez które otrzymuje się pochlebne drukowane słowo. Dziś to wszystko błędnie, maleje, wobec ważniejszych spraw, które, wywierając wpływ na codzienność naszego istnienia, zabierają nas w swe kręgi, oddalając często osobiste interesy na bok. Ale długo patrzałam na zabiegi, które zamieniały się niemal w sport zdobywania względów dziennikarzy, i patrzałam, jak ci ludzie poniewierali swe stanowiska dla dogodzenia własnej próżnoscie lub próżnostce swej protegowanej.

Tu znów jedna refleksja.

Jeśli zastanawiamy się, skąd się rekrutowały zastępy aktorów i aktorek, aby rozwiązać niejedną psychiczną węzeł ich istnień, to z kolei zapytałby należało i zdać sobie dobrze sprawę z tego: jacy to bywali ci piszący, niestety, poniekąd kierownicy opinii w pewnym zakresie i w pewnych dość szerokich sferach publiczności, ci dziennikarze? Ilu było, wśród tej kategorii ludzi, w doniosłem słowa tego znaczeniu? — Ja na to nie odpowiem.

Wprawdzie, wysoce inteligentna i na punkcie oceny teatru bardzo kulturalna, publiczność krakowska mało przywiązywała wagi nie tylko do wzmianek, ale nawet

do recenzyj tetralnych. Stać ją było na własny sąd wyrobiony i nim się kierowała. Ale to może się zdarzyć tylko w mieście niewielkiem, w którym Uniwersytet i Akademje muszą promieniować i nadawać pewną dostojność sądom zbiorowym.

W wielkich środowiskach musi się dziać inaczej. Prasa musi mieć większe znaczenie — i ma je. Wiem jednak, że słuszość miał jeden z poważnych publicystów w Warszawie, bo Ludwik Straszewicz, mówiąc, że „prasa najsmadniej gnije od strony teatru“. Niechby sobie gniła. Ale niechby zgnilizną tą nie byli zmuszeni oddychać ci wszyscy, których losy są z teatrem złączone.

Ileż to czasu zużywa się na stawianie tam, tysiącom dopływowych i złych strumieni do tego morza pracy, broniąc je od zbiorowego zatrucia! Czasu, któryby można obrócić na usługi lepszych celów.

Ileż to energii pochłania ludziom uczciwym walka z tem, co ich spotyka w obrębie teatru, ile naszarpią nerwów, ile wyczerpią sił!

A jednak ta ciągła walka być musi. Podejmować i utrzymywać ją należy i wierzyć mocno, że ani powinna, ani może być — beznadziejną.

Lekkomyślna i nieuczciwa prasa zostawiła mi tyle wspomnień dokoła ludzkiej męki, tyle bezbronnej krzywdy, a sama tyle pośrednio i bezpośrednio dała powodów do zmacenia myśli, że, istotnie, trzeba było mieć wielki zasób energii i nieugiętej wprost siły woli, żeby, wobec niej, zachowywać zawsze godną człowieka postawę.

Nieokielznane jakieś rozbrykanie, podczas sześciu lat kierownictwa teatrem krakowskim przez mego Męża, którego dowody składano na szpaltach, nie mówię już —



szmat drukowanych, opartych na bezwstydnym szantażu, ale nieraz i pism poważnych, których współpracownicy swoje drobno-miłosłkowe sprawy brali, jako główny motyw sądów o sprawach teatru, nie dawało wprost wytchnienia.

Dość było, aby nie dostała roli, przechodzącej miarę talentu, protegowana przyjaciółka, żeby byle smarkacz, najczęściej niedouczek, staczał o nią nieprzystojne boje. Ten, którego mam na myśli, bez chwały wycofany z piątej klasy, a całych lat dwadzieścia i jeden liczący, pisał aroganckie uwagi o robocie mego Męża. Uwagi przepojone jadem, na jaki zdobyć się może tylko rozdęta ambicja, nie wsparta nawet, jak w tym razie, żadną domową kulturą — głupca, o pracy człowieka, który daleki od wszelkiej pychy, wnosił jednak do roboty teatralnej, co najmniej, godne poszanowania pierwiastki.

I nie znalazł się żaden zwierzchnik, któryby to ukrócił? — Nie znalazł się, bo znów pewno dogadzało to jego drobno-miłosłkowym sprawom, bo zresztą zdarzało się, że obrażone ambicje literackie i poetyckie stawały do turnieju z chłystkiem i... hajże na Soplicę, w zgodnym rytmie!

Łamać to nie mogło!

Kto ma poszanowanie dla swej wewnętrznej prawdy, ten umie także oszańcować ją mocno. Nie dojdzie tam byle co, nie dotknie jej byle kto. Zbyt daleka do niej droga, a przedział nie dla wszystkich do zdobycia.

Że jednak mąciło to spokój, który do intensywnej pracy jest potrzebny — do pracy, zresztą, odtwórczej, często nawet twórczej, jaką jest robota teatralna — to pewna.



W słońcu i cieple rozkwita kielich kwiatu barwnego. Światła i życzliwości potrzeba jest każdej robocie, aby normalnie i zdrowo prosperowała, a najwięcej — w pracy artystycznej. Zupełnie zrozumiałą był dla mnie fakt, który zaszedł w pewnej sali koncertowej w Krakowie.

Znakomity wirtuoz skrzypek, występujący gościnnie, spotkał w szeregach słuchaczy spojrzenie, które go zmroziło i zmaciło jego równowagę. Należało ono do człowieka, zajmującego wybitne stanowisko artystyczne.

— Jeśli jeszcze raz to spojrzenie pochwyć—smyczek wypowie mi posłuszeństwo... Nie będę mógł grać. Więc proszę, niech ten widz opuści salę.

Rada w radę, widza zawiadamiają o kaprysie artysty.

— A toż co takiego! — mówi w pierwszej chwili z oburzeniem, ale po namyśle, filozoficznie, z lekceważącym machnięciem ręki, do którego dodaje „czort z nim“, opuszcza salę, czemu towarzyszy wdzięczność reszty audytorjum, niepozbawionego rozkoszy napawania się cudną muzyką wielkiego wirtuoza.

Zapewne, że było w tym fakcie zawiele megalomanji, może dużo nawet hysterji, nie licującej z powagą wielkiego artyzmu.

Ale zrozumieć go, mimo to, można. Bo któż zresztą wie, czy przeczulone nerwy artysty nie odgadły duszy tego spojrzenia. Znaliśmy je. Bywało w niem dużo rozumu, dużo dowcipu i sprytu, ale bywało i dużo złośliwości, graniczącej często z brakiem liczenia się ze szczęściem ludzkim.

Nie piszę dziennika, nie gonię ani trochę za sensacją, o którą byłoby łatwo przy tego rodzaju treści, nie myślę kreślić sylwetek, które na poszczególną pamięć ni-

czem nie zasługują. Nie pragnę notować faktów, które nie są najbliższej z daną chwilą związane, więc nie przedstawiają nic zajmującego.

Nie pamiętam już dziś wielu rzeczy, a choć pamiętam, nie chcę wskrzeszać wspomnień, z dziedziny bezpośrednich przeżyć w zetknięciu z niektórymi przedstawicielami prasy. Czytelnik, co najwyżej dowiedziałyby się, jak należy robić kompromisy z bezładem, aby kupić chwilowe powodzenie. Jakich trzeba przymiotów na dyrektora teatru, aby one dały spokój bieżącego momentu. Jak wygląda opór wobec tego i czym się go okupuje. Sądzę jednak, że poświęcać zbyt wiele miejsca takim faktom — byłoby dla nich może za dużo honoru, choć dla jednego, muszę zrobić wyjątek.

Jasno za to formuluje się synteza tych spraw i twierdzić każe, że nieuczciwa prasa była jednym z najbardziej deprawujących czynników w zakulisowym życiu teatru. A jeśli to piszę z takim gorącym przekonaniem, to dlatego, że miałam sposobność patrzeć na istne męki, nie tylko aktorów, ale i autorów, bo przecież to łączy się wszystko: w teatr, których, z ubocznych powodów, za słabą sztukę — wieszała krytyka, jak zbrodniarzy. A potem i dla tego, że przecież miałam męża aktora i dyrektora teatru, który nie miał ani trochę zarozumiałości. I męża — aktora, który, chociaż się nie tylko na prasę wogóle osobiście nie skarżył, ale przeciwnie był jej zawsze wdzięczny za uznanie, to jednak przeżywał dość długi okres, w którym, wychodząc z domu do teatru mówił:

— Przeżegnaj mnie, bo ja się boję wyjść na scenę. Gardło mi się zaciska, jak ich zobaczę, siedzących w krzesłach. Boję się, boję, a oczy mu się szklify.

Żona aktora nie zna wtedy granic dla swoich uczuć i w takich właśnie chwilach doszłam do rozpacznej konkluzji: gdybym własny teatr miała — prasa nie miałaby doń dostępu.

A Dygnitarze?

Od powietrza, głodu, ognia i wojny z nimi, do której jakże często przychodzić musiało! Nic sobie z niej nie robić i lekceważyć jej konsekwencje mogła tylko tak dobrana, pod tym względem, para, jaką stanowiliśmy — właśnie — my oboje.

Wszystko, co ludzkie, mija szybko.

A jeśli w poczuciu wyższych zadań i głębszych motywów o tem się pamięta, to zostaje jednak wewnętrzne zadowolenie zwycięstwa nad małostkami, co daje niczem niepokonaną radość życia, z którą ciągle, bez względu na to, co bolało wczoraj, sięga się, pogodnie po nowe zdobycze dla jutra.

## W OBRONIE CZCI.

A jednak, jakie to chwile życia gotowała owa lekceważona przez nas — prasa. Oto przykład:

Było dwoje ludzi na świecie, z których opinią się liczyłam i na których opinii zależało mi: mój Mąż i Matka mojego Męża. W Krakowie przybył nowy element: koledzy w pracy na scenie. Artyści, maszyniści, służba teatralna, element, wśród którego przez sześć lat bezpodzielnie upływało moje życie. Ceniłam bardzo ludzką życzliwość, dbałam o nią. Przyjaźń chciałam i umiałam pielęgnować, ale sądy ludzkie o mnie już wychodziły poza granicę moich zainteresowań.

Powiedział ktoś dobre słowo.

— Panie Boże zapłać.

Nie.

— Bóg z tobą.

Uważałam, że tworzenie życia, co jest obowiązkiem każdego, zwłaszcza kobiety, stojącej na czele rodziny, życie samo wreszcie, tyle zajmowało czasu i tyle nastroczało pracy, że w niem tyle można było dać i tyle z niego wziąć, że na słuchanie, co kto o mojej małej znaczącej istocie mówi, która, notabene, sama miała bardzo rzadkie chwile zadowolenia z siebie, nie warto było zużywać ani minuty.

Ale, ponieważ Matka ufała, Mąż był dobry, wyzuty, względem mnie, ze wszelkich egoizmów, a świat artystyczno-literacki zwalniał z wielu form towarzyskich, które się znało na pamięć, ale się ich nie praktykowało, więc, oczywiście, nieraz pozwalałam sobie na pewną dezinwolturę, dyktowaną humorem, żywością temperamentu i bez troską osoby szczęśliwej w domu. Pozwalałam sobie na tę swobodę, która, nie obrażając umówionych kanonów przyzwoitości, nie krzywdziła też nikogo, a, jeśli komu zaszkodziła, to tylko mnie samej.

Nie podobał się sposób mego postępowania, o co było łatwo, ktoś dawał temu wyraz krytyką, miał prawo do swego sądu. Nie miałam o to nigdy urazy. Przeciwnie bardzo często, o ile mnie to doszło, czego, na ogół, szczerze unikałam, przyznawałam słuszość, patrząc na dany temat z punktu widzenia sądującego.

„Restauracje“, „kolacyjki“, „bibki w knajpce“ — kłóły w oczy. I słusznie. Niechże Bóg broni, żeby wszystkie kobiety ciągle tam bywały. Ale i ja nie bywałam tam ciągle. A że Mąż, o ile szedł, wolał iść ze mną, aniżeli sam, to tylko Boga chwalić i iść zawsze wszędzie, kiedy zechce i dopóki zechce. Byli i tacy, co znów na to mówili mi:

— Pilnuje go też pani, pilnuje...

— Czy nie mam czego? — odpowiadałam z humorem.

Pracowałam od pierwszej chwili zagospodarowania się w Krakowie bardzo usilnie. Nie stroiłam się. Mało bywałam, choć dzięki ludzkiej dobroci, dużo osób przychodziło do nas.

Robiąc obrachunek sumienia z życia, nie będę miała grzechu obmowy żadnej kobiety. A że gości był pełen dom, że humor i życie w nim kipiało, że dostawałam dużo



kwiatów, że raz wraz czekał na mnie jakiś pęczek „ziela“, jak ktoś mówił, w naszej łoży, to i chwała Bogu. Za kwiatami ginęłam całe życie, aż po chwilę bieżącą. I, po chwilę bieżącą — dostaję je stale.

A w większej jeszcze mierze za spacerami zamiejskimi. Byle na zagony! Tyle tam cudów czekało. Tyłe ścieżek wołało. Tyle radości życia przybywało. Nieraz, do dziś, idąc byle miedzą, myślę, jak upośledzeni są ludzie, którzy nie umieją patrzeć i widzieć, co się to dzieje na tej wielkiej ziemskiej przestrzeni, pod tą olbrzymą kopułą nieba. Coto za cud to dzieło Pana w przyrodzie, ile Bożych głosów w tej ciszy natury.

Chodziłam dużo, będąc za granicą. Robiłam cudne wycieczki w Szwajcarji, gdzie gorejące szczyty Alp przy zachodzie słońca gięły mi kolana.

A wartkie potoki po skalistych zboczach żłobiąc drogi z niesłabnącą nigdy siłą, i miażdżąc przeszkody, prowadziły myśl w nieskończoność cudów Bożego tchnienia.

Upajające wycieczki w bezmiernych lasach Fontainebleau we Francji, gdzie spotkany kozioł z krzewiastą koroną rogów nad czołem, stanął, spojrział oko w oko zapatrzonemu w niego człowiekowi i wspaniałymi susami umknął w gęstwinę. Pan — u siebie.

Śliczne długie spacery nad jeziorami bawarskimi, a jeszcze piękniejsze nad Garda, Como i Lago Maggiore, z kąpielą wprost z łodzi na głębinie.

Cudne modrzewiowe lasy, lekkie, zda się, gotowe do poddania się każdemu wiatru podmuchowi i potężne buków wiązadła, niby sklepienia najwyższych świątyń gotyckich, z zielonemi kobiercami mchu i paproci pod stopami, na brzegach Bałtyku.

Przeszłam pieszko cały belgijski brzeg morza, od gra-

nicy holenderskiej do Calais, spotykając się z mężem w miejscowościach umówionych, do których dojeżdżał kolejką.

Widziałam północnej zorzy promienie, ogarniające, zda się, cały świat swym pożarem. I, gnały mnie gorące wichry południowe, zabłąkane na stepach Pobereża wraz z moją tęsknotą.

Zresztą, nie było stolicy w Europie, z której nie znalazłabym drogi w zagony kartofli, byle od zgiełku i od-mętu miasta, w zagony! Dopiero jednak w kraju własnym, opanowywał mnie szal wypraw pieszych. Wszystkie nęci, woła, zniewala. Prawda, że tu mostek złamany, tam skrzywione drzewko nie podparte, tu chata się wali, a na drodze umorusany, brzuchaty dzieciaczyna z palcem w gębulce. Prawda, że tu ciągle znać sierocą dolę kraju, co przez wiek był bez ojca ni matki, ale mój rodzony, droższy nad wszystkie świata cudy.

Więc Zakopanego doliny i szczyty, i wody — czary. A nawet w roku, w którym to piszę, jeszcze raz Morskie Oko i Czarny nad niem staw, niby tajemnica Boża, w niezmaconej powadze i ciszy mówiąca oniemiałemu człowiekowi o wieczności, o niepojętej wielkości i o tem, że jest tylko atomem — atomów, zabłąkanym we wszechświecie. Te łańcuchy piętrzących się szczytów — to leki dla każdego bólu, to nabranie w duszę Bożej potęgi, z nią siły, energii i radości istnienia.

A nasz Bałtyk z puszcą Tucholską. A Kartuzy i wśród lasów gąszcza szeroko otwarte oczy błękitnych jezior, patrzących z wiarą w Niebo, ufne, że na wieki zostaną skarbem Polski.

Mąż mój, nigdy nie był piechurem, więc nieraz na odległe pisze wycieczki chodziłam ze znajomymi czy

przyjaciółmi, bo kobietę wówczas znaleźć jako towarzyszkę — był to rarytas.

Pamiętam, jak prof. Rostafiński mało życiem nie przeplacił pewnej wyprawy, bo serce nie nadążało krokom, kiedyśmy w gorący dzień powędrowali jednym brzegiem Wisły — do Tyńca, a drugim pod zachód wracali do Krakowa.

A wszystko to piszę dla tego, że to było jedno ze źródeł owych „plotek“. Na tych spacerach właśnie, spotykałam nieraz kogoś, kto mi rzucił spojrzenie niby sztylety. Dla czego? Bo na szerokim gościńcu towarzyszył mi pan Z. lub na ścieżce w zagaju pan Y. I potem już nie dogonić łańcuszka obmowy. I ileżbym z tego powodu cierpiała, gdybym cierpiała. Ale nie cierpiałam wcale. Śmiałam się. Bo gdybym miała te najgorsze cele, jakich się domyślano, tobym przecież nie szukała na to uczęszczanych i rozstajnych dróg. Żaden mąż w rezultacie nie rozszedł się z żoną przeze mnie, choć niejeden parę dobrych mil zmierzył ze mną po cudnych okolicach Krakowa i nie Krakowa. Nikt się dla mnie nie zastrzelił, nawet nie postrzelił.

Natomiast, jeśli ktoś wolny, dał mi wyraz wyjątkowej sympatji, to napewno przeradzała się ona w nim, w tak zdecydowaną chęć ożenku, że natychmiast się żenił, oczywiście, nie zemną.

— Szczyć Boże — z serca życzyłam każdemu na tę najtrudniejszą ale i najpiękniejszą formę życia, jaką jest małżeństwo.

Skąd i dlaczego koło mnie skupiała się jakaś uwaga? Czemu zaczęły się tworzyć jakieś fantastyczne opowieści, o których czasem głucho dochodziły mnie echa?

Byłam koło teatru, a potem nietylko jako żona dy-

rektora, ale jako pracownica w nim samym, w mieście, w którym, wówczas jeszcze, kobiety — wstydziły się pracować, jeśli coś zarabiały — to w sekrecie.

Tylko więc chyba temu przypisać należało uwagę, jaką na mnie zwrócono; zwłaszcza, że do tego skłaniał się cały tryb mego życia, praca i zabawa, spacer, wyjazdy, to do Berlina, to do Wiednia, na zobaczenie jakiejś nowej sztuki. Przyjęcie w naszym domu, bez wina, kart, a często trwające do świtu. Zgoda z życiem zakulisowem i ze światem aktorskim, o którym mało kto miał należyte pojęcie, jakie jest ono naprawdę, domyślając się jednak i słusznie, że musi być w pewnej mierze przeciwieństwem życia burżuazyjnego, a nadewszystko i szanownych matron, których względami jednak się cieszyłam.

Zaproszenia „pod Barany“, szczyt marzeń każdej wówczas mieszczi, jednocześnie bytność w Żydowskim Kasynie na ulicy Zielonej, znów zaproszenie na bal do Namieśnika i fartuch przy pracy za kulisami — wszystko razem przepełniało brzegi tego, co się nazywało utartym konwenansem i czem były napelnione mózgi tych, którzy się temu dziwowali.

A potem przyznać muszę, że uznając w zupełności i czując, że drażnię kogoś tem właśnie, że nic sobie nie robię z małostkowych zarzutów — wyzywałam ludzi.

Bo np. jeden z panów artystów-malarzy, z powodu owej mojej szkoły sztuki stosowanej, jaką prowadziłam w Krakowie, i mego zawsze bardzo szczerego, ale nikłego w gruncie, interesowania się nawet może więcej malarzami, aniżeli ich sztuką, — nazywał mnie „kolegą“.

Było to dla mnie niezawodnie wielce zaszczytne i miłe. Ale to się już komuś nie podobało i pyta mnie:



— Dlaczego „kolega“, skąd „kolega“, bo ja jestem kolegą pana X. z kwartetu, to rozumiem, ale pani?

— Z duetu — odpowiadam — z najmilszym uśmiechem, a w duchu myślę: Masz, czegoś chciał. Teraz już wiesz, dlaczego.

Wszystko razem były to jednak kamyki, rzucone w stojącą wodę. Mąciły ją. Naruszały spokój. Kto je rzucał? Ja sama i to najczęściej świadomie. Zaczęto mi też wypłacać moje zuchwalstwo: robienia życia *po swojemu*.

Przyjaciele, bo od tego się ich ma, żeby zawsze najpierwsi mówili złe nowiny, raz wraz opowiadali mi o tej lub owej szmatce drukowanej i nieprzystojnym tonie w dowcipach, której redakcja przepraszała ciągle czytelników, że nie daje mojej podobizny, bo jej nie ma. Istotnie, ponieważ twarz moja nie dawała mi nigdy żadnej estetycznej radości, więc jej też, bez koniecznej potrzeby, nie uwieczniałam.

Z różnych powodów nie mówię w moich wspomnieniach o tem i owem, wszystkiej prawdy. Natomiast to, co mówię, jest tylko prawdą. Otóż prawdą jest to, że nie skalałam się dotknięciem żadnego pisma, zięjącego oszczerstwem i *nigdy*, ale to *nigdy* nie przeczytałam żadnego paszkwilu, nie tylko wymierzonego przeciwko mnie, ale żadnego, po dziś, choć trudniej już dziś zachować tę dziewiczość. Bo wtedy jeszcze paszkwile umieszczały się w pewnej tylko prasie. Dziś, najpoważniejszy nawet organ, bywa często zmuszony do powtarzania tego, czegooby czytać nie należało.

— Więc: — piszą coś, pisze ktoś... niech sobie pisze, co mnie to może obchodzić! Ja mam swoją robotę. Nie chcę, aby mi ją byle co mąciło.



Ale, któregoś dnia, raptem zakotłowało się w Teatrze. Jakieś szepty. Aktorki są wzburzone, coś się dzieje koło mnie, czego jeszcze nie rozumiem.

Aż tu wchodzi do mnie, do kancelarii teatralnej, Kowaliki, owi maszyniści, o których już pisałam, w moich wspomnieniach „Wokoło Teatru“ (wydanie F. Hoesicka, r. 1930), że byli do wypitki i do wybitki, i mówią:

— Pani Dyrektorowo, my chcemy panu XX. kości pogruchotać. Czy pani Dyrektorowa pozwala?

Oczywiście, już wiedziałam, o co chodzi, co jest powodem szeptów i ogólnego niepokoju. Jakiś nowy paszkwil.

— Jeśli istotnie macie panowie dla mnie tyle życzliwości, ile mi jej okazujecie w tej chwili, to proszę was, żebyście nie robili żadnej awantury. Widzicie, Teatr to miejsce, w którym ludzie szukają rozrywki i wypoczynienia. Tylko pogodna atmosfera powinna tu ciągnąć ludzi. Każda awantura szkodziłaby poważnemu imieniu nie tylko teatru, ale i mego Męża. Tego nie chcecie zapewne ani wy panowie, ani ja.

Nazajutrz jedna z pań, żona człowieka, zajmującego bardzo wybitne stanowisko, przychodzi do nas i mówi:

— Dlaczego pani się nie opłaca temu XX, przecież to robi całe miasto.

— Bo ani nie mam czem, ani nie mam za co — odpowiadam.

A w kilka dni potem adwokat Lewicki proponuje przeprowadzenie procesu. Miał z nim i swoje porachunki, więc chciał wnieść sprawę, w której wygraną — wierzył. Treści obrazy nie znałam. Znać jej nie chciałam i nie znam dotąd. Tylko kobieta może godzić się na pójście przed sąd — nie wiedząc faktycznie, o co ma skar-

żyć, a mimo to, wierząc w sprawiedliwość wyroku. Ale się zawzięłam, żeby się brudnej szmaty nie dotknąć i nie dotknęłam.

Zniewolił moje postanowienie, względ na Artystów, maszynistów i służbę teatralną, do której szeregow należałam. O szacunek tych ludzi mi chodziło. Możeby pomyśleli: Musi być winna, skoro sprawiedliwości się boi.

Więc się jej nie złąkłam. Józef nie miał także nic przeciw temu.

Daty nie zapisałam, wiem, że była cudna wiosna. W sądzie nie byłam. Za moje przewiny pokutował mój Mąż, który w sądzie przemówił i, jak mi mówiono, „wygrał sprawę“.

Wiem, że byłam tego dnia jak martwa. A w tej chwili, kiedy to piszę, serce mi wali na wspomnienie minionego. Ale nawet stamtąd przysłała do mnie miła zdobycz, bo oto w sądzie był wzruszający epizod, bardzo mi drogi. A było to tak:

Przy Teatrze, urzędowała para małżonków Fragnerów. Poczciwe żydziska: i on, i ona. To byli stali przyjaciele teatru i aktorów. Ona, mówiła mi, że zanim przysłała na świat, to już z matką bywała w teatrze. Zastaliśmy ich na swych stanowiskach i zostawili na nich po odejściu. Dawali na wypłaty artystom towary i pożyczali czasem pieniędzy, bez lichwy. Ja nic u nich nie kupowałam, ale mnie ujmowali uwielbieniem dla „pana Dyrektora“, więc kochaliśmy się wzajem i często za kulisami spotykali.

— Aj, co to za szlachetny pan — mówili — takiego Dyrektora my jeszcze w Teatrze nie widzieli.

Otóż w przeddzień sprawy przychodzi do mnie do domu Fragnerka i mówi:

— Ja stara żydówka, w sądzie, jak żyję, nie byłam. Ale dla pani Dyrektorowej to ja pójdę. Ja mam kartkę od pana XX.. I pokazuje mi dokument, w którym pan XX. pisze, że, jeśli na umówione miejsce, (wskazuje adres jakiejś małej księgarenki), przyniesie ode mnie 200 guldenów, to przestanie o mnie pisać.

— Ta karta już dawno pisana — mówię, spojrzawszy na datę.

— Ja nie pokazałam nigdy pani dyrektorowej tej karty, bo nie śmiałam.

Byłam jej za to wdzięczna. Kartę zanosła do adwokata. W sądzie drżała, jak mi mówił mój Mąż, jak w febrze, składając przysięgę. Była to duża ofiara ze strony tej prostej, biednej, a jednak tak bardzo uczciwej kobiety, której niczem, prócz uznania jej dobroci i pamięci po wyjeździe nie mogłam się wypłacić.

Sprawa była wygrana. Wyrok: więzienie dla winowajcy na miesiący cztery.

\*

\*

\*

Nazajutrz złożył nam wizytę wraz z żoną, sędzia Błonarowicz, który prowadził sprawę. Zrobił na mnie wrażenie rozumnego, czystego człowieka. Mówił jasno i prosto. Żona przystojna o wyrazie twarzy, pełnym dobroci. Miałam, istotnie, chwilę cichego wzruszenia. Nie znał nas przed tem wcale. Mnie poznał tylko z procesu, na którym sama nie byłam i — przyszedł. Jako wyraz najwyższej wdzięczności, projektowałam z nim zaraz ja-

kiś spacer, bo, jak się okazało, lubił chodzić, który na szczęście jego nie przyszedł do skutku. Byłby pewno temat do nowego skandalu, a może i procesu.

Później, było u nas w tym dniu dużo osób, p. Marja Maciejowska z p. Marjanową Zdziechowską, która z rozmysłem szlachetnej duszy, bo dom to był bardzo poważny, zaprosiła nas nazajutrz na obiad, p. Winia Güntherówna, artystki: Wysocka, Rutkowska, Mrozowska, pp. Rostafiński, Tetmajer Włodzimierz, Dr. Kryński, prof. Mycielski, i wielu jeszcze innych dobrych życzliwych przyjaciół. Depesze: od przyjaciół z Warszawy, ze Lwowa, z Monachjum, Wiednia, Karlsbadu, poprzedziły ich listy, których dostaliśmy bardzo dużo. Pisał między innemi nawet nie znajomy osobiście, p. Szczutowski z Warszawy:

„Oburzenie dławilo mnie z powodu niecnej napaści na Sz. Państwo, więc, choć nieznany osobiście, — przesyłam wyrazy radości z wyroku. Tylko kara za mała“...

„Powinszowanie z wygranej i słusznej sprawiedliwości za niecną napaść przesyła Głos Publiczny z Krakowa“...

Prof. Bujwid pisze: „Kochani Państwo. Szczerze Wam winszuję zwycięstwa i nietylko Wam, ale i wszystkim tym, którzy się deprawacją moralną brzydzili, jaką uprawiał pornograf i napastnik literacki“.

---

Michał Terasiewicz ze Lwowa: Ogromnie się cieszę, wyczytawszy wyrok, szkoda tylko, że pismo nie zamknięte. Nie wątpię w uczciwość sądu, ale nie mniej, winszuję państwu zwycięstwa nad tyloletnim wrogiem“.

Juljan Maszyński (Krzewiński), artysta dramatyczny, pisze: „Wyczytałem właśnie w „Nowinach“ o wygranym procesie. Winszuję tego, już nie Szanownym Państwu, ale całej szlachetnej części krakowskiej ludności. Jest to rzecz wielkiej wagi.

Jestem w szpitalu, a jednak, przez te mury do mnie dostają się oddźwięki ogólnej z tego powodu radości“.

---

„Głęboko odczuliśmy straszną przykrość, jaką drodzy i zacni Państwo przeszli w ostatnich czasach. Cóż za piekielna złość i głupota bez granic, boć zadużo macie uczciwych przyjaciół, aby Wam mogły szkodzić nieczne paszkwile“ — pisze pani Aleksandrowa Głowacka z Warszawy.

---

A Prus, Aleksander Głowacki: „Więc to dzisiaj 16. VI. 1904 r. toczy się proces pani. Chyba jakieś bardzo poważne względy skłoniły panią do zanieśienia skargi na ludzi, którzy wprawdzie robią krzywdę swoim pisaniem, ale nie pani, tylko społeczeństwu, tolerującemu podobne ohydy. Boże miłosierny, cóż to za położenie kraju, co za upadek ducha w gromadzie ludzkiej, która pozwala szarpać niewinnych i znęcać się nad kobietami. I to się pisze po polsku, przez Polaków, niby w najswobodniejszej dzielnicy!

...Nie umiem pani opisać wstrętu, z jakim myślę o podobnych objawach zgnilizny, ale też nie przypuszczam,



żeby pani czuła się osobiście dotknięta conceptami, godnemi katów i ich pomocników“.

\*  
\*                      \*

Zapewne, że najszcześliwsza jest kobieta, o której wie dużo rodzina, a mało świat. Ale, różnie układają się warunki życia. Nie złorzeczę, że mnie się one tak, a nie inaczej ułożyły.

\*  
\*                      \*

W parę tygodni otrzymuję przekazem pocztowym 200 koron. To koszty sądowe przyznane mi do L. II. 39/4/34.

\*  
\*                      \*

I, mimo tych wszystkich balsamów na rany, powiedzieć muszę bez żadnych liryzmów, że, choć z całą świadomością spełniałam ciężki, w tym razie, obywatelski obowiązek, wobec mego stanowiska w Teatrze, idąc przed polskie trybunały w obronie czci, z wiarą w ich sprawiedliwość, to jednak słońce w ten dzień pogodny, w którym jakiś tam człowiek szedł do więzienia za moją sprawą — nie świeciło mi jasno.

## PRZEDWCZORAJ, WCZORAJ I DZIŚ.

Mąż mój, będąc stałym pracownikiem sceny Warszawskiej, przed wyjazdem do Krakowa, bywał na gościnnych występach w Krakowie, Lwowie, Łodzi, Częstochowie. Towarzyszyłam mu wszędzie w jego artystycznych wędrowniach, oprócz do Moskwy i Petersburga, gdzie bywał zapraszany na koncerty polskie i dokąd nie jeździłam, nie mogąc przewyciężyć do tych, zresztą ciekawych stolic, mej żywiołowej wówczas odrazy.

Miałam więc sposobność poznawać się ze światem aktorskim i zżywać się z nim, przez, bez mała — lat pięćdziesiąt.

Oczywiście nie wszystkich artystów znałam bliżej. Nie wszyscy nawet, jakich wymienię — bywali w naszym domu, bo, co prawda, zawód aktorski, nie sprzyja stosunkom towarzyskim. Rano — próba, często przeciągająca się poza przeciętną porę obiadową. Chwila wypoczynku. Kawiarnia. „Mała czarna“. Gazeta. „Nowinka“. I już szósta — trzeba niebawem być w garderobie. Ale ponieważ teatr był najpierwszem umiłowaniem mego Męża, więc chcąc się utrzymać na najbliższym numerze, tej, pozatem, czystej zresztą hipoteki,

garnęłam się do teatru i wchodziłam w życie teatralne, chcąc je jak najlepiej odczuć, zrozumieć kolejność i logikę ruchu kół, tej złożonej wewnętrznie maszyny, w której upływało jego życie. Wspomnienia moje ciągną się od przedwczoraj.

Nie pamiętam wprowadzie ani Chęcińskiego ani Pańczykowskiego, ani Rychtera, mało Chomińskiego, znakomitych w tradycji, wykonawców ról zwłaszcza w komedjach Fredry. Ale pamiętam jeszcze Halpertową, którą widziałam we Lwowie, gdzie byłam z Mężem trzy tygodnie, podczas jego gościnnych występów. Staruszka to już była z trzęsącą głową, ale nie ostygła w swych uczuciach dla teatru i sztuki, zajęta do końca dni ich rozwojem. Znałam genialnego Żółkowskiego, znakomitego Królikowskiego, który w każdej roli wydobywał i wygrywał wszystkie tony uczuć, jakie dramat składał na strunach dusz ludzkich. A w życiu, pełen dobroci i słodocy, okazywał i mnie wiele uprzejmości, bo Męża mego bardzo lubił. Był on jego uczniem, stąd, mimo lat różnych, serdeczne stosunki. Jemu też przypadło żegnać swego miłowanego mistrza na cmentarzu i dać hasło — do postawienia pomnika, który zbiorowemi składkami, na grobie wielkości arcyzmu i cnoty obywatelskiej stanął na Powązkach.

Znałam Hofmanową, artystkę teatru krakowskiego, która, mimo sławy, nigdy mnie osobiście, nie dawała wysokich artystycznych wrażeń, ani wzruszeń. A w Warszawie, z dni najdawniejszych — pamiętam: Ładnowskiego, szlachetnego artystę i człowieka. Wykwintnego Prażmowskiego, młodzieńczego pełnego humoru i werwy Wolskiego. Wielkiego, w swoim zakresie — Morozowicza, Sikorskiego i Winklera, doskonałych charak-

terystycznych aktorów. Grubińskiego, sprawnego reżysera, Wostrowskiego, Nowickiego, którzy młodo zeszli ze sceny. Krogulskiego — tego artystę-poetę, miłującego teatr i muzykę całą duszą, żyjącego po dziś i ostatnio witanego serdecznym oklaskiem, przez starych, dawne dzieje pomnących teatralnych bywalców. Ludwika Śliwińskiego, który nas darzył stałą przyjaźnią. Wybitnego aktora Szymanowskiego, kochanego przez kolegów Grzywińskiego, Ostrowskiego, Tatarkiewicza, a przy wspomnieniu jego imienia nasuwa się mej pamięci — zapewne mimowolny lapsus — kaznodziei, który żegnając Artystę, nad trumną jego powiedział: „Znałem to uczciwe życie, którem zmarły stwierdził, że chociaż był aktorem, to jednak był porządnym człowiekiem“.

— Zdaje mi się, że tu nam wymyślają — szeptem mówi do mnie, stojąca obok pani Lüde. Możeby odejść wypadało.

Zostałyśmy jednak.

\*

\*

\*

Teatr, wówczas na poważnym repertuarze bywał zawsze przepełniony, pamiętać należy, że tylko z ambonny i ze sceny mogło się usłyszeć głośno rzucane polskie słowo. Więc, choć miejsca były wykupione, to w Wielkim Teatrze, gdzie dawano dramat, na prawo od wejścia, była pod łóżami „ławeczka“ przeznaczona dla „artystów“. Mnie do niej dopuszczano chętnie, bo w wielkim repertuarze prawie zawsze grał mój Mąż. Więc, już trochę byłam jakby swoja. Ale tam jednak

było tak, że, kto pierwszy — ten lepszy, więc trzeba się było śpieszyć, chcąc dostać miejsce. Otóż, na dramacie bywały stale, panie: Manowska z operetki, i Mazurowska, komiczka, co jest częstym objawem u artystów, odwrotnych własnemu talentowi upodobań. Przychodziły, a wiedząc, że będę na pewno — tyle siadając zabierały miejsca, że jeśli nawet zdarzyło mi się przyjść z opóźnieniem, to tylko zsuwały kolana i — już miejsce miałam gotowe.

Humor u kobiet jest najrzadszym na scenie darem. A wtedy były dwie charakterystyczne artystki, wspaiała Mazurowska i Micińska, które każdym pojawieniem się na scenie, umiały zdobywać wybuchy śmiechu, łączące się z oklaskami dla niezrównanej Micińskiej w roli „pani Jowialskiej“, lub Mazurowskiej, grającej z Żółkowskim „Przebudzenie się Lwa“.

Bakałowiczowa w „Rozmaitościach“ zachwycała wdziękiem i prostotą, grając, między innemi, uroczą „Pawłową“ w „Marcowym Kawalerze“ Blizińskiego.

A w Wielkim, wspaiała Rakiewiczowa grała Elżbietę, współrzędnie z potężną w swej kreacji Modrzejewską w „Marji Stuart“ Schillera. I, właśnie, na jednym z tych przedstawień, Nowakowska, artystka sumienna i pożyteczna, zmarła na aneurizm serca na scenie, w chwili, w której Modrzejewska z Krzyżem w ręku, zapatrzona weń, a pacierzem na ustach, sławnie szła przez całą niemal scenę, z jej głębi, do bocznej kulisy, tak, że wszystkim widny był wyraz jej twarzy, wywołując dreszcze grozy, nawet wśród aktorów.

W komedjach wielką damę grywała Niewiarowska, pełna dystynkcji. Ładnowska, była przedewszystkiem bajecznie piękna, a bodaj dlatego była na scenie. Pani



Łüde, której debiut pamiętam w „Fortepianie Berty“. Była wtedy posagowo piękna, ale nikt, ani na chwilę, nie przypuszczał, że to będzie taka znakomita komedjowa aktorka, która przez długie lata dawała szeregi prawdziwie artystycznych zachwyków.

Panią Czaplińską poznałam na scenie lwowskiej. To był i jest tak wysokiej miary talent, że każda jej rola to żywy człowiek. Zawsze dotąd żal każdej chwili, w której schodzi ze sceny w sztuce, w jakiej gra. W życiu miła, łatwa, pogodna, pełna werwy i humoru koleżanka.

Popielka, bo tak ją wszyscy nazywali, czarowała całą Warszawę. Czaki — naiwna. repertuar ról, który przepadł — bo przepadły „naiwne dziewczątka“. Wismowska, znakomita artystka i zajmująca kobieta, pod jakimś opętańczym wpływem, źle zakończyła życie, jakie z jej talentem i wartościami intelektualnymi, mogło być — bez zastrzeżeń — piękne. Wielce utalentowana była Marja Deryng „płonąca jak pochodnia“, wraz ze swym pięknym partnerem — Kotarbińskim w „Helwi“ Aleksandra Świętochowskiego, która jednak szybko zamieniła tryumfy sceny na domowe ognisko — przepadając dla niej na zawsze.

Potężnym talentem obdarzona była Helena Marcello-Palińska. Pamiętam ją w dziesiątkach ról, ale niezapomnę nigdy tego wrażenia, jakie robiła swem wejściem na scenę jako Messalina. Bez słowa, jak piorun, jak żywioł, przechodziła szybkim, zdecydowanym ruchem, rysując się w nim cała. To nie wchodziła tylko kobieta. To przez scenę przechodziła imperatorowa, samowładczyni, pani życia i śmierci, każdego na swej drodze spotkanego śmiertelnika. Piękna i okrutna.

Wszystko to wydobyła swą postawą i ruchem — bez słowa.

Do dziś wspominamy sobie z nią różne minione dawności. Przed czterema laty we dwoje, dziś sama, raz na rok, drugiego marca, odwiedzam panią Helenę, której Małżonek artysta i zacny człowiek, Władysław Paliński, był przyjacielem Męża mego i towarzyszem, niezmiernie dzielny, lojalny i sumienny w pracy wtedy, kiedy wśród wojennej zawieruchy, artyści ratowali sami istnienie teatru, organizując się w Zrzeszeniu.

Młodo zeszła ze świata, zdolna artystka Zofja Noiret. A Barszczewska Wanda, która warunkami, pięknym głosem i talentem brała puściznę ról po Rakiewiczowej, została zawczasie emerytką, jak zresztą całe grono innych artystów i artystek. I po latach niegrania, w roku ubiegłym, wystąpiła na scenie na zaproszenie zawsze twórczego i pomysłowego dyrektora Szyfmana w „Domu kobiet“ Nałkowskiej, wzbudziła zachwyt nie tylko publiczności, ale i kolegów, nie szczędzących jej słów najwyższej podziękności za artystyczne wrażenia, jakie im dała, występując na scenie Teatru Polskiego. Podkreślali oni między innymi zaletami gry, wspaniałą dykcję artystki, która niezawsze bywa należycie strzeżona, w młodem pokoleniu.

Warunki miała świetne i talent niepospolity Natalja Siennicka. Temperament jednak ją ponosił. Nigdzie miejsca nie zagrzała i w końcu przedwcześnie chora, otoczona opieką dobrej koleżanki i zdolnej artystki sceny warszawskiej Marji Mirskiej, zakończyła ciężkie życie w którymś schronieniu sióstr Miłosierdzia.

Jedną z dawnych znajomych, wierną w życziwych

stosunkach, dążącą zawsze chętnie z ofiarnym groszem na cele społeczne, była p. Antonina Junosza-Gostomska, mówię — była, bo od pewnego czasu tak się skryła w swoim pamiątkami przepelnionem mieszkaniu i tak odsunęła od świata, że — ani się do niej dostać.

Prawdziwy dom rodzinny, wśród rzeszy aktorskiej to był dom Wincentego Rapackiego. Bywaliśmy też w nim ochotnie, przyjmowani zawsze gościnnie przez Jego Małżonkę. W dzień jubileuszu tego prawdziwego „kapłana sztuki“, wielkiego artysty, winszując mu hołdów publiczności, pocałowałam go w rękę za to, jakim był mężem, ojcem i głową rodziny, na co tyle lat patrzałam. Żona umarła. Ożenił się powtórnie. Lubił to. Zawsze miał piękne mieszkanie i duże salony. Moc książek, obrazów, bronzów i — dzieci. Wspaniała przytem postać. Świetna głowa, powaga myśli na czole i błogi uśmiech ojca, równie do starszych synów i córek, jak do tego maleństwa z tej młodej drugiej żony, które, kiedy chodził po obszernem mieszkaniu, trzymało się go, nie sięgając ręki — pod nogę. Tak kiedyś zastałam tę parę, spacerującą po wielkim salonie. Nie opędzał się, kochał całą drogą gromadkę. Był dobry i rodzina była jego wewnętrznem życiem. A kiedy raz, zirytowany „przedwczesną“ emeryturą, chociaż istotnie należałby mu się wypoczynek, wszedł do naszej łóż z prawdziwą irytacją i goryczą żalił się na wszystkich i wszystko w teatrze, mówiąc:

— Co mi tam wieńce, co mi hołdy, co mi ordery. Ja tego wszystkiego nie chcę. Ja chcę roli! Ja chcę grać. A oni mnie zbywają błagą, hołdem, blaszką!...

Tak. Aktor do końca życia chce mieć role i chce grać. Jeśli mu się tego nie daje, to już mu się daje paszport

na tamten świat. On niechce wypoczynku przymusowego. Na to zawsze czas. On nie jest urzędnikiem. On jest artystą. A to jednak ma swoje prawo do inności i swoją rację. Kocha scenę. Rozstać się z nią — to rozstać się z życiem.

A z wielkim Bolesławem Leszczyńskim, ileż to figlarnych rozmów, ileż liścików mam w — sepecie. Młodziutki wówczas syn jego Jurek, był w teatrze krakowskim, stąd raz wraz petycje o danie urlopu. A że chłopiec był z miejsca — zdolny, więc wiecznie coś grał i o urlop nie było łatwo. Do mnie apelacja: „Wstaw się do tego poganina“... A potem do Józefa: „Dziki i bezbożny człowieku!“ Nie puściłeś Jurka na ojca jubileusz — to twoja dzikość. Niepuszczasz na wigilję — to znowu twoja bezbożność. W moich oczach jesteś komendantem Sachalinu. U ciebie sezon powinien się liczyć jak na wojnie Sewastopolskiej — podwójnie! Męki znoszą twoi aresztanci. Leszczyński“.

Przysłała to w liście do mnie i poleca mi wstawienie do — męża.

A potem znów zaczyna tak list z propozycją występów:

„W. I. O. S. D. — Ś-go — Amen... pal djabli wszelkie perypetje! Chcę cię zastać w dobrym usposobieniu — przy żonie, której bądź wierny — proszę cię o to! Potem, ustępy nie do druku, a na zakończenie: „czekam na główną i ważną rolę — przyślij Patryjarsze tylko wnet.

Józiowej łeb mój składam do jej stóp. Gorący uścisk dla obojga.

Bol. Leszczyński“.

A kiedy ma przyjechać, na zapytanie co mu w gar-



derobie przygotować, przysła depeszę, „Dzban czystej wody — kromkę czarnego chleba“.

Panią Honorę Leszczyńską to wszystko zachwyciło. Bo — ta znakomita wśród znakomitych artystka, ile talentu tyle miała serca i miłowania dla swoich. Wzorowa córka, żona, matka dla, ponad wszystko miłowanego Jurka i siostra dla ukochanej Różyczki Rapackiej—Boguckiej, której syn Andrzej, ślicznie przez nią wychowany i kształcony, snuje swym talentem na scenie, nić tradycji i zasług dla teatru — rodu Rapackich. Zawsze łączą nas najżyczliwsze stosunki, z panią Honorą. A jeszcze i w tym roku zaprasza mnie do swego domku w Olszance, ukrytego w lesie Puszczy — Marjańskiej. Żal, że nie mogłam z tego korzystać. Ale — mamy czas...

Zawsze miłe i niezrównane z nikim wspomnienie daje pani Tekla (Tecia) Trapszo-Krywultowa, jako artystka i kobieta, bo to był wrodzony wdzięk i uroczą prostota na scenie.

Pan Mieczysław Frenkiel. Mistrz. Więcej powiedzieć trudno. Znajomy od pierwszych dni jego przyjazdu i występu na scenie. Po za sceną arcymiłe nieraz w towarzystwach spędzaliśmy chwile — i nad morzem w Blankenbergu także... Tylko te wspomnienia to opiszę, kiedy będę miała lat 90, bo dziś się jeszcze wstydzę. Nie wyklucza to najmilszego ciągu znajomości i życzliwych uczuć jakie dla siebie pielęgnujemy wzajemnie do dziś. Lubimy pamiątki.

Józef Śliwicki znamienity artysta i według mnie, człowiek najbliższy ludzkiej doskonałości, jako charakter, serce i niezachwiana nigdy niczem — prawość. To też wdzięczna mu jestem za każdą chwilę, którą mi



czasem daje. Także emeryt, niewiedzieć poco wyrwany z umiłowanej sceny, dla której z chlubą zawsze oddawał swą pracę, dziś, przedłużając ją czasem tylko doraźnie.

A Paweł Owerło, pan Pawełek, choć z siwizną, zawsze młody i ładny, więc ma dużo roboty z opędzaniem się sukcesom, ten sympatyczny dobry aktor i jednak znów już emeryt. Odwiedzał nas dawniej zawsze co rok, w dzień imienin Józefa, teraz trochę rzadziej, co dwa... bez imienin, ale zawsze odwiedza, choć czasu mało. Bojąc się, żeby się nie przepracował, robię co przyjaźń nakazuje: Ostrzegam!

Żart na stronę. Pan Paweł zbiera materiały do wspomnień dotyczących, dawnych kolegów dyrektorów i teatru. Każdy powinien to robić. Może być niezawodnie komuś, kiedyś, bardzo przydatna, charakterystyka, notowana przez świadków minionych dni z ubiegłej epoki — niewoli.

Chmieleński Józef, ulubiony uczeń mego Męża, który go też nie zawiódł w żadnym kierunku, służąc wiernie sztuce po bieżącą chwilę.

Roland Teodor, pogodny, doskonały aktor, zawsze dla nas z dobrem słowem, wcześniej odszedł w zaświaty — z którymi był zbratany — za życia.

Fedorowiczowa, pełna kobiecego wdzięku, niebywale urodziwa, zdobywająca powodzenie, więcej warunkami i nerwami, aniżeli talentem.

Pani Łaska, której pamiętają i uznają wszyscy, bajeczny wdzięk i humor. Śmiejemy się też jeszcze często dotąd przy spotkaniu — nie wiedzieć z czego. Ale się już zdarza czasem i zapłakać razem, co nadal odwracaj Boże!

Wyborny aktor, Staszkowski, miły znajomy i dziś wierny towarzysz, raz w tygodniu, w południe, przy stoliku artystek-emerytek u Loursa, do którego zostałam zaproszona przez kochane i szczerze mi życzliwe panie: Rolandową, Werycho, Horwat-Groerową i jeszcze jedną, która chce zachować incognito, więc nie mogę jej nazwać, choćbym tak bardzo, tak gorąco tego pragnęła. Mówiąc nawiasem wszystkie przedwcześnie cofnięte ze sceny, choć były jej nietylko pożytkiem ale i ozdobą.

To pobieżne wspomnienia z przedwczoraj i wczoraj. A dziś?

Niema, łączącego mnie bezpośrednio z teatrem Człowieka. Ale, ani ja od teatru, ani teatr się odemnie nie odwrócił. Zbyt wieloma niemi, tworzącymi tkaninę życia mego męża, byłam z teatrem związana. Nie może mi być obojętnym, choć nie życia Jego się przerwała. Cała plejada młodego pokolenia dzisiejszej doby, to moi najmiłsi znajomi.

I już czas przeszły zmienia się na teraźniejszość.

\*

\*

\*

Serdeczną pamięcią darzy mnie pani Ćwiklińska, ta rasowa, świetna, twórcza artystka, której każdą rolę, a nie ominął żadnej, cieszył się i zachwycał mój Mąż. A o której, doskonała także aktorka, ta właśnie, która się nazwać nie pozwala, mówi mi: „Chodzę na grę Ćwiklińskiej, patrzę, słucham, i nietylko ją podziwiam, zawsze czegoś się od niej uczę“. A takie słowo od koleżanki i to wysoce utalentowanej artystki — to prawie zdobycz — niebywała, choć tak bardzo zajęta.

I od uroczej Modzelewskiej, pięknej Gorczyńskiej, pełnej słodkiego fluidu, jaki płynie od Lindorówny, brawurowej temperamentem Romanówny, mam zawsze przy zetknięciu mile słówka.

Malicka-Sawanowa — była u mnie z mężem, z którym stanowią parę niby z bajki. Przyszła, po wspaniałem odegraniu Królowej w „Don Carlosie“, a była w niej taką, jakby się urodziła w królewskiej komnacie. Nie pierwszą — ale natomiast była ostatnią miłością mego męża. Fotografia jej stała na biurku — po lewej stronie wprowadzie — ale stała. Jakże mi żal było, że jej nie widział w repertuarze, do którego zawsze ją zachęcał. Jakżeby się był cieszył prawdziwym tryumfem jej talentu, który go tak zachwycił.

O p. Dulębie — piszę na innem miejscu.

O pani Solskiej, mało powiedzieć mogę, bom ją mało widywała, z matką jej łączyły mnie kiedyś mile koleżeńskie stosunki, kiedy, żal się Boże, malowałam, a pani Poświkowa była artystką w zakresie sztuki stosowanej, ze znanem już, dobrze zasłużonem imieniem — jako malarka i niebywale dobra koleżanka. W Krakowie Solska, bardzo młodziutka, była chwilę. Potem, pod znakomitym kierunkiem Solskiego zdobyła imię wybitnej artystki, co zresztą trwa, i potęguje się, wspierane ciągle usilną pracą.

Panie Rotter-Jarnińska, Jarszewska, Gellówna, Kończycowa, Halska, Gromnicka, wszystkie służą swemi talentami teatrowi, są to artystki pewne i wyrobione, ale widocznie te walory dziś nie w cenie — bo co druga, albo emerytka, albo, co gorzej, bezrobotna.

A Różycki! Jak może taki aktor przepaść dla sceny. Wprost zrozumieć tego nie podobna. A jednak przepadł.

Na przedstawienia, w których grał: Węgrzyn, Junosza-Stępowski, Samborski, Justjan, Maszyński Marjusz, Jaracz, z którym bez końca toczyły się w garderobie dysputy i rozmowy o sztuce — chodził mój Mąż specjalnie, zawsze żałując, że niema gdzie pisać o ich rolach, które często zasługiwałyby na szczegółowe studja, takie tworzyły arcydzieła gry aktorskiej. Pisał więc tylko listy osobiste i osobiście mu za nie dziękowali koledzy. Stało się to z wielką dla aktorów szkoda, co śmiało twierdzię, wiedząc jak wielkie miał uznanie dla pracy swoich koleżanek i kolegów i jak sądy jego były bez cienia zawiści, mogącej snadnie wyniknąć z współzawodnictwa, zawsze bezstronne, nacechowane prawdziwą życzliwością i... znawstwem.

Namawiam do tego tych recenzentów, do których ośmielałam się z tem zwrócić — ale — nie chwytają. Moja wina, nie umiem tego widocznie dobrze zrobić.

Juljusz Osterwa — to jeden z tych talentów, który zawsze niezmiennie zajmował mego Męża. W ostatnich niemal chwilach bytowania na ziemi, toczył z nim zaciętą walkę o Hamleta, w przeróbce Wyspiańskiego. Zaczęło się w garderobie, a że nazajutrz Osterwa wyjechał do Wilna, więc wypisywali foljały listów, w których mój Mąż bronił nietykalności tekstu Schakespeare'a i opinji nieszczęsnej Ofelji, odsądzonej od czci, a więc i współczucia — przez Wyspiańskiego.

Mimo to, gdyby żył, ucieszyłby się niezawodnie, że Osterwa objął kierownictwo sceny krakowskiej, która mu była droga, wierząc w jego młode siły, inwencję i zapal do czynu. Pragnę też, aby jego służba dla sztuki — dała mu jak najwięcej zadowolenia, a Miastu — pożytku.



Doskonały młody, jak mówił mój Mąż, głębszym komycznym talentem obdarzony aktor Kurnakowicz, tak że znalazł chwilę, żeby mnie odwiedzić. Z Fertnerem kiedyś płakaliśmy ze wzruszenia na „Kurpiowskiem Weselu“ świetnie danem w teatrze Ateneum przez Skarżyńskiego. Wszyscy zresztą, pp. Janusz, Myszkiewicz, Biernacki, Norski, Maszyński Julian, meldujący mi z radością, że ma — nowego synka: Miłosza, który niech się zdrowo chowa. A wierny w życzliwości Tomasiś, przedstawia synka, już w szkole będącego, Tadeusz Frenkiel, Kochanowicz, Walter, wszyscy uprzejmie witają mnie za kulisami, gdzie czasem idę. A choć wiem, że już nic tam nie mam, bezpośrednio dla siebie, idę, bo człowiek zawsze lubi złudzenia, kiedy już nic innego być niemoże. Wiążące mnie z tą atmosferą wspomnienia słodzą mi ostatnie dni życia.

Żał mi w tej chwili rozstawać się z towarzystwem, które zgromadziłam. Jeśli ktoś uszedł pamięci, to jeszcze może zdążyć to naprawić. Bo mój szanowny i kochany Wydawca, który popelnia *dla mnie szaleństwo*, wydając w tym roku, mimo „kryzysu“ moją pracę, tak mnie rozzuchwalił, że już jest w planie — następna, w której zarejestruję moich przyjaciół i znajomych, aby przed końcem dni na ziemi spłacić choć tem wspomnieniem długi, jakie u ludzi zaciągnęłam — na szczęście, tylko w sferze uczuć.

Tymczasem wracam do teatru krakowskiego. Złączone z pracą w nim wspomnienia mają u mnie wielką wagę. Bo, realizując wprawdzie najpiękniejsze, młodsze marzenia Męża mego — niosły nietylko radości ale i bóle. To wyrabiało energję, zmuszało do walki,



z jakiej wychodziło się zwycięsko, jak przystało na młodość. A utrzymywało wiarę, że wszystko choćby bolało, warto przejść, bo to splot, tego najpiękniejszego i najdroższego skarbu, jakim jest: *Życie*.

## OSTATNI POBYT HELENY MODRZEJEWSKIEJ W KRAJU.

W lipcu 1902 r. Józef Kotarbiński wysłał prośbę do p. Heleny Modrzejewskiej-Chłapowskiej, do Ameryki, o występy gościnne na scenie teatru krakowskiego, którego był wówczas Dyrektorem.

Odpowiedź z 4 sierpnia 1902 r. brzmiała jak następuje:

„Łaskawy Panie Dyrektorze! Z przyjemnością odebrałam zaproszenie Pana na występy w Teatrze Krakowskim. Co do daty występów, nie mogę jeszcze ostatecznie jej zdecydować, ale będziemy w Krakowie w początkach września, a zatem w możliwości osobistego porozumienia się w tym względzie.

Wyruszamy z Nowego Yorku 21 b. m., więc niedługo będziemy na miejscu. Spodziewając się zastać Szanownego Pana w dobrym zdrowiu za powrotem z wód—przesyłam serdeczne pozdrowienia obojgu Państwu. Do widzenia! Mój mąż śle ukłony. Szczerze życzliwa. Helena Modrzejewska“.

Tymczasem, istotnie, mimo bardzo szybkiego porozumienia się co do dat, repertuaru i warunków materialnych, otrzymuje mój Mąż list ze Lwowa od p. Ka-

rola Chłapowskiego, który psuje szyki i przyjazd tak bardzo upragniony — opóźnia. Dowiadujemy się z niego, że Modrzejewska, narazie, wskutek decyzji doktorów, musi jechać na południe na kilka tygodni, aby wyleczyć przedłużające się zapalenie gardła i że dokładny adres pp. Chłapowskich dostaniemy z Cerkvenicy. Tymczasem zaś proszą, aby listy z Ameryki, przychodzące do nich pod naszym adresem, były im przesyłane. A kufry teatralne ekspedują do Teatru w Krakowie i proszą o przechowanie.

Dopiero w dniu 10 stycznia 1903 r. powitała publiczność Krakowska wielką Artystkę, która w rolach „Lady Mackbet“ Shakespeare’a, hrabiny Idalji w „Niepoprawnych“ Słowackiego, Magdy w „Gnieździe rodzinnym“ Sudermana, Marji w „Warszawiance“ Wyspiańskiego, „Marji Stuart“ — Schillera, Beatrice w „Wiele hałasu o nic“ „Shakespeare’a, wzruszała, zachwycała, budziła podziw, a nadewszystko czarowała głosem, gestem, pozą, ekspresją, finezją, odczuciem każdego drgnienia duszy tych różnorodnych typów oraz ich cech, w jakie wyposażyli wielcy poeci swe bohaterki.

Józef Kotarbiński, pisząc o Helenie Modrzejewskiej w swej książce, p. t. „Aktorzy i Aktorki“ (nakład Mazow. Sp. Wyd. Warszawa—Płock, 1924 r.), z entuzjazmem określa cechy jej urody i talentu. „Miała postać szlachetną, królewską a gibką, twarz o rysach niepokalanie regularnych, głos miękki, melodyjny. Każde jej spojrzenie, gest i słowo, nacechowane było wdziękiem, godnością polskiej kobiety, która skupiła w sobie najestetyczniejsze przymioty rasowe. Natura wytworna fizycznie i duchowo arystokratyczna, jakby się w niej zjednoczyły wieki kultury obyczajowej, właści-

we warstwie w Polsce panującej. Talent jej był nawskroś idealistyczny lub na poczuciu prawdy oparty... a każda rola owiana technieniem poetycznem, promieniowaniem duszy, które niewysłowioną aureolą okalały jej arcydzieła aktorskie“.

Wszystko to w szybkim tempie zapadało w przeszłość, bo już 8-go lutego tegoż roku, publiczność, wypełniająca, jak zawsze, szczelnie teatr, usłyszała z ust Dyrektora na scenie podziękę dla wielkiej Artystki za „chwilowy dar czarodziejskiej sztuki, jakim zapanowała nad sercami i umysłami słuchaczy“, z jednoczesnem jednak zapewnieniem jej powrotu, na co otrzymał łaskawą jej obietnicę. Oklaskom nie było końca, kwiatów pełna scena.

\*

\*

\*

Z Poznania Modrzejewska pisze:

„Droga Pani! Dziękuję serdecznie za list. Odpisuję w prędkości, bo za parę minut muszę się ubierać... Dziś obiad u Księstwa Czartoryskich, a potem bal, od szóstej do północy. Bawiono się tu ogromnie, a w teatrze co wieczór orkiestra wyprzedana, więc Rygier stara się mnie jak najdłużej zatrzymać, ale już ostatecznie wyjeżdżamy 3-go marca. W przejeździe, zatrzymamy się w Berlinie, aby sobie obstałować kostjумы do Antygony i Laodamji, i jeżeli, i kiedy będziecie sobie Państwo życzyli, abym przyjechała — będę w każdym razie gotowa. Wiem, że z Wami nie będę miała zająć, więc zupełnie spuszczam się na Państwa — co do daty, cen — etc. etc. Zdaje mi się, że ceny się nie utrzymują w tej wysokości, na której za moim pobytem były.

To już Pani swoim rozumem wyrozumie. Teraz jeszcze jedna rzecz. Otóż będę musiała być w Poznaniu na srebrnem weselu Dra Chłapowskiego, więc trzeba będzie tak ułożyć występy, abym tu przed pierwszym maja mogła przyjechać.

Wyspiańskiego powiedzenia sławne i zapewne w harmonji z nim samym. Mój Mąż czyta „Wyzwolenie“ i czasem się rozplywa, a czasem szamocze przeciw autorowi, że nie rozumie, o co mu chodzi. Ja — czytając ten utwór, dałam się porwać i już potem szłam za autorem wszędzie, jakby mnie wiodł na sznurku. Dla tego nie zadawałam sobie pytania: czy rozumiem, bo zdawało mi się, że on ciągle ma rację. O konsekwentne przeprowadzenie dramatu nie szło mi wcale, bo wiem, że i Wyspiańskiemu o to nie chodzi, a że są tam gwałtowne i nieprzewidziane zmiany — to przecież i w naturze to samo mamy. Ot, przed chwilą padał śnieg — a teraz słońce i pogoda. Za chwilę zerwie się może wichur lub deszcz lunie. Tak samo z Wyspiańskim. Po co się ma krępować pewną formą! On tego nie chce i nikt nie powinien mu tego narzucać. Mam przecucie, że „Wyzwolenie“ będzie się podobać. W każdym razie przesyłam: Szczęść Boże.

Pyta pani o moje zdrowie. Mam się dobrze, oprócz kaszlu, ale i ten minie wkrótce, mam nadzieję.

Z panem Rygierem mieliśmy małą nieprzyjemność, ale teraz już dobrze.

Z młodych artystów jest tu dwóch obiecujących: Andruszewski i Wiślański, pierwszy szczególnie jest dobrym materiałem na artystę — a nawet ma już trochę doświadczenia i jest niezmiernie użyteczny. Obaj dobrze wyglądają na scenie. Kończę, bo już czas się ubie-



rać. Ściskam panią. Panu Kotarbińskiemu zasyłamy serdeczne pozdrowienia. Helena Modrzejewska“.

Z obiadem, z powodu tej „prędkości“ odpowiedzi na mój list, a po nim „ubierania się“, księstwo Czartoryscy musieli niezawodnie długo czekać. Nie zlorzeczę temu, bo list zajmujący.

A z 18 marca z Riond-Bosson-Morges, pisze do mnie pani Helena:

„Droga Pani. Z poznania pisaliśmy oboje osobno do Państwa, nie wiem, czy Pani odebrała nasze listy.

Donoszę pani, co się z nami dzieje. Oto jesteśmy tu już od dwóch tygodni i jeszcze parę dni zabawimy. Nie potrzebuję mówić, jak nam tu jest miło w towarzystwie tych zacnych i miłych ludzi i tak bardzo przez nas kochanych. Mistrz komponuje obecnie nową sonatę, której dźwięki dochodzą dość wyraźnie mego ucha, pokój mój bowiem jest tuż nad pokojem, w którym pracuje.

Wiadomo pani, co wypędziło Paderewskiego z Jego dóbr w Kraju — otóż po sprzedaniu Kąśni trzeba było gdzieś zamieszkać, zatem zamieszkał w swej willi, którą przed sześciu laty już był kupił dla chorego syna, bo on musiał w tym klimacie mieszkać. Piszę to Pani dlatego, że napadają na Paderewskiego za „wyemigrowanie“, a on poprostu tylko na lato tu przyjechał do swej własności, dlatego, że tu ma spokój i może się zupełnie pracy swej poświęcić.

A teraz o sobie. Otóż obstałowałam kostjumy Antygony i Laodamji w Berlinie i przymierzę je za kilka dni w przejeździe — lecz o! boję się czy te występy, przyjdą do skutku, bo zdrowie moje zaczyna szwankować — miewam gorączkę — zawroty głowy i gardło mam ciągle zajęte, tak, że mi to ogromnie uczenie się ról utrudnia.

Zaczęłam od Laodamji i ledwie się nauczyłam do 44-ej stronicy, tak mi trudno idzie. Prawda, że nie chyba trudniejszego nad język Wyspiańskiego niema, chociaż to jest piękne i z zapalem zabrałam się do roli Laodamji.

Antyгона łatwiejsza, a Gioconda najłatwiejsza i do nauki i do grania. Nie wiem jednak, czy podołam, jeżeli zdrowie moje się nie polepszy.

Proszę drogiej pani zatem, abyście mi Państwo szczerze, bez ogródki powiedzieli, czy liczycie na powodzenie moich powtórnych występów, bo jeżeli się one nie mają na nic przydać, (nie idzie o mnie, proszę wierzyć) to możeby z nich zrezygnować, bo przy stanie mego zdrowia, będzie to wielki wysilek odbywać próby i grać cztery razy w tygodniu. Jeżeli jednak Państwo już porobili jakie przygotowania do sztuk, w których mam występować, to obowiązkiem moim byłoby stawić się; ale jeżeli nie, to naprawdę wołałabym nie grać. Otóż tak rzeczy stoją. Mam nadzieję, że Pani zupełnie szczerze ze mną i bez ogródek wypowie swe zdanie, nieprawdaż?

Byliście oboje dla mnie tak dobrzy, że się zdaję na łaskę i niełaskę Państwa. Jeżeli mnie nie zwolnicie z występów, to muszą się one odbyć w ciągu dwóch tygodni, gdyż 1-go maja musimy być w Poznaniu.

Ale, ale, podobno p. X. X. zeszkalował mnie po moich występach w Poznaniu — coś tam brzydkiego zrobił w „Słowie“.

Czego ta zielona małpa chce ode mnie. Paderewskiego także opluł, aleśmy się wszyscy serdecznie z tego uśmieli. Chociaż to łajdactwo swoją drogą, i zresztą to tak łatwo szkalować, szczególnie gdy się za to parę guldenów dostaje od artykułu.

Panu Józefowi przesłaliśmy życzenia wczoraj. Dowiedzenia kochana Pani H. M.“.

„Jeżeli będę sobie Państwo życzyli, żebym przyjechała“, albo: „na łaskę i niełaskę zdaję się“... Kto? — Modrzejewska“.

Oczywiście, natychmiast szły życzenia zdrowia i najszersze błagania o nieodmówienie przyjazdu.

A już w Krakowie, dbała o każdą próbę, obsadę, o każdy szczegół. Dobra i zawsze chcąc być życzliwą, po jakimś liczniejszym zebraniu, na którym nie mogłam sprawami wewnętrznymi jej absorbować, z hotelu — przysłała bilecik:

Droga Pani! Zdawało mi się, że pani wczoraj chciała mówić ze mną jeszcze o czemś, oprócz ułożenia repertuaru. Jeżeli tak jest, to możeby pani była tak dobra i przyszła dziś wieczorem lub popołudniu. Będę w domu, nie przyjmę nikogo prócz pani! przepraszam, że nie przychodzę sama, ale kuję Giocondę forsownie.

Chciałabym Państwu dać jak najłżejsze warunki, ale pod sekretem. Więc jeżeli drogiej Pani na tem zależy — to proszę przyjść. Zawsze życzliwa Helena Modrzejewska“.

Powtórny cykl występów zaczął się 16 kwietnia 1903 r. Znów czaruje publiczność uroczą Beatrycą, pełną młodości i pogody. Gra prześlicznie Giocondę d'Annunzia. Stwarza posagową sylwetę zewnątrz i wewnątrz, nieszczęsnej Antygony Sofoklesa, żali się rozpacznie, jako Laodamja tęsknoty pełna, w pięknym dziele Wyspiańskiego i kończy swą pracę w dniu 28-go kwietnia 1903 roku.

\*

\*

\*

Z Rzegocina 12-go maja 1903 roku pisze:

„Droga, kochana Pani, dziękuję bardzo za pocziwy list. Żal mi, że tak nagle zmuszona byłam opuścić Kraków, nie pożegnawszy się nawet z jego murami, bo wcale na miasto nie wychodziłam przed wyjazdem. Ale, cóż robić! Takie włóczęgi, jak my oboje, muszą się ciągle śpieszyć i dalej, dalej wędrować, może do końca życia. Spóźniliśmy nasz wyjazd i dopiero 4-go czerwca wyruszamy stąd, a to z powodu mojego słabowania. Miałam chwile przykre. Nevritis, na które dawniej tak cierpiałam, nawiedziło mnie znowu i wszystkie nerwy bolały. Już mi lepiej cokolwiek, ale jestem osłabiona i jakby ciągle niewyspana. Najbardziej dokucza mi serce.

Fotografji nie mogę posłać, bo mi Sebald jeszcze żadnych nie przysłał. Mam jednak nadzieję, że to wkrótce uczyni.

Jutro jedziemy do Poznania, mam więc nadzieję, że je tam zastanę, a wtedy najlepszą pani przyślę.

Cieszę się, że Pani Felcię (synową Modrzejewskiej) lepiej poznała. Ona jest pełna nadzwyczajnych przymiotów i kocham ją jak własne dziecko, jednak, co się tyczy tego, że wszystko czyni, aby się mężowi podobać jedynie, dobrze, że ona sama ma takie iluzje, bo przecież wszystkim wiadomo, że jej mąż, to jej najniższy sługa i podlega, a raczej poddaje się jej wszystkim fantazjom.

Alé, jeżeli jemu z tem dobrze — to i dobrze. Ja, nie mam jej nic do zarzucenia. Kocha dzieci, zajmuje się niemi i dobrze je wychowuje, a sama jest tak miłutka, że trzeba ją kochać. Jest w niej pół-dziecka a pół dojrzałej kobiety i to zestawienie ma dużo uroku.





*Jan Tatariewicz*



*Jan Królikowski*





*Aleksandra Rakiewiczowa*



*Bronisława Wojska*

Jaka szkoda, że nie mogłam widzieć „Bolesława Śmiałego“. Musiało to przepysznie wypaść! Ale państwo się zapewne cieszyacie, że sezon ma się ku końcowi. Odpoczniecie nareszcie, aby znów na nowo zacząć w jesieni.

Mam jednak nadzieję, że oboje wróciacie w pełni sił do nowej pracy i że Wam nareszcie przestaną dokuczać. Muszą się raz znudzić tem prześladowaniem, tem bardziej, że to Państwo tak cierpliwie znosicie i nie dajecie się zniechęcić.

Dowidzenia, droga Pani. Proszę od nas obojga pozdrowić serdecznie męża. Panią ściskam i żegnam, a może kiedyś znów się gdzie zejdziemy, tymczasem do widzenia.

Helena Modrzejewska“.

Jeszcze słówko z Hamburga — na wsiadaniu strzeżmiennego:

„...proszę wierzyć, że pamiętać zawsze będę o Was i życzliwości, której od Państwa doświadczyłam. Jutro rano odpływam na statku „Victoria Augusta“. Ściskam drogą Panią. Dowidzenia! H. Modrzejewska“.

”

\*

\*

Oto są listy wielkiej Aktorki-Artystki, której pod nogi składały hołdy tłumy. Kobiety, którą natura wyposażyła we wszystkie dary i ciała i duszy. Kobiety, otoczonej tak wielkim kultem dla jej artyzmu, że aż prawie niedostępnej.

A jakaż w tych listach prostota, ile w nich ciszy wewnętrznej. Przytaczam je, bo z nich każdy pozna i wy-

czuje tę duszę, która zespolona pracą twórczą z najwyższymi dziełami natchnień poetów, jest niemal zupełnie oderwana od codzienności. Jeśli się w niej martwi, to tylko tem, czy aby „chcecie, abym przyjechała“, czy aby „te moje występy przydać się na coś mogą“, a w nawiasie powie: („proszę mi wierzyć, że nie idzie tu o mnie“). I wierzymy. Bo sama trwoży się, czy podniesione ceny nie zawiodą, a jeśli nie, to czy wtedy rachuby nasze nas nie miną. Oboje pp. Chłapowscy w rachunkach są niesłuchanie ufni. Stawiając warunki, ciągle pytają, czy nie żądają za wiele. Tym razem trafiają na nas, którzy z tego nie korzystamy i nie żądamy zniżek.

Wystawienie „Protesilasa i Laodamji“ przedstawiało istotne trudności, prawie nie do zwalczenia. Wyspiański dla splendoru całości, wymagał dużo. My musieliśmy się liczyć z groszem, zwłaszcza, że zgóry można było przewidzieć, że sztuka nie utrzyma się na repertuarze, a więc nie wycofa kosztów, które pochłonie. Ale Modrzejewska, z młodzieńczym zapalem rwała się do roli, więc z jednego przedstawienia zrzuca się swego honorarium, byle ulżyć kasie i z nieopisaną radością uczestniczy w naradach — jak i co będzie, byle było. Młodzieńczy ten zapal towarzyszył jej stale, we wszelkich poczynaniach. Trzeba ją było widzieć w jej garderobie.

Za chwilę ma wystąpić w roli, nie tej nowej, nie tej „trudnej do nauczenia“, jak to pisze w liście, ale ma grać rolę którą grała przedtem setki razy i potem grać jeszcze będzie, ile razy zagrać zdąży, boć już jest niemłoda. Jak ona jest tą rolą przejęta, jak jest cała w niej, jak automatycznie poddaje się garderobianej, która ją obuwa, a sama, z oczyma utkwionemi w tekst, powtarza i powtarza bez końca, widocznie te kwestje, które

grozą zachwianiem, bo każdy niemal artysta nie jest wolny, przy najlepszej pamięci, od tego, żeby się czasami, gdzieś, coś, nie zachwiało. A potem, kiedy godzina wybija, idąc na scenę żegna się i mówi: „Tak się boję, czy będzie dobrze, czy aby dobrze...”

Żadnej zarozumiałości, żadnej pozy wielkości wobec otoczenia. Żadnych fantazji, prawie żadnych specjalnych nawyknień. Ciągłe tak wygląda, jakby sobie z siebie nic nie robiła.

Jest pełna pięknej prostoty, jak cała Wielka Sztuka, której służy.

\*

\*

\*

Podczas wtórnego pobytu w Krakowie Modrzejewska pragnęła bardzo widzieć na scenie „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Ten tylko, kto jest wtajemniczony w warunki wewnętrzne teatru, wie, co znaczy dać, *ad hoc*, sztukę, która już zesła ze stale powtarzającego się repertuaru, zwłaszcza, sztuka z olbrzymią obsadą. Na specjalne próby, bez których wznowienia dać nie można, trzeba było wynaleźć czas i miejsce, bo scena zajęta rano próbami sztuk, granych przez Gościa. Trudności się jednak pokonało i pewnego wieczoru, Modrzejewska, której obecność na przedstawieniu ogłosiły pisma, jest w naszej loży, w której nam towarzyszy Kazimierz Tetmajer. Słucha z natężeniem pierwszego aktu, cała pochłonięta twórcą, sceną i dziełem.

W antrakcie, dzieli z nami wrażenia, opowiada nam między innymi, że u nas, przy wystawie, wogóle, mało jest, na szczęście, efektów świetlnych, któremi nadto



hojnie szafuje reżyserja w Ameryce. Że ona będąc na scenie, zalanej światłami z góry, z dołu, z boków, jeszcze zawsze jest oświetlona specjalnemi reflektorami, co bywa przywilejem właśnie „gwiazd“. Na nią, na tę „gwiazdę“ muszą być zwrócone głównie oczy tłumu, więc dochodzi do istnej orgji w tym zakresie. Zanim się z tem oswoiła, bywało to dla niej nieznośne, czasem nie do wytrzymania.

Antrakty się kończy i zaczyna się akt następny.

„W tym akcie, maski znaczyć mają  
takich, co myśl swą ukrywają  
I nigdy jej nie stawia jasno,  
cudzą jest, czyli ich jest własną“.

Na scenie, której dekoracje są obrócone tyłem do widowni, znaczą się „łaty“, śruby, któremi są dekoracje przytwierdzone do podjum. Majaczy to, razem z aktorem, w półmroku. Aktorzy, w tem co mówią, niższym tonem, często milczeniem zbywają pytanie, niedomówieniem — kończąc przerwana kwestję.

„Z Konrada jeno patrzą twarzy:  
czy wierzy, czyli tylko marzy“.

— — — — —

„Czy zna swe siły i swą moc,  
czy sam jest, w koło za nim noc“.

Akt przepełniony bólem, ironją, sarkazmem. Akt, w którym poeta wypowiada wszystkie duszy żale do narodu tej duszy, na dnie której leży, głęboko jednak zapadła, wiara, że chociaż „wołasz wiek już nadaremno“, to przecież „*Narodzie, wróżę: Zmartwychwstanieś!*“



Akt, w którym każde słowo porusza sprawę, jaka czeka „ognia żaru, który budzi, który daje siłę, moc, potęgę“. Modrzejewska zamieniona cała w uwagę. Żrenice jej zda się rozszerzone, pochyłona na parapecie łoży, ręką osłania ucho, żeby mu nic nie uszło. Śledzi bacznie snać każde nietylko słowo, ale każdą pauzę, drgnienie każde. *Spraw* są niewyczerpane szeregi, масек dziesiątki zjawia się i ginie i w chwili, w której Konrad mówi:

„Nie chcę, nic, nic, nikogo, żadnych stronnictw, żadnych idei, one wszystkie upadły, muszą upaść, żadnych ludzi, osobistości“... i dalej:

„Chcę, żeby w letni dzień  
w upalny letni dzień  
przedemną żółto żytні łan.

— — — — —  
Chcę patrzeć, patrzeć, tężyć wzrok..  
potrać mogiłę co krok“.

Modrzejewska błędnie, opada na krzesło i mówi: — „Słabo, mi, słabo“ — prawie omdlewa. Tetmajer biegnie do bufetu po wodę — cofamy się wgłąb łoży, cucimy ją, po długiej chwili — przytomnieje — ale już na front łoży nie wraca. Siedzi na kanapce w głębi, blada i bardzo wyczerpana.

Nie nadszyła już kroczyć za śladem poety, chociaż tak bardzo tego pragnęła.

\*

\*

\*

Co kraj — to obyczaj.

Państwo Chłapowscy, o ile zastawałam ich oboje w hotelu, zdumiewali mnie zawsze jedną, jedną

w swoim rodzaju formą rozmowy. A mianowicie: Zarzucali się wzajem pytaniami, nie dając nigdy na nie odpowiedzi.

I tak:

— Karolku, gdzie my dziś jesteśmy zaproszeni na obiad?

— Helciu — czy nie wiesz o kluczykach od małej walizki?

— Karolku, zamówiłeś mi fryzjera?

— Helciu, o której mamy wyjść?

— Karolku, każ podać herbatę.

— Helciu, czy masz dziś próbę? I tak bez końca. Wszystko to wzajem przyjmowali ze spokojem. Żadne nie irytowało się — drugim. Wychodzili i wchodzili — jakim sposobem razem i o właściwej porze — nie wiem i nigdy nie mogłam się w tem zorjentować. Choć było to snąć ich stałym obyczajem, bo Asnyk, wielbiciel pani Heleny, pod której urokiem zostawał do końca dni, potwierdził moje spostrzeżenia. Poświęcił jej też wiersz, niosąc w nim, dla mijającej szybko chwały aktorskiej pocieszenie, że:

„...choć i twórca i dzieło przemienie,  
Rzucone ziarno zejdzie kiedyś w czynie.  
I w przeszłych czynów rycerskiej postaci,  
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci“.

\*

\*

\*

Wśród rozmowy dużo wspomnień poświęcał mi Warszawa. Modrzejewska pamiętała drobny szczegół, że kiedyś popsułam jej mimowoli na chwilę jedną sce-

nę. A było to wtedy, kiedy, będąc młodą dziewczyną, poraz drugi zabrano mnie na „Adriannę Lecouvreur“ i kiedy w chwili, w której ona ma powąchać zatruty pęk fiołków, przysłany jej przez rywalkę, znając treść sztuki, zawołałam: „Nie wachaj!“ publiczność się roześmiała. Artystka, chciała jednak poznać młodą entuzjastkę, która na progu — za kulis, zachwycona i skruszona, przeproszała ją za swój niepohamowanie impulsywny wybuch.

Mówiliśmy też wiele o cenzorach — węszących ciągle, nie bez słuszności zresztą, dwuznaczną treść każdej niemal do deklamacji wybranej strofy — i dzięki temu Modrzejewska, która kiedyś w młodości cudownie na estradzie w kolumnowej sali warszawskiego Ratusza, mówiła Asnyka „Baśń tęczową“, powtórzyła nam ostatnie strofy — opowieści o „kryształowym gmachu olbrzyma, co zakłębem w swojej mocy, najpiękniejszą z dzievic trzyma“, dla uwolnienia której, od straży srebrnego „smoka“.

„Warto piąć się w górę, w górę.  
Warto choćby widzieć zdala,  
Ow zakłęty gmach z kryształu;  
Warto płacąc krwią i bólem,  
Wejść w krainę ideału!  
Gdyby przyszło mi na nowo,  
Od początku zacząć życie,  
Biegłbym jeszcze poraz drugi,  
Za tą piękną na błękanie“.

A mówiąc to, była pełna zapału młodości, biegła „w jakiś dziwny świat“, wsłuchana w „czarodziejską baśń tęczową“ i wiecznie upajała urokiem, niegasnącego nigdy entuzjasmu dla poezji i wiary w jej moc.

\*

\*

\*

Niezliczona liczba kufrów, waliz i walizek, neseserów, pudeł różnego gatunku i wymiaru, pasków, torb podróżnych, jakie zastałam w pokojach hotelowych pp. Chłapowskich, przerażała mnie. Bo sama byłam przyzwyczajona do tego, że, wyjeżdżając nawet na kilka tygodni w podróż, braliśmy zawsze każde jedną walizkę, takich rozmiarów, aby na wypadek braku posługaczy na dworcu, co się snadnie zdarzyć mogło równie w Szwajcarji, jak w Danji czy Holandji, obejść się bez nich zupełnie wygodnie.

Oczywiście, jechali z za oceanu. Oczywiście, teatralna garderoba, stosunki prywatne w świecie przyjęć, więc wizyty, prośzone śniadania i obiady, bale i rauty... wielka Artystka. Wszystko to usprawiedliwiało ten korowód, ale nie zmniejszało mojego podziwu, który rósł w miarę zapoznawania się z ich zawartością.

Suknie! Za żadne pieniądze nie umiałabym opisać tych kombinacyj materyj, gazy, koronek, ich kunsztu, wykwintu i oryginalności

Okrycia! Jakieś poematy tworzone z futer, aksamitów tak cienkich, że przez pierścionek przeciągnąć je można, barw nieuchwytnych, często różnorodnych a sharmonizowanych.

— Tej toalety — w której będę na uroczystości srebrnego wesela krewnych mego męża — mówi pani Helena, pokazując jakieś arcydzieło pierwszorzędnej wiedeńskiej firmy, to nawet ceny nie powiedziałabym nikomu, bo mi wstyd. Ale cóż miałam robić, kiedy piękna!

Cóż miała robić biedna kobieta!

A kiedy innym razem zaczęła mi pokazywać kapelusze, to ja znów zkolei na tem przedstawieniu dostałam zawrotu głowy. Istny kalejdoskop! Zamroczyło mnie zupełnie. Wodą się trzeźwiłam. A jednak, musiała to wszystko wlec ze sobą artystka — po to, żeby za rok, wyszła z mody gałganki, zmieniać na nowe, modne i znów, ze wstydu, nie mówić nikomu ich ceny.

Są to, niestety, nieodzowne akompaniamenty życia aktorki, które ją często wytrącają z normalnej kolei, i są sprawcami tych nieznośnych i nieuniknionych trosk, które dźwigać musi, razem z upragnioną rolą, występem na umiłowanej scenie, pełnej światła i reflektorów rzucanych na nią — chcąc nie chcąc, każda artystka, zwłaszcza każda „gwiazda“.

\*

\*

\*

Nie wiem, za której bytności Modrzejewskiej w Krakowie, ale wiem, że byłam u niej świadkiem ślicznej chwili.

Bo oto, kiedy zkolei, w głębi dużego pokoju, w starym hotelu, стоимy znów koło okrągłego stołu i oglądamy jakieś stare przepyszne koronki — ktoś puka.

— Proszę — mówi pani Helena, jednocześnie otwierając się drzwi, a w nich staje: Stanisław Witkiewicz.

Modrzejewską wielbił całe życie, ten wielki artysta, jako wcielenie talentu i piękna. Tym razem już nie młodzieniec, już z siwem włosom, w zawsze gęstej czuprynie, stoi jak przykuty do miejsca, z pod ciemnych brwi, cudnymi, łagodnymi, jasnymi oczyma — patrzy.

— Pan Stanisław — wita go serdeczny głos. Wtedy



podchodzi. Rzuca jej pod nogi pęk róż, a klęcząc, całuje jej obie powitalnie doń wyciągnięte ręce.

Za chwilę wszedł p. Chłapowski, przywitał nas i zaraz pytanie:

— Helciu, na którą zamówić konie? — jak zwykle zostaje bez odpowiedzi. Natomiast w ślad za niem następuje drugie:

— Karolku, kiedy poprosimy pana Stanisława na dłuższą chwilę?

\*

\*

\*

Widziałam niemal wszystkie artystki, które zdobyły sławę wielkich czy znakomitych, starsze i młodsze, grające w ostatnich latach czterdziestu na scenach europejskich.

A więc: Sarę Bernard w Paryżu i w Warszawie. Réjane w Komedji francuskiej. Wolter i Odillon we Wiedniu, Eleonorę Duse w szeregu gościnnych występów w Berlinie i w Neapolu, gdzie także widziałam uroczą Grammaticę. Sormę niebywale utalentowaną i Ejsolt zdobywcą, bo była i mała i nieładna, a siłą twórczego talentu brała widza w bezpodzielne nad nim panowanie — w Berlinie.

Eibenschütz w Kammerspiele berlińskim, gdzie wychekiwaliśmy na jej wyjście z teatru, jak żaki, poto, ażeby powiedzieć jej kilka, bardzo zresztą mile przyjętych przez nią, słów, po mistrzowskiem odegraniu roli we „Frühlings Erwachen“ (Przebudzenie wiosny) Wedekinda.

Widziałam, będąc dwa razy w Londynie, znakomitości angielskich scen.

Ale w żadnej z tych wielkich artystek tego zgromadzenia: urody, głosu, wytwornej dykcji, gestu, pozy i tej wielostronności przetwarzania się w cudnej zawsze formie, w tej królewskości, gdy jest królową, wielkich uroków polskiej dziewicy, szlachetnych uniesień czy bólów, cierpień, szarpań duszy zbrodniczej, tego nimbu jaki otaczał całą jej istotę, tej emanacji promiennej, płynącej z duszy twórczej, tego u żadnej z artystek nie widziałam i żadna nie posiadała ich w tej mierze, co Helena Modrzejewska. Taka była jedna na całą epokę!

\*

\*

\*

Modrzejewska wyjeżdżała z Krakowa w lutym 1903 roku.

W roku 1904 wracała przez morze na wieczny spoczynek w ziemi rodzinnej, już tylko jedna prosta skrzynia, kryjąca „ogrom majestatu ducha“, piękna, talentu, wielkości i sławy Artystki, świadcząca raz jeszcze o tem, że:

„Marność jest klątwą ziemi syna,  
A dziełem jego — nieświadomość,  
A losem jego dzieł — znikomość,  
A imię jego — proch i glina!“

## GABRYELA ZAPOLSKA.

Pani Karolina Staniszevska, z domu Piotrowska, wielka dama w najbardziej dodatniem słowa tego znaczeniu, biorąc czynny udział w powstaniu 63 roku, wraz z mężem i młodziutkim synem, traci męża w walkach powstańczych, syna roznoszą na szablach moskale w oczach matki. Ją samą wywożą na Sybir, konfiskując, oczywiście, wszelkie jej dobra ziemskie.

Jakaś amnestja umożliwia jej powrót do kraju. Osiedla w Warszawie, w małym parterowym domku, w dziedzińcu, przy ulicy Żórawiej. Ktoś z dawnych sąsiadów przywozi jej kilka uratowanych z własnego jej gniazda, drogich sercu pamiątek. Odtąd, całą wysokość jednej ścianki niskiego pokoju zajmuje portret naturalnej wielkości, tragicznie straconego cudnego młodzieńca i stoją wśród ubogich mebli dwie piękne konsole, jedna z różowego, druga z niebieskiego marmuru, przypomnienie urządzenia bogatego dworu, zgładzonego z powierzchni ziemi.

Siwa, nieco pochylona, w czarnym czepku staruszka, ma dumę cierpienia. Twarz pogodną. Uśmiech dla ludzi

zawsze życzliwy. Umysł żywy. Ale, ponieważ żyje, musi mieć i z czegoś żyć, więc pracuje. Jest przecież — Kresówką. Dwie moje młodsze siostry, z kilkoma innymi kresowemi panienkami, są jej uczenicami. Pannom, przyjeżdżającym z Kresów, na dokształcanie się w wyższych szkołach stolicy, daje swą opiekę. A wieczorami gromadzi towarzystwo najlepszych sfer, to znaczy przeważnie tych, którzy, jeśli uratowali życie, to stracili mienie, w zmaganiach się z wrogiem o wolność Ojczyzny.

Gromadzi się też i młodzież uniwersytecka, przeważnie kresowa, i, właśnie na jednym z takich wieczorów, które organizowała, ukochana przez nas wszystkich pani Staniszevska, poznałam pannę Gabryelę Piotrowską, jej bratanicę.

Młoda panienka wróciła z klasztoru, w którym się kształciła i z rodzicami, piękną matką i ojcem, marszałkiem szlachty na Wołyniu, wstępowała w świat.

Wysmukła, zgrabna i ładna, włosy miała gładko zczesane, z pięknie zarysowanego czoła spięte w ścisły węzeł. Oczy czarne, wielkie, szeroko otwarte i pewną wyniosłość w zachowaniu. Wśród rozmowy w kółku młodych, której treścią naturalnie, była — miłość, pierwsze słowa, jakie usłyszałam z ust panny Gabryeli, były rzucone z sarkastycznym skrzywieniem ust:

— Młody człowiek biedny niema prawa do miłości!

Kilku studentów wyszło na to dictum z pokoju, a rezultat tej sentencji był taki, że kiedy się zaczęły tańce, my, mniej radykalne w pojęciach o prawach do kochania, tańczowałyśmy nazabój, a piękna panna „Lunia“, tak ją nazywała ciotka, siedziała sztywna, wyniosła i osamotniona — do rana. Uboga młodzież ją zbojkotowała.

Tam także, na jednym z zebrań poznała swego pierwszego męża, pana Śnieżkę, rotmistrza wojsk rosyjskich. Zerwał dla niej ze śliczną dziewczyną, której był narzeczonym, śmiem dodać, na jej szczęście. A poślubionej, na pierwsze danie, dostarczył tematu do jednej z nowel, jakie później napisała, w której młoda kobieta, idąc do małżeńskiej komnaty, zanim została żoną, usłyszała w gabinecie ojca, ożywioną rozmowę „ukochanego“, targującego się z ojcem jej o sumę posagową.

\*

\*

\*

Los rzucił nią, jak piłką.

Wiedeń rozbudził w niej zamilowanie do sceny. Wielkie a świetne heroiny dramatów i tragedji w teatrach wiedeńskich chlonały jej żywą wyobraźnię.

Paryż utrwala entuzjazm w tym kierunku. W kilka lat potem, kiedy, jako publicystka, objęła w „Wieku Nowym“ stałą rubrykę, zatytułowaną „Przez moje okno“, pisząc o „Teatrze Niezależnym“, zapoczątkowanym we Lwowie w r. 1913, przez Antoniego Godziembę Wysockiego, młodego literata — entuzjastę, którego sylwetę kreśli z przedziwnym wdziękiem, pisze też wspomnienia przeżytych chwil pod kierunkiem Antoine’a, na którego scenie występowała. dzięki swej doskonałej znajomości języka francuskiego.

Postanowienie zostania aktorką — dojrzało. Wraca do Lwowa. Na stałe tam osiada i w teatrze lwowskim znajduje gościnę.

Odtąd dużo zawsze słyszałam o Gabryjeli Zapolskiej, bo pod tym pseudonimem występowała na arenie pu-



blicznej i jako aktorka i jako pisarka. Zamieniając go na Maskof, wtedy, kiedy chodziło o sztuki patryjotyczne. Czujna cenzura mogła utrudnić wstęp na scenę warszawską wogóle jej dziełom. Przed tem należało się bronić.

I jako aktorka początkowo, i jako pisarka stale, Zapolska budziła wielkie zainteresowanie, zwłaszcza środowisk literackich, do których miałam szczęście należeć.

Toteż, wykształcenie jej, niezwykła uroda, nieokiełznany temperament, a w dodatku niepospolity talent pisarski, gromadziły koło niej roje przygodnych wielbicieli.

Z mężem już nie żyła.

\*

\*

\*

Po objęciu teatru Krakowskiego przez Józefa Kotarbińskiego, Zapolska zrobiła mu propozycję występów gościnnych. A wślad za tem wyraziła chęć stałej pracy, nawet współpracy na scenie Krakowskiej.

Na pierwszą propozycję — przystał, drugiej się bał.

Aktorka i Autorka w jednej osobie. Stąd możliwość nieprzewidzianych konfliktów i przy wystawianiu i obsadzie ról, choćby tylko w jej własnych sztukach.

A potem niepokój jej temperamentu, który mógł się udzielić zespołowi szarmonizowanemu... wszystko to złożyło się na odpowiedź odmowną mego Męża, której ja padłam ofiarą, najzupełniej, tym razem, niewinnie.

— Wiem, kto mnie sobie tutaj nie życzy. Oczywiście, Pani Dyrektorowa. — Z najwyższą irytacją mówi pani Zapolska do pana Kazimierza Skrzyńskiego, teatroma-

na, stałego bywalca teatru, lubiącego nie tylko teatr, ale i teatralne poswarki. — Spotkałam ją dzisiaj. Ukłoniła mi się. Otóż, proszę powiedz jej pan, żeby mi się więcej nie kłaniała, bo sobie tego nie życzę.

Zacierając ręce z uciechy, pan Skrzyński spełnia polecenie. Roześmiałam się.

— Skoro jest taka wola pani Zapolskiej, zastosować się do niej muszę. Dziś ukłoniłam się jej pierwsza dlatego, że przywykłam zawsze kłaniać się pierwsza osobom starszym.

Notabene, była odemnie, zdaje mi się, parę lat młodszą. Pan Skrzyński znów zatarł ręce z radości, że ma taką oliwę na ten ogień, buchnął on też, podobno, całym płomieniem, przy spełnianiu szacownej misji.

I tak oto pierzchła, narazie, sympatja znakomitej autorki dla domniemanej sprawczyni nie dojścia do skutku jej projektów.

\*

\*

\*

W ludziach widziała Zapolska przeważnie dużo zła. Czemu oni ją karmili, czy same zatrute piła od nich napoje? Nie wiem dokładnie. To i owo, na co patrzałam, istotnie nie mogło jej słodko nastrajać. Trafiała najczęściej, o ile wiem, na ludzi bez charakteru. Ale zdarzyło się także, że człowiek, który ją szczerze pokochał przeprowadził jej rozwód, aby została jego żoną, — był zacny. A jednak nie nie wzięła ani z jego spokoju, ani równowagi, ani — dobroci. Nie umiała snuć tego zrobić.

Państwo Janowscy wracali ze wsi — na Kraków. Byli w teatrze. Nazajutrz mieliśmy ich u siebie na śniadaniu.



*Wincenty Rapacki*



*Bolesław Leszczyński*



Helena Marcello - Palińska



Wanda Barszczewska

Więc: wrażenia z lata.

Boże! ileż w tym cichym, wiejskim, zakątku dostrzegła grzechów, złych instynktów i namiętności.

Rządca uwodził żonę nauczyciela. Nauczyciel żonę rymarza. Rymarz pożyczał pieniądze na lichwę, które czerpał u wójta karciarza. Księdzu proboszczowi też się coś dostało z powodu gospodyni, o której kościelny roznosił „okropne“ plotki. Młodzież grała w cwancigera, oszukując się wzajem, piła i stąd ciągle bijatyki. Dziewczyny uczciwej — szukaj, po wsi, ze świecą. A dzieci! Wszystkie na wisielców. Słowem, same potwory, jakiś sabat djabłów i czarownic.

— Nikogo nie było tam uczciwego? — spytał mój mąż.

— Nikogo — odpowiedziała z zupełną stanowczością.

Mąż jej, dobrotliwy człowiek, siedział jak trusia. Ja, jak druga.

\*

\*

\*

Znów minął jakiś okres czasu. Józef Kotarbiński zostaje kierownikiem sceny warszawskiej. Zapolska pisze sztuki, które skwapliwie chwytą kierownik. Korespondencja częsta i bardzo miła. Urazy idą w zapomnienie.

A między innemi przychodzi taki list:

„Wielce miły Kolego.

Serdeczne dzięki za to najpocziwsze zajęcie się mą sprawą. Doprawdy, ujął mnie pan bardzo. Ja zawsze mówiłam sobie, w mej duszy, że wy jesteście na si ludzie. Bo, widzi pan, łączy nas wszystko i pocho-



dzenie i kultura, fach i praca. Czego my się żarli? Dlaczego?

Połączeni dalibyśmy piękne rezultaty. Im człowiek starszy, tem trzeźwiej patrzy na rzeczy. Ja, zmieniłam się do niepoznania. Jestem zupełnie inną istotą. Stworzyłam sobie swój świat i ten jest różny od tego, w którym przebywałam. A na tamten patrzę jak widz przez lornetkę.

I często dziwię się... bardzo.

Wczoraj biadałam, że nie mam kobiety, z którą bliżej żyćbym mogła.

Pustka, nikogo!

I, powiedziałam do męża, jest jedna kobieta pasująca do mnie, jak bliźniak, interesująca mnie, z którą mogłabym żyć wybornie i czuć się swojo — to jest... Kotarbińska! Przyznał mi zupełną rację. Niech pan to powie pani Lucynie. I proszę mi wierzyć, że to było zupełnie szczere i łatwo zrozumiałe“.

Wdzięczna jej byłam bardzo za ten zwrot w liście, choć dotąd nie wiem, czem to pochlebne dla mnie zwierzenie wywołałam. Może kontrastem naszego na świat patrzenia, bo ona widziała zawsze wszystko czarno, ja — biało. Ona pastwiła się piórem nad mężczyznami, ja byłam zdecydowaną mężczyźniarką, nie będąc wrogiem w pewnym stopniu ani kobiet, ani feminizmu.

A może było to wiecznie powtarzające się zjawisko, świadczące tylokrotne o tem, że ludzie znakomici nie umieją sobie dobrać pary.

W każdym razie, odtąd nieraz wymienialiśmy fisty — w sprawach literackich, dotyczących tygodnika dla kobiet „Nasz Dom“, którego przez lat osiem byłam redaktorką w Warszawie.

\*

\*

\*

— Cały mój talent pisarski, oddałabym za jedną dobrze zagraną rolę — mówi w przystępie szczerości Żapolska.

Najwyższe ambicje zostania znakomitą aktorką — zawodzą.

Nigdy, żadnej roli nie zagrała z taką fugą talentu, z jaką pisała, zwłaszcza swoje prześwietne dzieła sceniczne, z jakim pisała wiecznie pokutującą w małych duszach „Dulską“. Zawsze powtarzającą się, zepsutą od urodzenia, a niewinną „Żabusię“, jaką wszyscy po wszystkie czasy znamy, nigdy nie skończone w swej istocie dzieje biednej „Maliczewskiej“, wiecznie skrzywdzonej, o której pisze w liście do Męża mego, przesyłając rękopis i omawiając obsadę sztuki:

„Kochany Kolego, sam zobaczysz, *czem* powinna być Maliczewska.

Kwiatem, gwiazdką, słońcem. Dzieckiem, ptaszkiem, „wszystkiem“. A przede wszystkim *prawdą i szczerością*“. — I nad złamanem skrzydłem tego ptaka, który padł z lotu w kałużę — rozpacza.

\*

\*

\*

Przynaglana kiedyś przez mego Męża o kończeniu sztuki, którą już przyrzekła, pisze bardzo charakterystyczne wyznanie:

„Widzi pan, sztuka to nie jest obrębianie tuzina chustek do nosa. Ja nie wiem, kiedy ja ją będę mogła na-

pisać... Nie pisałam dwa lata i jednego tygodnia będąc ciężko chora, napisałam... „Dulską“.

„Tamtego“ napisałam *nagle*, w tydzień. Ja nie jestem sztukorób. Ja nagle, niespodziewanie w trakcie naprzykład najbanalniejszej rozmowy albo konsultacji z doktorem, stoję dęba i zaczynam w umyśle widzieć *scenę* i na niej chodzące figury ze wszystkich polskich teatrów. Często dopytyczam i z francuskich. I oto już wiem, że *będę pisać*. Ale ja nie wiem, kiedy to przyjdzie, i ja żadnego przymusu nie mogę mieć na karku, bo coś się buntuje wtedy we mnie, jakaś rozpacz, złość mnie ogarnia, i *nie będę w stanie nic robić*“.

I wśród tego coś niespodziewanego na nią spada. Coś uderzy, jak obuchem. Coś zniechęci. Burzy, co zbudowała. Rwie co nawiązała. Taka jest. Cóż robić! Taka jest.

„Kontrakt podpisałam“ — pisze innym razem. — „Ale masz pan rację, zakończenie będzie ironiczne i bez śmierci. Stąd jednak zwłoka, bo przeróbka aktu III-go i pół drugiego. — To musicie uwzględnić, wiedząc, że sztuka nie jest suknią u krawcowej.“

Pieniądze przyslijcie. Zima idzie, dużo trzeba, nawet futra“.

Ach, te pieniądze!

Zapolska pisze, pisze dużo. Sztuki mają powodzenie. Pracuje. Powieści jej drukują, są czytane. Mimo to — niema listu, w którymby nie było mowy o zaliczce, o przysłaniu tantjemy „natychmiast“. O nieodtrącanie zaległości, które odrobi, byle tych paręset rubli dostać teraz, właśnie, „*na razie, niezbędnych*“.

„Dulska“ u was, dała mi 2.800 rb. Powieść przyniosła mi 5.000 rb., ale to już przeszłość.

A tu recenzje kładą mi „Skiza“! Więc wylew żółci: „Dobrze, że dał pan „Krytyków“ (Chęcińskiego), nie jedna prawda zakole w oczy tych nieuków, którzy depczą po ludzkich duchach — eunuchy, nie mogące nic stworzyć, z nożycami, któremi wycinają cudze myśli, kleją je i z tem idą paradować. Podłe, podle bestje“.

Istotnie, o ile pamiętam ktoś się zagalopował i napisał jej, że „już lampa się wypala, gaśnie“. A że ten ktoś był czytany, musiało to zrobić duże wrażenie na kobiecie, wtedy chorej, a może często chorej, i kto wie, czy nie z pewnością zawsze ciężko chorej.

„Jestem na klinice — pisze — gdzie zdaje mi się, że „jak Dante za życia przechodzę przez piekło“.

To są rzeczy okropne, straszne. Jedna noc jęków, krzyków gorączkujących — a potem, nad ranem wynoszą maryl — na nich coś nieruchomego, cichego... przez 10 dni mego tu pobytu cztery razy takie maryl się zjawiały.

Tak się zirytowałam po tych ostatnich recenzjach, że mi gorzej. Nigdy już nie pisać nie będę“.

A potem, za chwilę, w tym samym liście: „Cierpię, bardzo zmęczona jestem. Pragnę jednak wykończyć nową sztukę“.

\*

\*

\*

Oczywiście, nie śledziłam wszystkich poszczególnych etapów zmiennych jej losów.

Nie piszę też ani jej biografji, ani nie trzymam się ścisłej chronologji. Nie znam dat, nie wyliczam jej dzieł. Zrobią to inni, powołani. Daję tylko wyraz podziwu



dla jej pracy, talentu i jej wielkiej bezinteresowności w stosunku do życia, co było wybitną jej cechą. Żadne przekupstwo sądu, żadna frymarka przekonaniem — jej nie dotknęła. Żaden wzgląd na własny interes nie krępował jej wewnętrznej prawdy.

Wspominam chwile spotkań z tą znakomitą autorką i wybitną indywidualnością, spotkań, których jednak łącznikiem między nami był jedynie teatr.

Scena właściwie nie była areną, na którejby Zapolska zbierała laury. I dziwna jakaś była sprzeczność, jakieś stałe nieporozumienie między nią a deskami teatru. Urodziwa. A na scenie uroda ta gdzieś ginęła. Zgrabna — a na scenie zawsze jakaś złamana w linii. A ruchy? Było w nich coś tak dziwnego, że, we mnie przynajmniej, zawsze budziło się wrażenie, że wchodzi jakiś symbol złego przeznaczenia. Nie chodziła — pełzała, cicho, prawie złowrogo, niby wąż czy gad, którego dotknięcia chciałoby się uniknąć.

Jedyną rolą, w której była i świetną i wzruszającą — to była rola — „Matki“ w jej sztuce: „Tamten“. Mówią to o niej koleżanki. A jak koleżanki chwala — to już wierzyć można na niewidzianego.

Żadna inna jej rola nie przekonywała, nie wprowadzała ani w dziedzinę wzruszenia, ani uludy. Ale pisząc o życiu teatru, chodząc za kulisami, nie można nie pisać o Zapolskiej. Bo ona tworzyła ten teatr, a w nim wiecznie trwałych ludzi, piórem świetnym, z kobiecym bólem, a z męską decyzją przyczyn i okrucieństw życia.

A życie, naogół, ostro się z nią obeszło. Borykała się z niem i walczyła nieraz ciężko. Czasem mówiła mi o czymś gorzko, prawie zawsze z sarkazmem, choć jednak nigdy nie żaliła się, nie wysuwała i nie potęgowała



swych życiowych zawodów i rozpacz, które często szarpały tę wrażliwą i biedną duszę. Zachowywała się względem nich z pewną wielkopańską obojętnością.

Literatura jej wie dużo w tym zakresie, ludzie bezpośrednio — niewiele, oprócz może tych, którzy byli jej bardzo bliscy. Było tych ludzi wielu. A właśnie wśród nich nie było tego *jednego serca*, za którym tęsknił i żałując się mówił Asnyk:

Jednego serca, tak mało, tak mało,  
A jednak widzę, że żądam za wiele...

Zapolska tego jednego serca także nie umiała sobie wziąć na własność. Może gonila: „pustyń piaszczystych złudzenia“, a minęła strumień na zielonej łące — któż to wiedzieć może.

Nie przybierała też pozy poskromicielki własnych instynktów, które ją ponosiły. Raczej chciała, aby myślano, że jest ich kierowniczką i władczynią. Okłamywała sama siebie, co się też często w życiu zdarza, choć niewiadomo poci.

Ale przychodziły na nią i czarne godziny. Oj! przychodziły. Rzadko. A już wtedy, u kolan czyichś, może przed kimś kto znał życie, a ufała mu, może starszej dobrej koleżanki w garderobie, między jedną a drugą sceną, wśród występu umiała lkać, ręce łamać i mówić: „Ty mnie nigdy nie zrozumiesz, bo ty jesteś inna. Ty wierzysz głęboko, kochasz wiernie i nie wiesz, co jest walka samej ze sobą. Twoje życie jest spokojne, równe. Masz męża, syna, scenę, dla której pracujesz sumiennie, swój dom, swój kościół, swój pacierz, i — to wszystko. Ale to jest życie pospolite, nudne, *szare*. A mnie sto

barw się naraz przed oczami zapala i gaśnie, sto postaci się przewija. Raz widzę, brokaty, aksamity, złoto — to znów słomę — wichrem rwaną, łatwopalną, i lachmany. Coś we mnie huczy, kipi, wre. Jakieś gromy, pioruny z błyskawicami w tym mózgu się palą. Coś mnie gna, coś pędzi. Raz boję się czegoś, boję się samej siebie. To znów na wszystko się ważę. Czasem tupnę, zaklnę, wyprostuję się. A tu coś mnie chwyta, łamie i przywala. Chcę się ostać, nie chcę lecieć — a muszę! — I leciała.

\*

\*

\*

Wszystko, co Zapolska pisała — czytałam. I śmiało powiedzieć mogę, że wiele dobrego jej zawdzięczam w swem etycznym urobieniu i pewnej wewnętrznej decyzji. Tak. Choćby taka „Kaśka Karjatyda“, ta wiejska dziewczyna, sponiewierana przez miasto i różne Dulskie. A, ona właśnie nauczyła mnie być panią domu, w którym służące bywały po dziewięć, dwanaście i siedemnaście lat. Bo jej książki, te zwłaszcza, w których mowa o tem, „o czem się nie mówi“, wyposażyły moją duszę w takie uczucia, które mi pozwoliły odbierać nieraz pełne ufności we mnie zwierzenia od tych nieszczęsnych, co je życie zepchnęło z równych kolei dróg, a zbłąkane, sponiewierane, wystraszone przychodziły nieraz prosić o radę, czasem tylko o współczucie. Uważałam to zawsze za swój dorobek moralny i szczęśliwa byłam, jeśli choć na chwilę ulżyć mogłam ich doli, bo daj dobrem słowem.

Zapolskiej krzyk, często w brutalną formę ujęty, mógł odstraszać hipokryzję lub sybarytyzm myślowy,

ale to był zawsze krzyk kobiety, upominającej się o cudzą krzywdę. Wielki gwałt około spraw, wśród których istotnie, *pogmalcona* jest cała ludzka strona kobiecości. Spraw, może usprawiedliwionych przez ustrój społeczny, nie mniej — okrutnych.

Ból, poniewierka, męka kobiety, naogół, poruszała jej duszę zawsze do głębi i wtedy nie знаła pardonu w słowie, miary i kojarzeniu sytuacji, w sprzęganiu spostrzeżeń, mogących spotęgować obronę dla potępionych lub ratunek skrzywdzonych.

Talent aktorski — zawiódł ją. Temperament był źródłem anormalnych z ludźmi stosunków. Ale imię wielkiej pisarki, z którą nie częste, ale zawsze znamienne przeżywalіśmy chwile, zostało na kartach teatru i literatury — na zawsze.

## WANDA SIEMASZKOWA.

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin  
Głuchy szum wieków, idących z kolei,  
I ciche szmery tajemnych narodzin  
Wielkich idei?

Wanda Siemaszkowa należała do tych szczęśliwych, którzy ją słyszeli i słyszą, Młodziutką dziewczynką, będącą jeszcze na pensji, przyprowadziła matka jej p. Sierpińska, do Józefa Kotarbińskiego, prosząc, aby, wobec wielkiego zamięłowania do poezji i deklamacji, powiedział, czy warto w niej to zamięłowanie pielęgnować i kształcić.

Dziewczyną była śliczna. Profil, jak w marmurze kuty, wzrost dobry, głos dźwięczny, włosy, w warkocze splecione do stóp, te same, które do dziś, pochylają, zda się, głowę w tył swym ciężarem. Przy tem takie odczucie wszystkiego co mówiła, że, słysząc te próby z drugiego pokoju, odrazu wiedziałam, jaki będzie sąd mego Męża. Nie omyliłam się. Odtąd był jej nauczycielem.

A w długie lata, w dniu swego jubileuszu 1913 r. 30-letniej pracy dla teatru, odbiera list, od swej kocha-

nej uczenicy, z której zawsze był dumny, a w nim czyta:

„...Ja więcej od innych mam powodu skorzystać z okazji, by złożyć hołd i wyrazić panu to, co gromadziły lata w mem sercu i pamięci.

Panu zawdzięczam początki nauki gry scenicznej, panu jedynie zawdzięczam umiejętność pięknego mówienia, oraz władania głosem, panu również zawdzięczam wiarę, że istotna *wartość* przewycięża najcięższe trudności, których w naszym biednym kraju nie brak. Jest pan jedną z najjaśniejszych postaci naszych czasów, więc za to panu dzięki“.

✱

✱

✱

Panna Wanda Sierpińska karierę sceniczną zaczynała w Krakowie, gdzie teatr był pod dyрекcją Jakóba Gliksona, pierwsza pensja 40 koron. I żyła. Czem? Sztuką, zapalem i młodością.

Ale za to grała. Grała bez wypoczynku, pewno często na swe barki brała ciężar ról, które ledwie udźwignąć mogła. Nic to. Zniewalała urodą, szczerością, i szła, zasłuchana „w ciche szmery tajemnych narodzin wielkich idei“ z rozrzutnością młodości i jej zuchwałą wiarą w jutro życia.

Publiczność ją uwielbiała.

Niebawem połączyła życie z artystą, znakomitym artystą w rolach charakterystyczno-komicznych, Antonim Siemaszko. Odtąd, jako Wanda Siemaszkowa, daje poznać swe wartości; bo obowiązki żony, a niebawem matki, zczasem matki trojga dzieci, dzieli z obowiąz-



kiem, jaki nakłada na nią sztuka, ale i talent. Bo Wanda Siemaszkowa rozumie, że talent to dar Boży, z którego przed jego Dawcą złożyć kiedyś będzie musiała rachunek. Marnować go nie wolno.

Dzieci chowa starannie. Jest tak oddaną matką małenstwu, jak jest oddaną artystką — scenie. Hołubi je najpierw — póki małe, — potem kształci. Gdybyż to w stosunku do ich wzrostu rosły dochody rodziców-artystów! Gdyby! Ale to nie tak łatwe. To się nie dzieje ani szybko, ani w żadnej mierze do artystycznych walorów, które przecież z każdym rokiem rosną w cenie u tak młodych ludzi.

Więc zmienia się tereny pracy, z nadzieją zdobycia większego grosza, co jednak jest niemal zawsze, u każdego artysty, ze szkodą talentu, bo trzeba przystosowywać się do danych a odmiennych warunków. Trzeba się poznawać z nową publicznością. Trzeba się zgrać z kolegami, a na to wszystko zużywać najniepotrzebniej i czas i energję, siłę bezpowrotnie straconą, której tak zawsze żal, jeśli się marnuje!

\*

\*

\*

W pracy Siemaszkowa była miła, bo zawsze pełna entuzjazmu. Nie uważała jej nigdy za ciężar, raczej za towarzyszkę i sojuszniczkę. Toteż, oprócz nieporozumień z mężem moim, jako Dyrektorem teatru, o jakieś „niedoceniecie“ istotnej choroby, do mnie listu, w którym mi pisze, że czegoś „nigdy mi nie zapomni“, chociaż zaraz zapomniała, bo się przekonała, że była tylko dobra, a żadnej złej ne było w tej sprawie woli, cała

linja wzajemnych stosunków była harmonijna, co, zresztą u nas, było we zwyczaju.

\*

\*

\*

Ktoś powinien i musi napisać monografię tej znakomitej artystki. Musi zestawić różnorodność jej ról i uchylić czoła przed olbrzymią pracą i znakomitą talentem. Ja, znów tylko rzucam kilka wspomnień i dokumentuję sympatię, która nieprzerwanie wiąże mnie z tą wielką artystką i zacną kobietą przez całe życie, od chwili poznania.

Na przedstawieniu „Szalonej Julki“, w której Siemaszkowa grała całą siłą młodości i furji temperamentu, pamiętna była chwila, kiedy obecna w teatrze Gabriela Zapolska, przyszła za kulisy, chwyciła ją za roztarganą czuprynę i mówiła z gorączkowym zachwytem, ale i z pewnym żalem:

— Żebyś ja choć raz w życiu mogła tak coś zagrać, jak ty grasz Julkę!

Jej role? A któżby je mógł wyliczyć. Setki i setki. Były takie, które szczególnie lubiła: „Nora“, „Niech żyje życie“, „Marja“, w Warszawiance Wyspiańskiego — należała do wybranych. Ale „Hedda Gabler“ Ibsena, była właśnie jej ulubioną.

Długie chwile omawiała z Mężem moim tę postać. Nawet suknie projektowała i obmyślała dłużej i staranniej, aniżeli do innych ról i pozwoliła mi, o co ją prosiłam, uczesać się tego wieczoru. Te śliczne i tak obfite włosy, rzadko kiedy były jej posłuszne. Tym razem ja się do nich dobrałam, ujarzmiłam je, Wyglądała wspa-

niale. Tyle artystek, na różnych scenach w niej widziałam, a żadna nie dorównała Siemaszkowej głębookością wyczuć tej niesamowitej natury. Wśród publiczności był jeden głos zachwyty i przeświadczenie, że wieczór ten należy do nadzwyczajnych wydarzeń na scenie krakowskiej i że „Hedda“ zostanie w repertuarze stałym, dzięki grze Siemaszkowej.

Tymczasem, Lucjan Rydel, w „Czasie“ z zasady wówczas, napadał, już nie tylko na Dyрекcję, i na aktorów, ale nawet na tłumaczenie, które dla teatru krakowskiego specjalnie robiła p. Walerja Morzkowska (Marréné), a więc dobra firma literacka — „Głos Narodu“ zaś, obrażony, że rolę „Heddy Gabler“ gra Siemaszkowa, a nie protegowana przez recenzenta aktorka, że wszystkiego na scenie jest niezadowolony, a nadewszystko z tego, że „Hedda“ nie dość „demoniczna“. Ale publiczność przychodzi, więc ciągi lżej znosić, a ja dostaję od Siemaszkowej, nazajutrz po premierze, śliczną roślinkę ze słodkim biletem, na którym czytam: „Nie „demoniczna“, ale wdzięczna Dyrektorowi za Heddę, Koleżance i Dyrektorowej za jej dobroć. Wanda Siemaszkowa“.

\*

\*

\*

Już w Warszawie, po powrocie z Krakowa, jako redaktorka pisma kobiecego „Nasz Dom“ rozesłałam do znajomych mi artystek pytanie: „Czy chciałyby widzieć swą córkę na scenie?“

Otrzymałam z opóźnieniem od niej list, charakteryzujący nie tylko jej wewnętrzną istotę, ale zarazem rzuca-

jący światło na życie artystki wogóle, o jakim się mało wie, choć się je tak łatwo a powierzchownie sądzi. — Oto co pisze:

„Droga i wielce Szanowna Pani!

Wyobrażam sobie, jak złe mniemanie musiałam wywołać milczeniem na tak zajmujące pytanie, zwłaszcza po widzeniu się naszym w Warszawie. Otóż po powrocie zastałam w domu ciężko chorego Wojtkę, mego najmłodszego syna, i teraz dopiero zmartwienie największe minęło, choć jeszcze jest w rekonwalescencji. Wśród najcięższej troski grywałam ciągle, ciągle mając nowe role do nauki i tak: ogromna rola w „Świętej Rosji“, potem w „Pocałunku szczęścia“ i w „Lecą liście z drzewa“, nie licząc wznowień „Warszawianki“, „Zaczarowanego Koła“ etc.

Od tygodnia dopiero sypiam, choć zmartwienie trwa w zmniejszonym stopniu, ale trwa, gdyż chłopak mój zapadł znów po dwumiesięcznej chorobie, na oczy i uczyć się nie może. Los mnie doświadcza, ale powinien być zadowolony z mojej siły, nie przypuszczam bowiem, aby mu zależało na powaleniu mnie — choć kto wie?

Teraz, muszę całą siłą pary zarabiać, zarabiać i jeszcze raz zarabiać. Jadę więc na występy: do Kijowa, potem na Litwę, potem do Petersburga!!! Rozumie pani, że wobec ciężkiej rzeczywistości, gdzie serce bólem ściągnięte drżało, aby nie stracić najbliższej istoty, rozwiązanie literackiego problemu o dziecku i scenie, gdy *in* *życiu* mogłam je utracić, nie powstało mi nawet w głowie. Przepraszam drogą panią, całuję gorąco i proszę o uściskanie pana Józefa, oddana Wam

Wanda Siemaszkowa“.



To tylko jedna próbka, jeden epizod z życia aktorki.

\*

✱

✱

„Drogi mój Mistrzu i Kolego!“ — pisze z Bydgoszczy, gdzie prowadzi teatr samodzielnie. — „Byłam bardzo zajęta próbami „Irydjona“, którego już... położyłam... przepraszam, odstawiliśmy. Przedtem wznowiłam „Wesele“. A przeżywając wszystkie dobre, dawne chwile wspomnień krakowskich, doszłam do przekonania, że jednak zrozumienie, przez całą grupę aktorów, postaci Wyspiańskiego dziś stoi o całe niebo wyżej, aniżeli dawniej; przecież to któraś aktorka w Krakowie odrzuciła rolę „Młodej“, i ja na prośbę Autora, wzięłam ją na dwa dni przed premierą. Wogóle, ruszano ramionami na sztukę. Nawet zdaje mi się, że i Dyrektor nie miał wiary w jej powodzenie. A jednak ja, po pierwszej próbie wpadłam do kancelarii i z entuzjazmem mówiłam, że to sztuka, z którą żadna zmierzyć się nie może, co powtarzano po mnie z ironją. A potem pamiętam, kiedy to powodzenie się utrwaliło, niezapomniane słowa pana, naszego kochanego Dyrektora, który przyznał się przed całym zespołem, że *takiego* powodzenia nie przewidywał i biorąc za motto słowa Wyspiańskiego: „oto chwila osobliwa“, w pięknych, podniosłych wyrazach nawoływał brać aktorską do pietyzmu dla Wieszcza i jego genialnego dzieła. A ta próba generalna z cenzorem! Pamiętam, wykreślił całe najpiękniejsze ustępy wraz z „Polską właśnie“. A scena ta brzmiała jak następuje:



*Panna młoda.* A kaz tyz ta Polska, a kaz ta.  
*Poeta.* Po całym świecie  
możesz szukać Polski, panno młoda,  
i nigdzie jej nie znajdziecie.

*Panna młoda.* To może i szukać szkoda.  
*Poeta.* A jest jedna mała klatka,  
o niech tak Jagusia przymknie  
rękę pod pierś. —

*Panna młoda.* To zakładka  
gorseta, zaszyta trochę przyciasnie. —

*Poeta.* A tam puka?  
*Panna młoda.* I cóż za taka nauka?  
*Poeta.* Serce!?

*Poeta.* A to Polska właśnie.

„Cenzor był wśród publiczności — pisze dalej Siemaszkowa — pilnie słuchał, a my musielibyśmy płacić kary, jeśli zlekceważymy zakaz.

Mówiło się wszystko, nikt kary nie zapłacił, ba! nawet nikt nie śmiał kary żądać. Genjusz zwyciężał. Wanda Siemaszkowa“.

Tu, dodać należy, że w tej chwili, kiedy Poeta mówił: „A to Polska właśnie“, Artystka grała tylko wyrazem fizjonomji. Z ust jej wyszło lekkie stłumione: „Ah!“ a potem, jakby słońce opromieniło jej twarz, tyle było na niej jasności, tyle ośnienia wobec tej chwili, kiedy świadomość zrodziła się w niej o relikwiarzu, w którym kryliśmy wszyscy przez wiek niewoli — *Polskę właśnie*.

Moment ten zrobiła tak, jak nikt po niej, jak tylko mogła zrobić — chwila prawdziwego natchnienia wielkiej Artystki.

\*

\*

\*

A potem, potem już odbieram list po odejściu z tego świata Józefa.

„Tyle razy zbierałam się do pisania, łzy mnie dławily. Wiesz, że Ci współczuję. Wielki żal, że odszedł. Pogodzić się trudno, że tej pięknej postaci już się nie zobaczy, że nie usłyszysz się zawsze mądrych, dobrych słów, płynących z gołębiego serca.

On jest dalej przy nas i z nami, i tylko fizyczna zasłona nas dzieli, której uchylenie od nas zależne. Co z tobą droga? Jak sobie poradzisz? Czy możesz pracować?

Gdybyś chciała, Lucynko, wypocząć, oderwać się, proszę Cię do siebie, do Lwowa. Otoczę Cię spokojem i wygodą“.

Odpisałam zaraz, wdzięczna za dowód serca i pamięci.

\*

\*

\*

A potem jeszcze list...

Przytaczam je, bo one zawsze były naszą i są moją chlubą. Bo nie z innej — tylko z areny, na której razem pracowałam z Artystami, odbierałam dowody Ich życzliwości, nawet po latach 25 rozstania. Napęlnia mnie to zawsze radością, żem tyle zdobyła, a odsłania Ich dusze i serca, co właśnie jest przedmiotem moich w tym zakresie zadań. Chcę udowodnić, że ten świat aktorski „taki inny“, jest „taki sam“, jak inne światy, bo wszędzie człowiek jest dziełem jednej twórczej Siły i że właśnie dla tego, ten świat aktorski stał się po części i moim światem, który mi dał wiele radości i dobra.

A więc — ów list, w którym, oczywiście, wszelkie pochwały są nadmierne usprawiedliwione, jedynie, okazją.

Bo, kiedy w maju 1930 r. przypadła data ukończenia długiej wędrówki ze mną, moich 70 lat, czem one musiały być dość zmęczone — choć ja — ani trochę, liczne koło przyjaciół i życzliwych mi ludzi ofiarowało mi: *święto serca*. Przecudne. Wtedy to, od Wandy Siemaszkowej odbieram list: „Droga, czcigodna i kochana Jubilatko. W czasie Twego święta byłam w objeździe i chorą. Niech głos mój wśród chóru Twoich wielbicieli teraz zadźwięczy, jako najczystszy, najszczerzy podziw dla Twojej dobroci, wytrwałości, pracowitości, a nadewszystko — pogody ducha. Drugiej *takiej* niema. A potem Twoja wiara cudowna, że jeżeli sprawa dobra, to trzeba spontanicznie dać jej całego siebie.

Lucynko, piszę to, co serce czuje. Znamy się tyle, tyle lat! ś. p. Mąż Twój uczył mnie. Zawdzięczam Mu podstawy Wielkiej Sztuki, dziś tak zbędnej. Widziałam Twoją mrówczą pracę. Twoją pomoc w każdym kierunku, w budowaniu Teatru krakowskiego. Czułam i doświadczyłam siostrzano-matczynej opieki i dla mnie, i dla mego ukochanego Wojaka, ś. p. Wojtka. Za to życie będziesz wiecznie, a miłość ludzka opromieniać Cię będzie tak, że samotność i opuszczenie nigdy się nie wkradną w Twe promienne życie.

Bóg więcej ma — niż dał. Więcej jest i będzie dobroci, i coraz będzie lepiej, choć człowiek musi przechodzić i ciosy.

Przyjm te słowa od tej, co zna ciosy — a umie cenić szczęście.

W Twych latach 70-ych jesteś młoda, obyś nią była zawsze. Wanda Siemaszkowa“.

\*

\*

\*

Wojtek! Kochała go nad wszystkie kochania.

Był jej wiara, nadzieją, miłością.

Przyszła wojna. Po nad Niego była jeszcze Ojczyzna. Poszedł Jej służyć. „Matka się u strzemion jego nie wieszala“... Wiedziała, że: „nikt im iść nie kazał, poszli, bo tak chcieli, bo takie dziedzictwo wziął po dziadach wnuk. Nikt nie pytał o nic, a wszyscy wiedzieli, za co idą walczyć, komu płacić dług“.

Wojciech Siemaszko, porucznik pułku szwoleżerów im. Dwernickiego, padł na polu chwały.

I tu już milkną wszystkie ludzkiej mowy słowa, choć „ktoś cicho się modli i ktoś w bielonej izbie głową bije w próg“.

\*

\*

\*

Potrzeby, jakie płyną z wymagań sceny i stworzenia rodziny, kształcenia dzieci i prowadzenia domu wytwarzają w życiu artystycznym, tę szarpaninę, która jak to mówi Jadwiga Mrozowska, „trwa od 1 stycznia do ostatniego grudnia każdego roku po to, żeby każdy rok nią zaczynać i każdy z nią kończyć, bez nadziei jakiegokolwiek poprawy“. Siemaszkowa, mimo wielkiej pracy, często ponad siły, nigdy pod względem materialnym nie zaznała spokoju. Było i jest coś nienormalnego, że

kobieta, tak wysoce utalentowana, tak bardzo wyposażona przez naturę aktorka, która przez całe życie służyła Wielkiej Sztuce Polskiej, z oddaniem jej wszystkich swych sił, aktorka, która godność swego zawodu podniosła do ideału i jako zawodowczyni i obywatelka kraju, aktorka, dobra koleżanka i zająca kobieta, chluba stanu, do którego należy, że ta właśnie aktorka niema ustalonego stanowiska. Co więcej, że dziś musi jeździć po prowincji, aby zdobyć środki egzystencji. Widziałam ją w roku ubiegłym w teatrze żydowskim, przy ulicy Karowej. Grała w żydowskiej świetnej sztuce bohaterkę: Merkę Efros. Grała wspaniale. We wszystkie tony gamy różnorodnych uczuć autor wyposażył swoją heroinę. Siemaszkowa atakowała je pewnie, jak znakomita wirtuozka. Ani jednej nuty nie sfalszowała. Nie było tam niczego, o czemby można powiedzieć: niedociągnięte lub przeciągnięte. Były sceny wprost mistrzowskie. Scena z synem, scena z wnukiem, to najwyższe szczyty gry aktorskiej. Kilkadziesiąt pełnych przedstawień. Zachwył! Dla Sary Bernard, kiedy straciła nogę, Francuzi pisali sztuki z rolami, które grała siedząc. Siemaszkowa, na szczęście, jest w pełni sił. A mimo to — a mimo to — teraz występuje — między innemi w Lucku.

Brylantów ani perel prawdziwych nie miała nigdy. Gdyby je nawet miała, toby ich niezawodnie nie trzymała w sefsie, lecz rozsypywała beztrósko tak, jak rwała i sypała na wiatr sztuczne, grając wspaniale Judytę w „Księżu Marku“ ze słowami:

„Gdyby z każdego rubinu,  
Co na czepcu moim świeci,



Była iskra, niechaj leci,  
Niechaj się za dachy chwyta...

\*

\*

\*

Wanda Siemaszkowa to jedna z tych artystek, której ani stanowisko, ani karjera, ani żadna z ubocznych płytkich przyczyn nie gnały do teatru. Szła doń jedynie z czystej, nieskalanej niczem, wiecznie trwałej Miłości dla Sztuki. Umysł żywy. Wszystko ją zajmuje. Wydelikacjonemi strunami duszy wszystko wyczuwa, co jest ważne i poważne. Każda sprawa ogólna jest jej sprawą.

Wszystkie kierunki twórczości literackiej śledzi. Wszelką poezją się entuzjazmuje.

Niedawno, oboje z Mężem, z rozkoszą słuchaliśmy jej recitalu w Truskawcu, którym ogarnęła, wspaniale dobranym repertuarem, twórczość naszą poetycką od Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida, Konopnickiej, Tetmajera, Wyspiańskiego — aż do „Dziewanny“ Zegadłowicza. Wprawdzie, sąsiad mój był niepokieszony, że na próżno w tych rymach, rytmach, szmerach i szumach, doszukiwał się starej popularnej przypowieści o tem, że „gdzie rośnie dziewanna, bez posagu panna“, nie mniej jednak oklaskiwał z zapalem artystkę, która upajała głosem i wytwornością naszej pięknej mowy.

Wanda Siemaszkowa oddała całą siebie teatrowi, jest w nim, żyćby bez tej służby dlań nie mogła. I choć, może dziś, czasem słusznie, mogłaby być bliska niepokoju o jutro dnia roboczego, to idzie pogodna, pełna entuzjazmu dla sztuki, z gorącą wiarą w „Opiekę Bożą“ i w swą własną pracę, dlatego właśnie, że zawsze umiała słyszeć:

...Wśród samotnych godzin,  
Głuchy szmer wieków, idących z kolei,  
I ciche szmery tajemnych narodzin,  
Wielkich Idei.

## JADWIGA MROZOWSKA.

Józef Kotarbiński robił z Krakowa, od czasu do czasu, wycieczkę, dla przepatrzenia młodych talentów w innych teatrach, którymi ewentualnie, możnaby zasiłnić stały personel krakowskiego zespołu.

Jadwigę Mrozowską, pierwszy raz, zobaczył, w epizodycznej rólce, na scenie lwowskiej.

Natychmiast przedstawił się jej i odrazu zaangażował do swego zespołu dramatycznego w Krakowie. Okazało się szybko, jak słusznie i nieomylnie ocenił tę, wówczas jeszcze bardzo młodziutką, artystkę.

Mrozowska, był to jeden węzeł talentów. Natura nawskroś artystyczna.

Z domu wyniosła staranne wychowanie i wykształcenie, które musiało kosztować nieco trudu wychowawców, przy objawach jej samodzielności. Bo, jak mi ktoś z bliskich znajomych jej rodzinnego gniazda opowiadał, zdarzało się nieraz, że dziewczynka, mająca lat pięć, dosiadała, pierwszego lepszego, zoczonego na folwarku — konia, a siedząc na nim na oklep, przepadała czasem na cały dzień w okolicy, przysparzając matce wiele niepokojów.

W odmiennych warunkach i formie — robi to — jak się okaże — do dziś.

Natura ślicznie ją wyposażyla. W każdym ruchu estetyczna. Zawsze wykwiitna. Wzrost niewielki, ale proporcjonalnie zbudowana. Wiotka, giętka, z twarzą o pięknym owalu, interesującą, głową zgrabną, noskiem ślicznie narysowanym, spojrzeniem szafirowych oczu — bystrem. W ustach miała nieco złośliwego zacięcia, ale w uśmiechu pokazywała białe drobne ząbki, z ostro zakończonemi kłami, jakby młodego wilczka. Ostrzegala, że ma je w zapasie, chociaż ostrości ich nie nadużywała nigdy. Sztuką była przejęta i zajęta przede wszystkim, a mniej — sobą. Rola ją chłoneła. Pracowała z zaciętością i bez zarozumienia.

Uwagi reżysera czy dyrektora na próbach ważyła i bardzo często przyjmowała z całą dobrą wolą.

Raz się zdarzyło, że od środy do soboty — przerobiła całą rolę, uznając uwagi dyrektora i dziękując mu, że jej dopomógł do znalezienia tonu, którego szukała, a czuła, że go chwycić nie może. Bo, co prawda, kiedyż to był czas na scenie krakowskiej na długie debaty, wżywianie się w rolę i jej obmyślanie. Grać się musiało często na los szczęścia, jak wiele rzeczy robić z wiarą w ów dobry los i intuicję artystyczną.

Towarzyskie zalety rozwijała niesłuchanie zręcznie.

Z profesorem historii umiała mówić o ważności przedmiotu, którego pogłębianie jest niezbędne dla życia, bo każdy powinien znać co było wczoraj, by pewnym krokiem stąpać dziś, bez lęku o jutro swego kraju.

— Mądra — mówił profesor.

Botanik był oczarowany jej uwielbieniem dla flory, której różnorodność barw i form chłoneły zdawało się,

jej żywy umysł, zaś tajemnice przyrody nęciły wyobraźnię.

— Subtelna i bogata natura — delectował się przyrodnik.

Geolog, trochę blady, zawsze chłodny, ożywał się, niemal zapalał. Zawsze sztywny, poprawiał się niespokojnie w krześle, słuchając jej zwierzeń, że: gdyby mogła rozporządzać sobą, to właśnie geologja byłaby jedyną gałęzią wiedzy, która ją prawdziwie nęci, jako poznawanie ciała i duszy świata.

— Niebywale interesująca osoba — orzekł z emfazą, suchy uczony.

A cóż mówić o malarzach, muzykach, literatach, wśród których była jak u siebie.

Działo się to wszystko na terenie zebrzań towarzyskich naszego domu, na co ja znów patrzyłam z zachwytem. Wszyscy o niej mówili. Każdy był pewien swego udziału w kręgach myślenia, tej niepospolitej kobiety-artystki.

Na scenie zajmowała, porywała talentem.

Jeśli w życiu towarzyskiem usiadła do fortepianu i akompaniując sobie sama, śpiewać zaczęła — temperament i ekspresja naszych piosenek — czarowały w jej ustach.

A kiedy raz prosiłam ją, aby dla mnie zatańczyła kankana, bo tak się jakoś złożyło, że nie bywając ani na operetkach ani w kabaretach, tańca tego nie widziałam, zgodziła się i zaimprovizowała na prędkę, tak fascynującą w tym tańcu historję, że kiedy po wybuchach zalotów, kokieterji, wśród wytańczonej z partnerem idylli miłosnej, zawiedziona, padła pośrodku dużej sali, jak kwiat burzą ścięty — koledzy, bo byliśmy tylko



w koleżeńskim kółku, dali jej brawo, a ja byłam nie-tylko zachwycona, ale i wzruszona. Była uroczą, można było szaleć za nią.

\*

\*

\*

Zapowiedź przyjazdu Modrzejewskiej, na występy gościnne do Krakowa w r. 1903, zrobiła na niej duże wrażenie. Gotowała się na to niby na wielkie święto artystyczne, którem ono istotnie było. I, kiedy niektóre żywiły mniej kulturalne wśród aktorek, zdobyć się na nic więcej nie umiały wobec wielkiej artystki nad szep-tanie po kątach o jej starości, oprócz entuzjastki Stanisławy Wysockiej, upojonej czarem artyzmu, jedy-na Mrozowska, na próbach, aby jej nikt nie przeska-dzał, zajmowała krzesło dyrygenta w orkiestrze, a zało-żywszy nogę na nogę i oparłszy brodę na piastce, istot-nie, gdyby wilczek zacząjony na swą ofiarę, pochyłona, wpatrzona, chłonęła każde słowo, każdy ruch, każdą pozę Modrzejewskiej, niemal tamując oddech — aby nie ze swych obserwacyj nie uronić. To robiła artystka, któ-rą z radością obserwowałam z boku. Zaprosiła ją też Modrzejewska do siebie, przechodząc z nią parę dekla-macyj i wydając przytem najpochlebniejszy sąd o jej niepospolitym talencie.

Czas — przeorał glebę.

Bo kiedy, obecnie, w wymienianej naszej korespon-dencji, wywiązuje się między innemi i kwestja talentu Modrzejewskiej, Mrozowska pisze mi: „Dziś już mam dość mętne wspomnienie o niej. Widocznie nie był to rodzaj artystki, któryby na mnie zrobił tak silne wrze-

nie, aby lata przetrwało. Może przyczyna w tem, że Modrzejewska była, według mnie, artystką formy, klasycyzmu, przynajmniej w ostatnich latach, z których ją pamiętam i z czego dopiero dziś zdaję sobie sprawę. Zrobiła karierę w Anglii i Ameryce, dlatego, że miała linję wielkiej damy, która snobistycznym Anglikom odpowiadała, a barbarzyńskim Amerykanom imponowała. Uroda klasyczna, postawa posagowa, piękny gest i głos, wdzięk słowiański. Oto kolumny, na których oparła się karjera Modrzejewskiej. Ale, nie było w niej tego porywu, tej pasji, który jak płomień lub wichr huczy, burzy, niszczy i tworzy. Był *wielki* artyzm, nie było instynktu: pochylały się czoła, nie rozpałały mózgi. Była wyrazem swej epoki i zajęła w niej najwyższe stanowisko. Dziś, jej kreacje, byłyby *wypoczynkiem* dla widzów, ale nie mogłoby się już ostać. Brak było w nich zawsze *sily żywiołowej*.

Może nie obejmuję potęgi jej talentu, w całej doniosłości. Widziałam ją w ostatnich latach i niepamiętam dobrze, ale uwielbiałam ją wówczas szczerze, nie uprzedmiotniając sobie zapewne, że admiracja ta wypływała z kontrastów naszych usposobień i talentów.

Może dziś wpływa na mnie czynnik dziwny: dziś ja sztuką mało się zajmuję i źle ją znoszę. Sztuka przestała mnie interesować. Życie jest dla mnie wszystkim i zastępuje ją w zupełności.

Czy to także nie sztuka. Jeszcze jaka!"

\*

\*

\*

Stosunek z nami był zawsze przyjazny i bez chmur.

„A kiedy przyszła rozstania się pora“, po ostatniem pożegnaniu na scenie Józefa przez publiczność krakowską, zastałam ją, w garderobie, płaczącą.

— Nie wiem, jak się ułoży moja dalsza droga, wiem, że ta, którą tu z państwem i drogim moim dyrektorem przebyłam, była dobra — to też płaczę, bo mija.

Potem spotkałyśmy się w Warszawie. Na scenie miała duże powodzenie, zostawiła niezatarte wspomnienie wielkiej artystki i pełnej uroku kobiety. Na koncertach zbierała burze oklasków, wywoływań — bez końca, aż musiała mówić do chciwej publiczności:

Adelciu, twoja imienniczka,

Napierała się pierniczka.

Myślisz, że jej mama dała?

Nie. A dlaczego? Bo się — napierała.

I odchodziła znów z estrady, z żalem słuchaczów, że nie już więcej od niej uzyskać nie mogą.

A kiedy przyrzekła być u nas — otrzymałam zamiast wizyty liścik — pisała w nim:

„I leży pan kotek, i będzie leżał przez cały dzień i nie będzie mógł przyjść na pogawędkę o miłych i dobrych czasach krakowskich. Bardzo przykro. Uścisk dłoni i pozdrowienia serdeczne i wyrazy poważania dla moich zacnych drogich Dyrektorstwa. J. Mrozowska“.

Wyjechała grać wielką rolę w sztuce, której na imię: Życie.

Jak się z niej wywiązała — zobaczymy.

\*

-\*

\*

Z Krakowa, gdzie występowała gościnnie, pisze do Męża mego z 3. XII. 1911 r. do Warszawy:

„Szanowny i drogi Panie! Ponieważ Panowie życzą sobie przy angażowaniu mnie, zachować formę udziałów, więc ze względu na liczne zaproszenia prywatne, jakie z waszego grodu do mnie napływają, nie będę wam pod tym względem robić utrudnień. Zatem 25% od dochodu brutto, bez żadnych redukcji, z gwarancją 40 przedstawień w ciągu 5 miesięcy.

Jeśli chcecie inną formę — to fixum 2.000 rb. miesięcznie za 11 przedstawień, jeśli zaś życzyście sobie i mnieby konwenjowało grać więcej razy miesięcznie, to, każde następne przedstawienie, po 250 rb. miesięcznie.

Na środowe przedstawienie mej Conchity przyjeżdża tu włoski impresarjo. Zdecyduje się zatem moja dalsza karjera.

Zagraniczne moje wycieczki nie odrywają mnie jednak od sceny polskiej, i czas oznaczony zawsze mam zamiar w kraju przebyć.

Jestem zapracowana przy studjach nad rolą Lady Macbeth, którą, zrywając zupełnie z szablonem teatralnym, staram się jak najwierniej zbliżyć pojęciu Szekspira. Bardzo to dla mnie interesujący artystycznie problem. Wyjeżdżam stąd do siebie (Włochy) 2-go stycznia. Dzięki za pamięć miłą o moich. Panu i żonie najmiłsze wyrazy i uścisk dłoni. J. Mrozowska“.

\*

\*

\*

Wenecja.

Mieszkamy na Lido. Ale tu, na plac Ś-go Marka dobi-



jamy codziennie po kąpielach gondolą, aby ginać potem w zaułkach, i co krok podziwiać cuda włoskiego renesansu, na które z młodzieńczym entuzjazmem zwracał moją uwagę i pouczał mnie — mój Mąż. W tem, widzimy na Rialto — wielki afisz: Edvige Mrozowska.

Oczywiście, kupujemy natychmiast bilety i, siedząc w drugim rzędzie — czekamy. Kurtyna idzie w górę. Wbiega na scenę, nasza, ta sama, Mrozowska. Ruchy swobodne, język płynie giętko, śmiała, pewna siebie. Ślicznie ubrana, urocza.

— To jakieś *złe*, myślę — bo w głowie mi się nie mieści, aby bez działania jakiejś nadprzyrodzonej siły, w tak krótkim czasie od naszego rozstania, mógł się ktoś nauczyć tak władać obcym językiem i taką osiąść swobodę na obcej scenie. A jednak to żadne *złe*, tylko ona, Mrozowska, w swej własnej skórze, na obcej scenie, grająca w obcym języku — swobodnie. Jednocześnie jednak z jej ukazaniem się — co to takiego? Czy mi się zdaje?

Raz, drugi, oglądam się poza siebie i znów jeszcze raz, i stwierdzam, że nie zdaje mi się, tylko w rzeczywistości, błady czarny Włoch, bezustannie syczy, niby wąż. Więc kręcę się, oglądam. Nic go to nie obchodzi, syczy. Może jakiś defekt fizyczny, myślę. Gdzietam! Widzę, że to najprostszy „kawał” — mówiąc językiem teatralnym. A we mnie jak w syfonie: bulgoce coś, kłębi się. Antrakt, oklaski. A kiedy cichną, wstaje: traf! syfon wybucha:

— Daruję pan, ale ośmielam się prosić pana o ciszę podczas gry artystów, jestem cudzoziemką, języka nie znam dobrze. Muszę słuchać bardzo uważnie, aby treść sztuki zrozumieć.



— To mnie nic nie obchodzi, a cudzoziemka nie powinna mi robić uwag.

— Ja jestem tu gościem, więc pan powinien mieć dla mnie jakieś względy.

— Dla tego właśnie, że jestem u siebie, mogę robić to, co chcę.

Dyskusja nasza zwraca uwagę panów, siedzących w pierwszym rzędzie we frakach, do których zresztą zwracam się, prosząc o interwencję. Przyznają mi słuszość i dość ostro, już po włosku, bo ja mówiłam po francusku, uśmierzają malkontenta, którym był, jak się oto okazuje z listu p. Mrozowskiej, dziennikarz zbyt krewki.

Tak się jakoś składało, że w Wenecji nie widzieliśmy jej. Ale później, w jakiś czas odbieramy listy.

Józefowi dziękuje za „prawdziwe i życzliwe“ sprawozdanie o jej debjucie, w „Kurjerze Warszawskim“, robiąc słodką wymówkę, że jej nie odwiedził, mnie przysyła list i pisze:

„Szanowna i kochana Pani! O jednej więcej awanturze (miała ich widocznie dużo) wiedziałam zaraz po przedstawieniu, na którym byliście Państwo w Wenecji, zauważoną bowiem była przez moich przyjaciół, którzy chcieli pani za nią rączki ucałować.

Ów młodzieniec był artystycznym eksponentem nacjonalistycznego dziennika „Italia“, i rzucał się na mnie za to, że rzymska stabile zaangażowała polską artystkę: *Ero peri un mal capitato*, bo po pani trafił na jednego z mych przyjaciół, który, mu dał trwałą nauczkę“...

Pokazuje się, że „dziennikarz, piszący o teatrze“ jest międzynarodowym typem.

List p. Mrozowskiej był odpowiedzią na mój, pisany

do niej, w którym ją nakłaniałam do pracy dla sceny polskiej, więc w dalszym ciągu mówi:

„A teraz słówko w kwestji nieporozumienia, jakie wyczuwam z listu drogiej pani.

Nie trzeba myśleć o moim losie z żalem, bo on wcale nie jest pożałowania godny.

Mnie nie gna żaden „huragan“. Ja żyję bardzo spokojnie i w świecie dobrze pani znanym, bo we Włoszech. To trochę daleko i dlatego ludzie wyobrażają sobie bardzo wiele... ale tak nie jest. Żyję normalnem życiem młodej inteligentnej kobiety. Teatr traktuję, nie jako obowiązujący zawód, ani życiową potrzebę, ale jako bardzo miłą i kochaną pracę. Mogę też powiedzieć, że jest to największa „lussa“, na jaką sobie w życiu pozwalałam.

Próba włoska na razie się nie powiodła, ale nie jest to wcale tragicznem, bo nie było tam winy mego talentu, ale tylu innych, niezależnych odemnie, powodów. Zresztą, w parę dni później, miałam już inne propozycje, z których jedną (polską) przyjąłam i w styczniu wracam na trzy miesiące do mego kochanego Krakowa.

Pani ślicznie pisze:

„Czemu, mogąc płonąć blaskiem normalnie rozwijającego się talentu, musi się pani palić?“

Ale czy pani przypomina co znaczy ten „normalny rozwój talentu“ w kraju?

To znaczy: granie kilkudziesięciu premier rocznie, wyczerpanie fizyczne i rozstrój nerwowy, dokuczliwy brak gotówki od 1-go stycznia do ostatniego grudnia, nie przebieranie w środkach, aby opłacić kostjумы lub zdobyć dobre krytyki, to znaczy 400 lub 600 koron mie-

sięcznej gaży, a w czasie wakacyj parę tygodni sanatorium Dłuskiego.

Tak to, droga pani, w życiu realnem przedstawia się: „palenie ogni w greckiej amfory czarze”. Piękne słowa, ale do tego życia, ja, już nie wrócę. Ja go nie zapomnę nigdy, i właśnie dlatego już doń nie wrócę.

Można przenieść takie warunki, zdobywając sobie stanowisko, ale, raz je zdobywszy, trzeba zmienić życie, jeśli się chce zachować młodość, dobre trawienie, chęć do pracy i entuzjazm dla sztuki.

Ślę drogiej pani pozdrowienia z Neapolu, gdzie asystowałam uroczystościom patriotycznym. Za parę dni wyjeżdżam na Sycylię, której nie znam, a która obiecuje mi wiele wrażeń artystycznych. W końcu miesiąca wracam do Medjolanu, gdzie będę przygotowywać moje występy krakowskie i gdzie, może pozwoli okoliczności, że się zobaczymy. Tymczasem ślę serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni“.

W liście Mrozowskiej jest niejako odpowiedź na pytanie, którego nie zadałam jej wówczas bezpośrednio, ale które postawiłam obecnie, pisząc o aktorce, o tem czego się od niej, wymaga, co ona daje z siebie dla drugih, a co za to aktorka ma dla siebie.

Śmiało postawionej przez Mrozowską kwestji nie można nic zarzucić i trzeźwości patrzenia można tylko zazdrościć. Dodaję jednak, że czasem udaje się utrzymać i młodość i dobre trawienie, i chęć do pracy, i entuzjazm dla życia — bez dużych pieniędzy. Zdarza się i to czasem.

\*

\*

\*

Potem, ze zmianą warunków życia Mrozowskiej, która wychodzi za p. Józefa Toeplitza, jest racjonalna przerwa w naszej zażyłości. Jeszcze odpisuje mi na ankietę, którą rozpisałam, będąc redaktorką pisma kobiecego „Nasz Dom“, a na którą odpowiada z brawurą: „Czy mając córkę, chciałabym ją widzieć na deskach teatralnych“ — zapytuje pani.

Ależ najchętniej!!!!

Pod dwoma jednak warunkami:

Musiałaby mieć talent swej matki i 24.000 rubli własnej renty“.

\*

\*

\*

Potem już, jako pani Toeplitzowa jest w Warszawie i jest u nas, podczas wojny. Rewizytuję ją, a korzystając z gorącego przyjęcia, proszę, czyby nie była tak dobrą i nie zechciała pójść ze mną do stowarzyszenia Rękodzielniczek Chrześcijańskich „Dzwignia“, gdzie prowadzimy gospodę „Białego Krzyża“ i w każdą niedzielę organizujemy zabawę dla naszych drogich żołnierzyków. Z prostotą i hojnością, cechującą nieomal wszystkich wielkich artystów, zgadza się jechać natychmiast.

W dużej sali jest tłoczno. Wchodzę na krzesło, melduję zebrany, jakiego tu gościa mamy dziś między sobą. Gość mnie zaraz luzuje z miejsca, bez proszenia, ni ceremonji — i już na sali pełno metalicznego głosu artystki i pełno uciechy ze ślicznych poezyj, które dostosowane doskonale treścią do słuchaczy, wzbudzają entuzjazm. *Żołnierze polscy* ją oklaskują!

Pierwszy raz ich spotyka.



Jest błada i wzruszona. Łzy zaszkliły się w pięknych, pełnych iskier oczach. Ale już gra muzyka. Sfruwa z krzesła i zawzięcie tańczy z żołnierzami polskimi. Z jednym, z drugim. Znów urocza, znów pełna fantazji i animuszu.

Artyska, zawsze i wszędzie.

\*

\*

\*

A potem mój Mąż pisze swoją książkę „W służbie sztuki i poezji“, (nakład księgarni F. Hoesicka, 1929) i prosi ją o fotografie. Odpowiada:

„Wielce Szanowny Panie i zawsze drogi Dyrektorze! Dziękuję najuprzejmiej za list i rada będę bardzo odżyć we wspomnieniach Sz. Pana, jako artystka sceny krakowskiej, w jej wspaniałym rozwoju. Przesyłam moje fotografie, niestety, nie mam fotografii w moich dawnych rolach, poza jedynym egzemplarzem, wklejonym do albumu „dawnej chwały“, i z temi nie mogę się rozstać.

Może jeszcze gdzie znajdzie się jaki egzemplarz, to go poślę; narazie załączam dwie ostatnie podobizny, zrobione w tym roku, po powrocie z mej ostatniej tybetańskiej ekspedycji.

I ja pracuję nad wykończeniem pierwszego tomu mej książki o Azji Centralnej, która nie wiem jeszcze, kiedy wyjdzie w druku, gdyż pracuję bardzo uczciwie i w skupieniu ducha.

Od uznania, z jakim spotka się moja praca, zależy moja nominacja na prof. ordinario delle scienze orientali, na uniwersytecie rzymskim. Piękneby to było ukończenie studjów całego mego życia.



Cieszę się niezmiernie z przyszedłego pana jubileuszu i z wiadomości, o tak długim, a zawsze pogodnem państwa pożyciu.

Dołączam i moje życzenia do akordu ogólnego uznania i afektów, które oboje państwo umieli zawsze obudzić u ludzi, którzy was otaczali“.

A w dopisku dodaje: „Znalazłam fotografie „Harfiarki“ z „Wyzwolenia“ Wyspiańskiego i „Psyche“ ze sztuki Żóławskiego, razem z „Orcia“ podobizną z „Nieboskiej“ Krasińskiego i „Kopciuszka“ Walewskiego. Poślę zaraz panu, łącząc pozdrowienia, życzenia i uściski dla obojga państwa -- zawsze oddana, Jadwiga Toeplitz-Mrozowska“.

Książki swojej już Mąż mój jej nie posłał, bo przerwała mu pisanie podróży w zaświaty.

Od p. Toeplitz-Mrozowskiej otrzymuję list: „Moja droga Pani i Przyjaciółko! Boleśnie dotknęła mnie wiadomość o tak nagłej śmierci mego ukochanego Dyrektora i przyjaciela. Z głębi serca płynące przesyłam pani wyrazy współczucia i żalu. „Serce nie pęka“ w takich chwilach rozłąki, bo serce wie, że odnajdzie swoich ukochanych i podświadomie trzyma nas przy życiu, aż nasza godzina wybije. Chciałabym panią serdecznie utulić w tem ciężkiem poczuciu pustki, jaka się koło nas robi, gdy bliscy odchodzą, ale ponieważ przestrzeń nas dzieli, posyłam pani najtkliwsze uściski i ucałowania, łącząc się myślą z drogą panią, oddana, Jadwiga Mrozowska“.

\*

\*

\*

A role Mrozowskiej?

Zastrzegam się, że nie mogę wogóle o tem wydawać sądu, co kto i jak gra. Nieraz wiem dobrze, kiedy coś przeciągnięte, albo niedociągnięte na scenie. Wiem nawet czasem, co powinno być, a czego nie ma, boć na to 45 lat patrzę i to patrzę z zamiłowaniem. Wiem także, że o rolach aktorskich nie pisze się prawie nic, w stosunku do tego, co aktorzy w nie kładą. Bo kładą cały swój wysiłek, wszystkie dorobki pracy, całe swe istnienie. I wiem, że są kreacje niezapomniane dla tych, którzy się nimi zachwycali, i że byłaby cała litanja, godna subtelnej analizy i utrwalenia tego, co ginie, przepada bez utrwalonego śladu. „Orcio“ w „Nieboskiej Komedji“ Zygmunta Krasińskiego, to jedna z takich postaci, która dzięki artyzmowi Mrozowskiej, w każdej chwili przypomnienia — ożywa. Strój, ruch, głos, dykcja i te biedne oczy nieruchome. Te oczy dziecka, które otaczało wszelkie bogate i szerokie i artystyczne na świat patrzenie jego środowiska — te oczy nie znają słońca, kwiatu, świata. A przecież takie piękne. Dziś je widzę. Żywe a ślepe. To tylko jedna postać, a były ich setki i każda przynosiła chlubę znakomitej Artystce. Uroczą w „Sąsiadce“ Rittnera. Świetną w „Eros i Psyche“ Żóławskiego. Niezapomniana „Harfiarka“ w „Wyzwoleniu“ St. Wyspiańskiego. Zawsze jak pisze krytyka: „Zadziwiającym obdarzona talentem, opanowuje role rozbieżne i tworzy całe galerje postaci żywych, doskonałe obmyślanych“.

\*

\*

\*

Kiedyś, na parę dni przyjechała p. Toeplitz-Mrozowska do Warszawy.

Byliśmy oboje z Mężem na wieczorze specjalnie dla niej zorganizowanym przez p. Ryszarda Ordyńskiego, miłośnika sztuki i... artystów. Zebranie zaczynało się o 12-ej w nocy, miłe, ożywione i zajmujące, trwało do rana. Gospodarz domu, w mieszkaniu, małowniczo urządzonem, zdobnem starymi meblami i mnóstwem artystycznych drobiazgów, na terenie przybudówki w dachu starego domu Kanonji, podejmował: paru krewnych pani Toeplitz-Mrozowskiej, poza tem całe liczne grono muzyków, malarzy, artystów dramatu, opery, baletu, paru mecenasów sztuki, któregoś księcia, żonę jednego z ministrów, słowem, co kto chciał, ale, oczywiście, wszystkie zainteresowania skupiały się koło osoby pięknej Artystki.

Na twarzy jej, o świeżej cerze, nie było cienia sztuki. Bujne zawsze włosy, rozdzielone nad czołem, gładko zaczesane i ujęte w jeden węzeł, znaczyły się srebrnymi pasmami od skroni. Piękne oczy jeszcze miały więcej, niż zwykle powagi. A mimo stroju i blasku pereł, zdawało mi się, że wyraz twarzy nie promieniował radością. Pewno mi się zdawało. A może to tylko rysowało na twarzy swe znaki jej poważne pracowite życie, bo już wtedy daleką była od sceny i pewnych zewnętrznych cech, jakie nieraz daje — teatr. Usiadła do fortepianu, wzięła kilka akordów i nuciła egzotyczne melodje, zasłyszane gdzieś w podróży na Wschód. A potem, śpiewała cudowną włoską piosenkę ludową, której każdą zwrotkę kończył z różnym akcentem wyraz „mama“, aż do bólu i prawie łez, skarżące się przed matką — dziewczyny.

Tańczyła z Marjuszem Maszyńskim oberka, z tą werwą i wyczuciem rytmu, jaki był winien tańcowi, a jej zawsze we wszystkim wrodzony. Znów czarowała i wszystkich sobą zajmowała. Nazajutrz wyjechała, za-  
nim mogłam z nią dłużej pomówić.

A kiedy piszę notatkę, słabo odzwierciadlającą ten przybytek artyzmu, przyszło mi na myśl, skierować do niej kilka słów prośby o powiedziane mi: czy robi i co robi obecnie.

Niedługo na odpowiedź czekałam. Otrzymuję ją z Rzymu, dn. 29. X. 1930 i skwapliwie przytaczam in extenso.

„Moja droga Pani! Otrzymałam list Pani w Rzymie, gdzie bawię od miesiąca.

Książki Pani „Wkoło Teatru“ i Męża pani „W służbie sztuki i poezji“ jeszcze nie doszły rąk moich.

Dziękuję pani serdecznie za pamięć o mnie i za przesłanie mi cennego daru, który z pewnością przeniesie moją myśl w ubiegłe czasy, pełne walk moich młodych sił, tak szczerze i nieopatrnie wydawanych.

Żąda droga pani ode mnie listu szczerego. Nie sprawia mi to żadnej trudności, gdyż, na szczęście, życie moje może być wszystkim wiadome, a sposób mojego pisania „sincero sino al cantore“, jak mówi Filippo de Fillipi w przedmowie do mej książki, zyskał łaskawe krytyki włoskich i zagranicznych pisarzy, dzięki tej właśnie zalecie.

Ale o sobie trudno jest pisać... Przed paroma dniami skończyłam 50 lat, jestem siwa, pomarszczona, ważę 57 kilo, mam silnie wyrobione muskuły, dużą siłę w barkach i w rękach, wzrok osłabiony i doskonałą figurę. Sportu dla sportu nie uprawiam, ale jestem zdolna sie-



dzieć na koniu 11 godzin dziennie, robiąc do 65 km., na wysokości 4,000 mt., czuję się jak u siebie w domu. Chłody i wichry Azji centralnej, upały podzwrotnikowe, głód i pragnienie, znosiłam do zeszłego roku z wielką łatwością. Jestem niezależna od pokojówek, lokai, kucharzy i praczek. Wycofałam się z życia towarzyskiego zupełnie, doszedłszy do przekonania, że nie można pracować umysłowo i bawić się w panią wielkiego domu, oraz damę z towarzystwa. Życie towarzyskie zabija możliwość myślenia i pochłania czas. Wiele walk stoczyłam z mym osobistym największym wrogiem: ambicją i miłością własną. Obecnie, leży on plackiem, przydeptany moim trzewikiem bez obcasów i miejmy nadzieję nie powstanie więcej, aby mi życie zatruwać.

Jestem szczęśliwa i spokojna, mając, dzięki dobroci serca mego męża, zabezpieczony byt i możliwość pracy. Jest to egoizm. Być może. Ale czyż wszyscy nie dążymy, najróżniejszymi drogami, raniąc często naszych bliźnich, do szczęścia i spokoju?

Pracuję dużo. Pierwszą moją książkę „*Visioni Orientali*“ posyłam pani. Wiem, że Boy i inni nawołują polskich wydawców do przetłumaczenia jej na język polski, ale polscy wydawcy życzą sobie, żebym ją wydała na mój koszt. Nie zrobię tego. Książka musi sama sobie utorować drogę. Wydawca włoski Mondadori, zrobił na niej, jak sam twierdzi, dobry interes. Nie mam racji przypuszczać, aby takiego samego interesu nie zrobił wydawca polski. Środki Józefa Toeplitza nie służyły i służyć nie będą na wydawanie prac literacko-naukowych Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej.

Obecnie „*la Reale societa-Geografica*“ włoska, wydaje moją geograficzną relację o Pamirach.



Wykańczam tom o charakterze socjalnym, p. t. „Sine Ira...“, który wyjdzie z początkiem przyszłego roku, oraz piszę dwa drugie tomy o Turkiestanie i Tybecie. Pani, która sama pisze, rozumie, ile taki dorobek literacki, w obcym bądź co bądź języku, kosztuje pracy i czasu.

Od 12 lat podróżuję, od dwu lat piszę po włosku. Co mi przyszłość przyniesie, nie wiem, nie obchodzi mnie to, prowadzą mnie siły, które działają naokoło mnie, ograniczam się do nieprzeciwstawiania im własnej energii. Pragnę za wszystką cenę pracować, może jeszcze raz udam się w głąb Azji; wolę pogłębić moje wiadomości o jednym kontynencie, jak rozjeżdżać po wszystkich i nic o żadnych nie wiedzieć.

Moja osławiona „siła woli“ jest legendą, ale przyznaję sobie dużą siłę imaginacji. Mój świat uczuciowy jest wypoczęty i świeży, jak niestratowana i odrastająca ląka.

Oto droga pani, co umiem napisać o sobie. Za długoby było opowiadać, jakimi drogami doszłam od desek sceny krakowskiej — do wyżyn Tybetańskich, salonów dworskich i mej rzymskiej pustelni. Ale były to drogi proste i jasne jak ten list.

Ktoś mnie wiódł i wiedzie za rękę; ja tylko idę za tym ktosiem, pewna, że na tamtym brzegu powitam go wdzięczna i radosna.

Nigdy nie przestałam być aktorką, bo cały ten świat to jedna scena, całe życie nasze to jedna sztuka, którą obserwujemy z tamtego brzegu pobłażliwym wzrokiem.

Winszuję pani tak pięknego wieku: 70 lat! I przytem świeżość umysłu, talent literacki i pismo zdrowe, porządne. I ręka pewna. (Wstydzę się mojego). Brawo!

jednak kobiety słowiańskie etc. Moc pochwał dla pani w myśli formułuję.

Kończę, ściskam panią najserdeczniej i nie wiem czy te bazgroty mogą się pani na coś przydać. Wątpię... Jadwiga Toeplitz-Mrozowska.

Przydały się i bardzo. Bo są obrazem tego, jak rozgrywa życie, wielka artystka, niepospolita kobieta, umiejająca je ująć silną, choć drobną dłonią. Jak potrafi nie rozproszyc, nie zmarnować nic z darów, jakie jej dała natura. Nie rozmieniać na drobne wielkich sum talentów i zdolności, które „niepotrzebnie trwonila“, w zaraniu swej pracy, ale które potrafiła, opanować, zgromadzić i kierować niemi w pełni rozkwitu życiowego — po mistrzowsku.

Jest młoda, silna, kocha coś więcej ponad siebie, niechże cele do których dąży, dadzą jej pełnię zadowoleń.

\*

\*

\*

W tej chwili odbieram wspaniałe wydanie: Edvige Toeplitz-Mrozowska. „*Visioni orientali*“ prefazione del Dott. Filippo di Filippi con 80 Illustrazioni Fuori Festo. A. Mondadori — Editore — 1930.

A na pierwszej karcie, nad wyraz miłe mi słowa „Drogiej Pani L. K. w dowód przyjaźni i wiernej pamięci J. T. M.“ Rzym 12. XI. 1930.

Zaznaczyć muszę, że tę „przyjaźń“ i tę „wierną pamięć“, zyskałam, nie gdzieindziej, tylko przy wspólnej pracy, na scenie, za kulisami. A właśnie poto, żeby takie momenty uwypuklać — piszę tę *książkę*.

Nie znam języka włoskiego. Nie mogę zabrać się zaraz

do czytania, choć może jeszcze zdążę się nauczyć pięknej mowy Petrarki, to jednak co widzę jest imponujące. Wydanie zdobne 80-ciu ilustracjami, na 360 stronach, tętnących egzotykiem i czarami przyrody Wschodu. Gigantyczne platany, tafle jezior, otoczonych pasmami gór. Wśród gąszczy przebogatej roślinności wiją się rzeki, snują kanały. Palmy cyprisy, pola drzew kwiatem osypanych, meczety, pomniki Buddy na Ceylonie, Wielki Lama, wszystko to czarem tajemnicy owiane, otoczone kultem wiary, zawsze pełne uroku i pociągające.

Dokument pracy, bystrego śledzenia ducha Wschodu, a oderwania się od tego wszystkiego, co tak snadnie mogło opanować była artystkę teatru, borykającą się niedawno z kłopotami finansowymi od miesiąca do miesiąca, a dziś, żonę, potężnego na swem stanowisku, bankiera w Medjolanie, Józefa Toeplitza, którego „dobroć serca“ jak to sama stwierdza, ułatwia jej drogę, w dążeniu do wyższych celów, pięknie realizujących jej szlachetne upodobania.

\*

\*

\*

Tymczasem, książki wysłane przez nas doszły do rąk pani Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej.

Czy przytoczyć treść listu od niej otrzymanego? Będzie to niebywała autoreklama. Jednak będzie ona mówiła także o niej samej... A potem: książkę moją „Wokoło Teatru“ wydała firma Hoesicka, więc może ta reklama przyda się firmie... tak usprawiedliwiam przed samą sobą to, co zrobię, bo jednak zrobię, choć o niewinności czynu wcale nie jestem przekonana.

Otóż list ten z dn. 11. XII. 1951 r. przynosi mi co następuje:

„Niech pani Bóg da zdrowie lat 100, za tę cudną, szczerą książkę. Tak żywo odczuję, tak intensywnie przeżyję, tak subtelna i sprawiedliwą względem pracy innych, tak pełną wiary w przyszłość, tak rozumiejącą serca, dusze i talenty innych, a wreszcie tak pełną dowcipu, nieskończenie wzruszającą w stosunku do jej męża, no i tak pięknie napisaną.

Wydziwić się nie mogę. W dwa dni ją przeczytałam. I, choć czuję, że nigdy nic podobnie prostego i serdecznego nie napiszę, radość moja, że ktoś to zrobił towarzyszy mi ciągle. I to Pani, Pani, w Jej wieku“.

Tu już tyle następuje: o słowiańskim uroku, któremu lata poradzić nie mogą, o duszy, sercu i tak dalej — bez miary, że nareszcie opamiętałam się i tych ustępów bardzo pięknie skreślonych, nie przytaczam.

Nie mogę jeszcze jednak pominąć zwierzenia miłego dla nas obojga, ale już osobistego p. Jadwigi: „Przeczytawszy książkę zastanowiłam się nad przeszłością, nad temi latami, przeżytemi razem i dopiero zrozumiałam, ilem się od was obojga nauczyła. W jak wysokim stopniu Wasz przykład i Wasze życie na mnie wpłynęło. Toć pewno i gości przyjmować nauczyłam się od Pani...

Wdzięczna, wdzięczna zawsze zostanę. Niech Pani pisze drugą“... i t. d.

Więc, zrobiłam to, co radziła — pycha. Żadne usprawiedliwienie nie pomoże. Stało się. Wykreślić nie mam siły. Prosić tylko trzeba Pana Boga, z wiarą w jego hojność przebaczenia, żeby nie ukarał i żeby po przeczytaniu tej książki, którą kończę — nie napisał mi ktoś, że nic nie warta. Co odwróć Boże!



\*

\*

\*

Leży przede mną znów nowa książka.

Edvige Toeplitz-Mrozowska. *La Prima Spedizione Italiana a traverso i Pamiri* (1919) Roma, presso la R. Società Geografica Italiana 1930, Jadwiga Toeplitz-Mrozowska. (Pierwsza włoska wyprawa przez Pamiry. Rzym. Wydawnictwo R. Włoskiego Towarzystwa geograficznego) książka, przysłana mi przez Autorkę: „in omaggio“.

I tutaj, choć języka nie znam, mnogie ilustracje i mapy, z wykreśloną na nich drogą podróżniczką, śledząc z najwyższym zajęciem. W kilka też miesięcy potem, p. Jadwiga Mrozowska stanęła w Warszawie na Katedrze. „Warszawa! mówiła witając nas — ta Warszawa, która kiedyś, małą, drobną, biedną aktorkę przyjmowała serdecznym oklaskiem w teatrze Rozmaitości, zostaje w mej pamięci na zawsze“. I oto, przy szczelnie zapelnionej sali z galerją, w Towarzystwie Krajoznawczem, wśród tych, którzy pamiętali czar i urok jej wielkiego talentu, płynący ze sceny, kreśliła pani Toeplitz-Mrozowska zajmujący przebieg swej wyprawy, po pełnej melancholji, kamienistych ścieżkach, wijących się wśród roztoczy wód, pasmach gór i stromych przełęczach, odslaniających puste doliny, tak ciche, że najczulsze ucho tchnienia ziemi nie usłyszy, najbystrzejsze oko sokole nie dostrzeże żadnego znaku życia. Po ziemi, która jakby wstrzymała oddech — tak wszystko dookoła martwe, oprócz tej wiecznie żywej, wiecznie rwącej naprzód i wzwyż — myśli, z tym nieprzepartym wewnętrznym nakazem jej twórczej siły, jaką nosi w sobie, stworzony na obraz i podobieństwo — Boże — człowiek.



Co gna, gdzie i kiedy zrodziła się do tej gonitwy, wiodącej po zmarłych dolinach Pamirów, myśl pani Toeplitz-Mrozowskiej, jakimi kolejami chodziła — razem z dolą życia — rozważam.

Pisała ona kiedyś: „Przed mojemu podróży do Azji, przemierzyłam całą Europę i północną Afrykę, ale te podróże nic mi nie dały, ani nie zajęły mojego umysłu“, tego umysłu, którego nie olśniewa luksus codziennego życia, umysłu tej kobiety, która porzuca piękny dom, w nim świat, gromadzący niejednego dostojnika myśli, — potentata finansów, co mogłoby niejednej schlebiać, a nawet ją chłonać. Nie! Ona jedzie na kirgiskiej szkapie, z wiernym towarzyszem psem Baraak'em, szukać dróg „po przestrzeniach bez końca“ i odkrywać nowe przejścia do nietkniętej stopą ludzką krainy, którą zdobywa dla Włoch, dając jej imię: Valle d'Italia (dolina Włoska).

Czyż to nie ta sama dziewczynka, która dopadając nieujężdżonego konia. na oklep, pędziła na przelaj, gdzie oko poniesie i ginęła dniami, z pod oka matki.

Ale nie zginęła.

Jest jedyną kobietą we Włoszech, którą zrobioną: *Consigliere della Società sciens „pro alta cultura“*, (Radcą Towarzystwa naukowego „starej kultury“) i jedyną, która mówiła: w „*Aula Magna delle Università di Roma e di Milano*, (w wielkiej auli uniwersytetów rzymskiego i medjolańskiego).

Kobietą, która w roku 1919, rozpoczęła swe wyprawy podróży do Indyj południowych i Cejlonu, gdzie przebywała dłużej, studiując doktrynę Buddy.

W roku 1921, zrobiła podróż do Indyj Centralnych

i północnych, gdzie, przez sześć miesięcy, przebywała w dżungli.

W roku 1923, celem jej podróży jest Azja mniejsza, Mezopotamja i Persja, a studjów — religja Druzów, czcicieli ognia i Syjonizmu.

W roku 1925, jedzie do Indyj i Birmanji. Znów przez kilka miesięcy przebywa w Dżungli birmańskiej, płynąc po rzece Irravadi de Bramo. Ma zamiar przejść przez puszcę do Chin — czego tym razem nie dokonała, ale czego napewno dokona, jeśli raz to w myśli zaświtało. Oddaje się tymczasem dalszym studjom nad Buddyzmem.

W roku 1927 odbywa podróż do Kaszmiru, robi pierwszą ekspedycję do Ladaka (Tybet zachodni) powraca do Kaszmiru, skąd robi drugą ekspedycję do Tybetu Wielkiego, przez Sikknim, studjując jednocześnie la-maizm.

W roku 1928 w „Kole Filologicznem“ w Medjolanie ma odczyty p. t. Światła i cienie Buddyzmu“ i „O starej kulturze“. A konferencje jej na temat: „Początku i ukształtowania się gór w stosunku do wyłonienia się człowieka i ewolucji ludzkości“ zwraca uwagę świata naukowego, odbijając się w nim — poważnem echem.

W roku 1929 przez Rosję, Turkiestan, Samarkandę, Bucharę — dociera na Pamiry. Wraca do Włoch, przywożąc przybranej swej ojczyźnie w darze odkryty przez siebie, szmat ziemi. A towarzystwo Geograficzne Włoskie, przełęcz, którą przechodziła do swej zdobyczy — nazywa: „przełęczą Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej“.

Wszystkie odczyty pani Toeplitz-Mrozowskiej, jakie miewała we Włoszech, Francji, Belgji, na Węgrzech, od-



*Tekla Trapszo - Krywultowa*



*Irena Trapszo*



*Józef Śliwicki*



*Michał Tarasiewicz*

bywały się w gościnie dla niej otwartych Aulach Uniwersyteckich. A liczne order, są doraźną oznaką jej zasług. Mówić o tem nie lubi. „Co to kogo może obchodzić“.

Powyższe szczegóły czerpię z objaśnień dołączonych do wydania jej książki, przez Włoskie Tow. Geograficzne, które jednocześnie zawiadamia, że książka p. t. „*Vizioni Orientali*“ wyszła w drugim wydaniu luksusowym, Mondadori. Co jednak niezawodnie musi sprawiać radość jej Autorce.

\*

\*

\*

Dorobek duży. A mimo to pisze mi niedawno. p. Toeplitz-Mrozowska: — „Skromne są moje dobytki naukowe, bo, niestety, w późnych latach mego życia zabrałam się do roboty. Ale pracuję. Praca moja o Rosji jest w druku. A piszę powieść o charakterze geograficznym pod tytułem: „*Viaggio Romantico*“ (Podróż romantyczną).

\*

\*

\*

Nasz potworny los — rozbiorów i niewoli, wytwarzał też i nienormalny bieg naszych spraw wewnętrznych. Ludzie nasi rozchodzili się światami — i wielu z nich zgubiliśmy — niedopatrzaniem czy też niedocenieniem ich wartości. Zgubiliśmy Conrada, zgubiliśmy Waliszewskiego, Krzyżanowskiego (*La Croix*) i pewno setki tęgie, niepospolite, pełne talentu i wiedzy



jednostek. Szkodaby była wielka, żebyśmy jeszcze i teraz kogoś gubić mieli. Prace pani Mrozowskiej powinny być tłumaczone i wejść do *naszych* księgozbiorów. Choć tem ją u nas przytrzymać i polskiego jej pochodzenia nie zatracać.

Pani Jadwiga Toeplitz-Mrozowska napelnia dumą moje narodowe serce. Jest niepospolitą kobietą. Praca jej godna szacunku.

A, choć obywatelka włoska — jest Polką. Wśród cudzoziemców, o ile to wiedzą, dobrze nas melduje, ta, była, *Wielka Artystka Scen Polskich*.

A, biorąc od męża — jak mówi — środki materialne, ułatwiające jej te piękne poczynania, może mieć to zupełnie słuszne poczucie, że nie wnosząc mężowi posagu, wniosła mu do domu wartości większe aniżeli miliony, bo, poza osobistą urodą i talentem, którym tchnie wszystko czego dotyka, wniosła jeszcze i poważną pracę, oddaną na usługi nauki.

## STANISŁAWA WYSOCKA. MARJA PRZYBYŁKO.

Zespół Artystów mieliśmy niezwykle świetny. Ulegał on zmianom, o ile kogoś lepsze warunki pociągały na sceny lwowską lub warszawską, nigdy jednak nie czuło się zupełnego sieroctwa, bo młode siły wyrabiały się, grając dużo, a dobry kierunek i odpowiednie obsady ról nie marnowały żadnego talentu.

*Stanisława Wysocka* (Stanisławska) była w teatrze krakowskim tą siłą, którą, istotnie, trudno byłoby zastąpić, gdyby jej zbrakło. Wysoce utalentowana, z młodzięczym zapalem, nie stygnącym zresztą do dziś w pełnej sił kobiecie, z oddaniem całej swej istoty scenie, była prawdziwą współpracowniczką Męża mego, wyczuwając Jego wyższe repertuarowe dążenia i z zapalem stając zawsze do ich wykonania. Świetna Balladyna, niezrównana Roza Wenéda, pozwalały jednak Artysce nie uchylać się od ról charakterystycznych, których całe szeregi świadczyły o wielkiem jej wyczuciu duszy człowieka, zyskiwały poklask publiczności i krytyki. Ją zaś czyniły równym, co wypływało z jej wrodzonej dobroci, i prawdziwie pewnym towarzyszem pracy, bez kaprysów i często urojonych pretensyj. Toteż zawsze wiązały nas i wiążą życzliwe stosun-

ki, a w listach, którymi mnie obdarza, nie żaluje nigdy słów miłych.

Po skończonej sześcioletniej dyrektorskiej pracy mego Męża w Krakowie, na wyjeźdźnym — pisze co następuje:

„Kochana droga Pani, od czterech tygodni siedzę w Zakopanem, nie wiedząc nic o Bożym świecie. Dziś dopiero odwiedził mnie pocziwy Pan Gustaw, (Traczewski, wspólny nasz przyjaciel) i od niego dowiedziałam się dopiero, co pani obecnie przechodzi. Szczerze się zmartwiłam. Jacy są niedobrzy ludzie na świecie, jak zniechęcają człowieka. Tem więcej musi to panią boleć, że pani zawsze miała dużo co do ludzi złudzeń. Proszę nie upadać na duchu, są na świecie i tacy, w których macie serdecznych przyjaciół. Ja zaś wierzę w to, że państwu daleko lepiej będzie, gdy odsuniecie się od intryg i ciągłej szarpaniny.

Przez sześć lat stał Dyrektor na posterunku swoim z całą uczciwością i zapalem dla Sztuki, nikt nie ma prawa zarzucić mu nic, a jestem przekonana, że go jeszcze będą wspominać z żalem i uznaniem.

Jeżeli macie niezyczliwych, to może pani sobie powiedzieć śmiało, że dlatego tylko, ponieważ ogół nie znosi osobników niepowszednich, wybijających się. Niech Pani jedzie trochę w świat, otrząsnąć się z chwilowego niesmaku i przygnębienia, a potem z nową energią zacząć nowe życie.

Jak ja szanuję w Pani to, na co niewiele kobiet zdobyćby się umiało, wzięcie całej walki na swoje ramiona, aby od niej ustrzedz męża.

Proszę przyjąć ode mnie wyrazy gorącego uznania

i zapewnienia o zawsze niezmienną serdeczną życzliwość St. Wysocka.

Tak też uczyniłam. Pojechałam w świat na spotkanie z Mężem. Wiary w ludzi nie straciłam, pogody ducha nie zagubiłam i wróciłam do życia z energją, a do pracy z jej umiłowaniem. Nic nie zawiodło.

\*  
\*                      \*

Podczas kierownictwa Józefa Kotarbińskiego repertuarem na scenie warszawskiej, Pani Wysocka zaproszona była na gościnne występy, potem życia koleje nas rozdzieliły. Wyjechała z Mężem do Kijowa. O pracy jej dochodziły nas wieści, świadczące o niestępnym jej zapale dla sztuki, a w ostatniej korespondencji, z moim Mężem pisze: „Nie zgodzę się nigdy z tem zdaniem o mnie, jakoby była przepojona doktrynami ze Wschodu. To, co mogło się zdawać, że stamtąd przyswoiła, było tylko owocem własnej pracy i długich rozmyślań o sztuce. Dlatego tylko założyłam własny teatr w Kijowie. Już w r. 20-ym pisałam artykuł p. t. „Tylko aktor“, który wywołał polemikę, czyli wierzyłam już wówczas w odrodzenie teatrów jedynie przez twórczego aktora, a nie przez rozmaite doktrynerskie nowatorstwa“.

Miała, śmiem twierdzić, najpełniejszą rację i sądę, że, w obecnej chwili, z korzyścią dla sceny spożytkuje swe nabyte doświadczenie, czego Jej szczerze życzyć należy.

Śliczny jako wydawnictwo, a wysoce cenny w swej zawartości dar, złożył p. Stefan Papée w dniu 16 maja

1931 r. Artystce, na uroczystym obchodzie jej 35-letniej pracy dla sceny, kreśląc monografię Stanisławy Wysockiej:

„Tęsknota za bajką, pisze Autor, za przeistaczaniem się w coraz to nowe bohaterki, pragnienie, aby stać się podobną do „bajkowej pani“ Modrzejewskiej, zagnały marzycielkę w r. 1895 do teatru. Miała wtedy Stanisława Wilska (tak brzmiało panińskie nazwisko) szesnaste lat, świadectwo szóstej klasy gimnazjalnej w kieszeni, w głowie tysiąc bajek, opowiedzianych przez matkę w Warszawie i drugih tysiąc wysnutych z książek, chęć wcielania ich w życie sceny i urzeczywistnienie marzeń — wstąpieniem do teatru.

„Józef Kotarbiński, entuzjasta poezji romantycznej, pisze dalej p. Papée, świetny deklamator, nie tylko aktor, ale i literat, po objęciu Teatru krakowskiego wprowadzeniem wielkiego repertuaru przyczynia się do spełnienia najgorętszych pragnień Wysockiej. Arcydzieła literatury naszej i nienaszej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, Shakespeare, Schiller, Göthe, otwierają jej wejście w szczytne kręgi natchnionej myśli. W ciągu paru sezonów Wysocka obejmuje repertuar Siemaszkowej i należy już do czołowych sił krakowskiej sceny.

Do najważniejszych tryumfów jej mocnego talentu zaliczyć należy z tego okresu kolejno: żonę z „Nieboskiej Komedji“ Krasińskiego, Mużę z „Wyzwolenia“ Wyspiańskiego, żonę obłąkaną z „Bolesława Śmiałego“ Wyspiańskiego, tytułową rolę w „Matce“ Przybyszewskiego, Balladyne, w tragedji Słowackiego, Judytę, w „Księdzu Marku“, Djanę, w „Fantazym“, Rosę Wenedę, w tragedji Słowackiego, i Amelję w „Mazepie“.



Lady Makbet Shakespeare'a, Salome w „Uczcie Herodjady“ Kasprowicza, Helwę, w dramacie Świętochowskiego“.

W Krakowie też spełniło się jej marzenie grania, w Giocondzie, d'Anunzia, razem z Modrzejewską.

Tu, nasuwa mi się jeden szczegół: Siedzimy obie z p. Wysocką, na ławeczce w kulisie i śledzimy cudną grę Modrzejewskiej w scenie z córeczką, która dopomina się pieśczoły ślicznych rąk matki. Rąk tych niema. Zgruchotane przez rywalkę. Modrzejewska wstaje z klęczek, zostawia dziecko, łkając, idzie w kulisę, w której siedzimy i lzy ronimy obie. Mówi do nas jeszcze na pół rozplakana: „A coby to było, żebym ja naprawdę musiała obetrzeć nos...“ oczywiście nasze lzy obeschły.

W swej świetnej monografji, o jakiej marzyć będzie każdy wybitny artysta, p. Papée wysławia zasługi Wysockiej jako reżyserki, która „posłuszna wewnętrznemu nakazowi *budowania prarodzimego teatru i tworzenia w nim harmonijnie pięknego człowieka*“ nie sprzeniewierza się w tem nigdy sama sobie. Wysocka „była i jest ozdobą polskiego teatru, wielką polską tragiczką, w której ręce z zaufaniem oddać można dalsze losy sztuki teatralnej, wierząc, że ma powołanie i misję odrodzić w teatrach kult dla poezji i aktora, „któremu przez tyle lat chwalebnie służyła na pożytek Narodowi i Sztuce“.

\*

\*

\*

*Marja Przybylko* — młodziutka wówczas artystka, był to jasny promień sceny.

Talent, uroda, wdzięk wrodzony — na deskach, humor i pogoda — za kulisami, czyniły ją elementem wiecznie pożądanym. Otoczona zachwytem dla artystki, a sympatją dla kobiety, zawsze najlepszej koleżanki, krótko wprowadzie była na scenie krakowskiej, ale została tam niezapomniana i... niezastąpiona.

Była figlarna, więc umiała czasem w pełni sezonu wyjechać, bez zameldowania się nikomu, ot tak na „głupich parę dni“. Ale zaraz pisała liścik pełen zdumienia, że „ktoś zdążył już to zauważyć, bo ona właśnie myślała, że nikt tego nie spostrzeże. Takie głupstwo!“ A już kiedy wróciła i wbiegła ze swym uśmiechem do kancelarji — to nikt nie był winien zamętu „jeśli był jakiś z tego powodu“, choć ona go „ani przypuszczała“. Cała wina była po stronie kancelarji właśnie, a dziś ona ją krzywdzi, przypuszczeniem, że „wprowadza jakąś anarchję“. Skąd? Jeśli kto może mieć żal do Dyrekcji — to tylko ona, że na taką drobnostkę zwraca się uwagę. Słowem, cała racja przy niej, a że ma do czynienia z mężczyznami więc sprawę wygrywa. Bo któżby to lepiej umiał tak mile owinać ich koło palca — jeśli nie ona.

Marja Przybyłko-Potocka przez całe swoje artystyczne życie do dziś czaruje, zachwyca i trzeba dodać, rzetelnie pracuje, tworząc kreacje sceniczne pogłębione, wyczute, każdym nerwu drgnieniem i ruchem usprawiedliwione. Tego się nie zdobywa, nawet przy wielkim talencie, bez dużej pracy. Jest w pełni sił, których nie szczędzi dla dobra sceny. Żał mi tylko, że nie mogę przytoczyć głębszej i tak poważnej oceny Jej wielkiego talentu, na jaką w pełni zasługuje, wyrażonej przez powołanych do tego znawców, ale, niestety, takiej nie zna-

lażłam, a może tylko — nie umiałam szukać. W każdym razie, trzeba, żeby się pojawiła przez szacunek dla Artystki — która jest chlubą dla sceny polskiej.

*Bronisława Wolska*, siostra poważnego artysty, Bolesława Ładnowskiego, pracownika sceny warszawskiej, zajmowała w Krakowie bardzo godne stanowisko. Imię jej i talent były otoczone szacunkiem. Była już wtedy najstarszą artystką i prawie że nie pamiętam jej, bo mało grywała. Na swym jubileuszu grała w „Pani Kasztelanowej” Korzeniowskiego — tytułową rolę, a podobiznę swą, ofiarowała mi z podpisem. Wiem, że pisała swe pamiętniki, które byłyby ciekawym dokumentem przeszłości. Ale czy je ukończyła, czy je kto wydał lub przechowuje, nic o tem nie wiem.

*Marja Dulębianka* była ślicznem zjawiskiem. Drobna, szczupła wówczas, z twarzą o profilu niby w marmurze rzeźbionym, wносиła na scenę zupełnie indywidualne cechy talentu, które zresztą zachowuje do dziś. Właśnie w jednej z takich chwil, kiedy to ktoś miał „murowaną rację“, ulatniając się na chwilę wśród sezonu, Dulębianka zastępczo objęła rolę Mirandy w „Burzy“ Shakespear, bodaj pierwszą rolę większą, i okazała się zupełnie za nią odpowiedzialną, co oczywiście otworzyło jej drogę do szerszego repertuaru, z którym niebawem znalazła łatwo stanowisko na innej scenie wraz z lepszymi warunkami materialnymi. Każda jej nowa rola dziś, na scenie teatru Narodowego, to zajmujące psychiczne studjum duszy żywego człowieka.

*Helena Sulima*, artystka niepospolicie piękna, obok talentu i urody, miała spokój i równowagę w pracy. Była łagodna, pełna zawsze taktu, nikomu nigdy nie narażając się. Warunki zdobywały jej takie role, jak

Tytanji, w „Śnie nocy letniej“ Shakespeare'a, Goplana, z wieńcem jaskółek nad czołem, w „Balladynie“ Słowackiego, Maude, w „Półdziewiczach“ Prevost'a i znakomicie, żywcem dana Rachelą w „Weselu“ Wyspiańskiego. Drugiej takiej nie było.

Do końca niemal pracowała z nami, przeżywając zle i dobre chwile, nie należąc nigdy do żadnych na zewnątrz machinacji i lojalnie zawsze okazując Dyrekcji całą życzliwość. Jest też cenioną pracownicą, świetnego zespołu Artystów w „Teatrze Polskim“ pod dyr. Arnolda Szyfmana.

*Ida Kosmowska*, inteligentna z wrodzoną dystynkcją aktorka, krótko dawała nam swoją pracę. A dziś, jako już wyrobiona artystka, pracuje z wielkim pożytkiem dla sceny, znów — w Krakowie.

*Gabryela Morska-Popławska*, doskonała Klara w „Ślubach Panieńskich“ Fredry, wyborna we wszystkich rolach, w których mogła uzewnętrznzić swój czu-purny temperament, stanowiła dla każdej sceny niezmiernie cenny dobytek. Młoda, energiczna, rwąca się do pracy, dobra żona, o ile nie zirytowana — to koleżanka pogodna. Jedyłą jej wadą, horendum, co powiem, ale powiem! — była — jej cnota, którą na każdym kroku manifestacyjnie obnosiła. Cnota, jako naturalna przynależność — doskonale. Ale jako sztandarowe hasło w codziennem życiu zakulisowem — roz-pacz. Toteż częste z tego powodu żarciki, przy zawsze dobrych humorach dotykały ją i drażniły, co nie tworzyło harmonijnej koleżeńskiej atmosfery. Scenę wczesnie rzuciła, mimo dużego talentu i szczerego jej umi-łowania. A jako doskonała nieskazitelnie pełniąca swe obowiązki urzędniczka, znająca języki angielski, fran-



cuski i niemiecki zbyt młodo — zakończyła życie w Warszawie.

*Helena Arkawinówna*, wysoce uzdolniona artystka, z całą gorliwością oddawała swój talent scenie krakowskiej, ceniąc zawsze Jej Kierownika. Dziś jeszcze z Bydgoszczy, miasta, w którego teatrze pracuje pod doskonałym kierunkiem artysty p. Stomy, odpowiadając na mój list, proszący ją o fotografię do książki *Męża mego: „W służbie sztuki i poezji“* (wyd. nakł. firmy F. Hoesicka, 1929 r.) pisze do mnie:

„Dziękując za pamięć — wyrażam słowa najgorętszego współczucia z powodu straty, jaką ponieśliśmy wszyscy razem z drogą panią, wszyscy ci, których życie zetknęło z człowiekiem niezwyklej kultury i prawdziwego głębokiego serca. Ze łzami szczerzego żalu piszę tych parę słów. *Helena Arkawinówna*“.

Odczytałam je także ze łzami wzruszenia, zachowując za nie głęboką wdzięczność na zawsze dla szanownej Koleżanki.

*Felicja Rutkowska*, młoda aktorka, ładna, ze śliczną cerą i jeszcze piękniejszymi rudawymi włosami, zdolna. krótko była na scenie. Spełniała moje marzenie tem, że się nigdy nie rujnowała na stroje. Pomysłowością i wrodzonym szykiem zastępowała kosztowność ubrania. Jej zaś marzeniem było „wyjść za mąż i mieć dzieci“.

A kiedyś ją w kilka lat, po opuszczeniu sceny krakowskiej spotkała w Warszawie, „Oto moje spełnione marzenia“, powiedziała, przedstawiając mi dwie śliczne swoje córeczki.

Mieszkała z mężem, gdzieś w Rosji. Umarła młodo.

*Antonina Bronicz-Jelowicka i jej mąż*, była to taka parka małżeństwa, której, nawet dając pierwszeństwo



damom, w moich wspomnieniach — rozdzielić nie jestem w stanie. Byli zawsze razem.

On poważny, spokojny, sumienny pracownik. Ona ładna, młoda, oddająca scenie wszystkie zasoby swych zdolności. Słodczyą i dobrocią darzyła męża, tkliwym uczuciem macierzyńskim obejmowała — synków, pracę — scenę. Nigdy nikomu nie narażała się niczem ta parka, niby zeszyta ze sobą.

Znając już aż nadto dobrze niepokoje, związane z życiem teatralnem, — mówiłam im: „Wiecie, mili państwo, Was szkoda na naszą szarpaninę. Jeśli pozwolicie, będę się starała o jakąś stałą posadę dla Was, którzy Wam mogła stworzyć warunki więcej odpowiadające Waszym usposobieniom.

Kto wie czy przy ludzkiej usługowości — nie byłabym tego dokazała. Ale cóż! uśmiechali się wprawdzie uprzejmie, byłam jednak pewna, że teatru dobrowolnie nie rzuciliby nigdy.

Tymczasem życie inaczej zarządziło. Pan Bronicz osierocił dobrą żonę i dzieci, które już dziś są dorosłymi ludźmi i otaczają matkę miłością i opieką.

*Józefa Wójcicka*, w rolach charakterystycznych, zwłaszcza ludowych, miała nietylko wiele szczerości, ale wyposażała je z prawdziwym talentem w świetnie zaobserwowane szczegóły. Nasuwa mi się fakt godny zanotowania z jej życia prywatnego, który zaobserwować miałam sposobność.

Całe życie razem z Mężem, naszym nieocenionym sekretarzem „Wójciem“, spędziła w teatrze. Należała do typu tak zwanych — rasowych aktorek.

A mimo to, czy może właśnie dlatego, ta dbała matka o wychowanie dzieci, które starannie kształciła, ta ko-

bieta, która za kulisami spędzała trzy-czwarte życia, a mąż jej prawie całe życie, dzieciom nie pozwalała chodzić za kulisami teatru.

Córka jej, Zofja Wójcicka (Chylewska), po raz pierwszy przestąpiła próg sceny wtedy, kiedy zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie za swą sztukę, a Mąż mój ją zaraz wystawił.

Czy mieli rację państwo Wójciccy — nie wiem.

Notuję tylko fakt.

*Stefanja Sokolicz*, z miłą powierzchownością i sumienną pracą grała niewielkie rólki, dopełniając całość, której nigdy, w najlepszym nawet zespole, nie zepsuła.

*Bronisława Jeremi* (Rudlicka) była piękna, ślicznie zbudowana, bardzo dobrze wychowana i ładnie ułożona, a więc pożądana dla sceny pracownica. Serce miała otwarte dla każdej biedy. A już dość było powiedzieć: „Panno Bronisławo, ta i ta koleżanka potrzebuje pomocy“, w tej samej chwili umiała się nią zająć, pomóc, nawet otoczyć opieką i od nędzy ratować. Mnie zaś zjednała szczerem uwielbieniem dla mego Męża: wszystko, co zrobił, czy mówił Dyrektor, w jakiegokolwiek sprawie, było dla niej nieomylną prawdą. Każda z nim rozmowa — największą przyjemnością. Toteż żartobliwie nazywałam ją „tą drugą“, bo umiała bez trudu pewno zdobyć jego wzajemność, manifestując się w postawieniu jej fotografii z *lewej strony* na biurku. Moja stała z *prawej*. Godziłam się z tem bez protestu, bo zauważyłam, że te z lewej strony czasem się zmieniają. Ja o tem wiedziałam. Ona nigdy. Natomiast, jeżeli się zdarzyło, że jeszcze ktoś konkuruje o równo-

mierność z nami uczuć mego Męża, szłam wtedy do panny Bronisławy i mówiłam jej cichutko:

— Mnie nie wypada, ale pani niech mu do oczu skacze, bo jest między nami ta trzecia. I, wtedy, już mogłam spać spokojnie.

Pamięcią zawsze nas darzyła w krótkich liścikach i po rozstaniu. Toteż, kiedy ze Lwowa przywieziono ją już na wieczny spoczynek do grobu rodzinnego w Warszawie, grudkę ziemi rzuciłam na jej mogiłę z tym żalem, z jakim się żegna każdą życzliwą duszę.

*Heleną Górską*, aktorka piękna, uprzejma, lubiana za kulisami. Z jej imieniem łączy się zabawne zdarzenie. Obsadzano ową sztukę *Bahra*, „*Józefinę*“, którą wspominam, pisząc o *Kamińskim*. *Górska* była wymarzona warunkami na *Józefinę*. Ale czy podoła? *Kamińskiemu* bardzo dogadzała myśl tak pięknej partnerki, więc znów, jak zwykle, zrobić trzeba, co się tylko da, byle ją pokazać i spełnić życzenie wielkiego Artysty.

— Ja ją wyuczę, rola niewielka, może zagrać poprawnie, — mówi *Józef* i idzie na ową lekcję, od samego rana.

Wracam do domu na obiad z teatru, a był grudzień, patrzę, na schodach, podedrzwiami, siedzi mój Mąż.

— A ty co tu robisz, sieroto? — w mróz — bez czapki i palta na schodach?

— Jak mi dasz słowo, że nikomu nie powtórzysz, to ci powiem.

— Daję słowo.

— Byłem u *Górskiej*. Tak zajęliśmy się lekcją, że z przedpokoju skradli mi czapkę i palto.

— Cofam słowo, — mówię ze śmiechem — bo to taki pyszny „kawał“, że zaraz go rozpowiem dokoła.

A że klucz od zatrasku jeden miałam ja, drugi był w kieszeni skradzionego palta, więc biedaczysko czekał na schodach, jak zmiłowania Bożego, mego przyjaciela. Nie poszedł drugim wejściem, bo nie chciał, aby go domownicy widziały w tym żalonym stanie.

Wieczorem za kulisami, spotykam Górską, która zawsze piękna i dobra, ujmowała wszystkich łagodnym i miłym obejściem.

— Ślicznie szła lekcja, że aż palta wynosili, — mówię do niej ze słodką wymówką.

— To dowód naszej cnoty, pani Dyrektorowo, że tylko palto skradziono — z czarownym odpowiada mi uśmiechem.

Była śliczną Józefiną. Nawet Kamyczek roześmiał się szczerze z tego incydentu.

*Jadwiga Czechowska*, od dziecka będąca za kulisami, za którymi pożyteczną pracownicą była jej matka, wyrobiła się, przy niezaprzeczonych zdolnościach, na bardzo miłą aktorkę i lubianą koleżankę, otoczoną stałą życzliwością nas wszystkich.

Była jeszcze zdolna aktorka *Sylwia Jutkiewicz* i mniej zdolna *Leta Walerska*, która jednak zaznaczyła się odegraniem sceny tańca hypnotycznego w „Weselu“ z widmem zmarłego narzeczonego „raz dokoła, raz dokoła“, oraz Hestji w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego, mając to szczęście, że przez jej usta szły wróżebne słowa, jakie Wyspiański kazał mówić opiekunce Rodziny:

!

Wziąć tobie topór oburącz  
i sięść stróżem u proga.



I nie zwolić ni piędzi ziemi.  
 Co Bóg rozwiązał, — łącz!  
 Z rozkazu i woli Boga.

— — — — —  
 Płonącym czynięć Aniołem,  
 Zgromadź mnogie ludy na wiec:  
 niech siadą społem za stołem  
 i powiedz im, jak ognia mają strzedz,  
 jak modlić się mają dzieły.  
 Że już jest czas, by ręce topór jęły  
 przyśpieszyć dni,  
 Bożemi znaczonych słowy,  
 by naród na krwawą rzeź.

— — — — —  
 Pochodnię weź!

A pisał to Autor — w 1902 roku.

*Michalina Senowska*, z dobremi aspiracjami dramatycznymi, ale zbyt małą kulturą do ich realizowania.

*Władysława Łazarewicz*, młoda, ładna, kochająca więcej życie, aniżeli scenę, czego nie można brać jej za złe, zwłaszcza, że ją niebawem porzuciła.

I oto, zdaje mi się, że znalazłam wszystkie artystki w pamięci, które w pracy ochotnie pomagały memu Mężowi.

A z tego tańca wśród mieczów, jakim jest niezawodnie życie laika, wśród namaszczonych i to kobiet, wyszłam, jak o tem świadczą przytaczane wyżej dokumenty, nietylko obronną ręką, która bronić mnie nigdy nie miała powodu, ale liczne wyniosłam, zawsze mile, wspomnienia chwil przeżytych przy wspólnych zabiegach o dobro sztuki i życzliwe stosunki towarzyskie do dni ostatnich, za co, komu należy:

Panie Boże zapłać!





*Felicja Pichor - Śliwicka*



*Honorata Leszczyńska*



Wanda Siemaszkowa

## AKTORKI PRZYGODNE...

### *Jedna, Druga, Trzecia.*

...Bo zakulisami są różne, jak to już mówiłam, odmiany kwiatów. Jedne rozwijają się normalnie, kwitną i zawsze urokiem czarują. Inne często przedwcześnie więdną, a nawet, niestety, marnieją.

A więc:

*Jedna:* Czyjaś córka. Ubożuchna. Młoda. Ani ładna, ani brzydka. Zdolna.

Kiedyś może będzie pożyteczna. Statystowała, czasem dostawała parę wyrazów rólki, bo była jeszcze zupełnie surowa. Ubrana zawsze skromniuchno. Za kulisami kręciła się ciągle. Był to jej świat.

— Pić mi się chce — mówi ktoś na próbie.

— Ja zaraz paniusi przyniosę.

— Oberwałam guzik u rękawiczki, ktoś drugi.

— Ja przyszyję.

— Muszę iść na pocztę.

— Ja to załatwię, bo właśnie tamtędy idę.

Tak zawsze, co dnia, co godzina, nigdy nie zmęczona, zawsze pogodna, śpiewająca i nasłuchująca, czem komu może usłużyć. Dobra, usługująca dziewczyna — Linka.

Stoimy kiedyś rano za sceną z tapicerem i naradzamy się, jakby z tych zielonych empirów zrobić ciemne gotyki, do nowej sztuki — za tydzień. Słowem, jak rozebrać Ś-tego Piotra, żeby ubrać Ś-go Pawła — jak mówią francuskie przysłowie. Ktoś koło nas przechodzi, rzuca krótkie „dzień dobry“, mijają nas i zostawia charakterystyczny chrzęst jedwabnej halki, bardzo wówczas modnej, stroju, nad możność materialną ubożuchnej Linki.

Spojrzelismy jednocześnie za nią, potem na siebie. Tapicer się uśmiechnął, ja — nie. Stało się. — Ktoś czegoś potrzebował. Usłużyła.

Ale niebawem straciła zwykłą pogodę. Zbladła, oczy podsiniąły. Przestała nasłuchiwać, co komu i gdzie załatwić.

Przyszła do mnie. Plakała. Rzewnie plakała.

— Przyślij mi — dziecko — matkę.

Oczywiście, ze względu na młodsze siostry musiała wyjechać na wieś. Co było można, to się dopomogło do skutecznienia tej wyprawy.

Kochana i droga Paniuchno — pisze do mnie. — Jaka pani strasznie dobra dla mnie. Mówiła mi mamusia, że się pani o mnie pytała. Niech pani Bóg da zdrowie za to, bo ja, doprawdy, bardzo jestem biedna, tak mnie wszystko w życiu zawiodło i tyle złego ludzie mi zrobili, że każda odrobina serca, okazana mi, wzrusza mnie do głębi. Poznałam też, jaka Pani wyrozumiała na błędy ludzkie, i żałuję tego, co uczyniłam serdecznie, winna się czuję wobec wszystkich. A tak mi się serce rwie do tej ukochanej sceny, do moich ról, że przechodzę męki Tantala. I z pieniędzmi coraz gorzej, rady sobie dać nie mogę, tak się już zadłużyłam, bo zni-

każąd żadnej pomocy, a fakt ten pociąga za sobą straszne wydatki. Wdzięczna też jestem panu Dyrektorowi, że taki łaskaw i polecił wypłacać mi całą gażę. Jestem zmęczona, boję się życia, boję się tego co ma nastąpić, co dalej ze mną będzie, nie wiem. Jak teraz spojrzę ludziom w oczy, co powiedzą o mnie w teatrze. Boże! Boże, cóżem zrobiła! Jedyną moją teraz pociechą, to dobroć Pani. Paniuchna pozwoli, że jak malec przyjdzie na świat, to dam znać najpierw mamie, a potem pani — dobrze? Całuję rączusie drogiej pani, proszę się nie gniewać, że się ośmieliła pisać. Linka“.

— A on?

Jak wczoraj, jak dziś i pewno, jak jutro. Oczywiście, wszyscy wiemy kto. Wiemy napewno, że ten, a nie inny, że ma dobrą gażę i że ani mu w głowie dopomódz dziewczynie.

— Więc rada w radę — dobre kobiety przypuszczają szturm.

— Ależ moje drogie panie, zostawcie mnie w spokoju. Mam dużą rolę, muszę się uczyć, będę sobie tam głowę zawracał jakąś Linką. Nie ona pierwsza i nie ostatnia. Pojechała — dobrze, przyjedzie — drugie dobrze i po krzyku, co tu robić gwałt.

Linka przyjechała. Zbrzydła, osowiała. Malec został gdzieś — może u jakiej fabrykantki aniołków.

Znów przysłała do mnie, znów płakała, znów przysięgała, że już nigdy, nigdy!... Znów się wzruszałam, znów byłam „wyrozumiałą i dobrą“.

Ale, po pół roku pokazało się, że Linka znów powinna — wyjechać.

Już do mnie nie przysłała. Nie wyjechała. I nie wie-



działałam, jak się tam z życiem ładziła, ubożuchna, dobra, usłużna dziewczyna.

Z krętych ścieżek życia, powrót do prostych dróg, bywa zawsze trudny.

*Druga:* O talencie scenicznym nie było mowy. Była młoda i ładna. Dostała się do teatru. Parowyrazowe rótki, głównie statystowanie — to karjera sceniczna. Oczy miała zawsze jakby gotowe do łez. Usta śmiejące. Zęby białe. Prosta. Zwinna. Czasem zuchwała. Czasem jakby zalękniona. Za kulisami kręciła się ciągle, bo nie miała co ze sobą robić. Bezfrasobliwie opowiadała o swym inwentarzu żywym: psie, kocie, nadewszystko o ulubieńcu, żółwiu małym, który, właśnie podczas bytności mego męża u niej „fjukał“ nadzwyczajnie, jakby się chciał popisać. O ludziach mówiła mało. Wobec mnie była zawsze niezmiernie uprzejma. Lubiałam ją. Pocziwie się do mnie uśmiechała. A w rozmowach, które chętnie z nią za kulisami nawiązywałam, trochę cofała się w siebie. Czasem tęsknie zamyślona. Często mając zamiast słowa westchnienie. A niekiedy, ni stąd ni zowąd, wśród najlepszego humoru, pochyliła się i zaliła.

Przyszła kiedyś do mnie w godzinach rannych do mieszkania.

Byłyśmy same. A widząc po kilku zamienionych zdaniach, że już lży gotowe, spytałam:

— Co pani jest?

— Nic. To minie. To tak czasem coś na człowieka nachodzi, że ani strzymać. Spojrzy na coś, usłyszysz coś, coś się przypomni i jakby za gardło kto chwycił. Ja przyszłam do pani z prośbą, aby się wstawiła do pana Dyrektora o zaangażowanie Ireny. Myślała, odchodząc

stać, że sobie poprawił! Gdzie tam, coraz jej gorzej! Ona nie ma także talentu. Ale możeby się przydała. Ja ją lubię i żal mi jej. Tam, na głuchej prowincji, w małym mieście, ma życie nie do zniesienia. Gubią ją te wieczne głupie romanse. Możeby się ją tu uratowało. Tu więcej ludzi. Utonęłaby wśród nich. Tam ją palcami wytykają przez te różne asysty, bez których ona jednak żyć nie może...

— Jakto, przecież ona kochała się w pannu X. i miała wyjść za niego?

— To było, ale nie jest. Zwiął. I potem już poszła... jeden, drugi, dziesiąty.

— Co pani mówi?

— Tak, proszę pani, to nalóg. Jak pijaństwo. Nie wie się już potem, ilu. Wie się tylko, że jest jakaś wielka krzywdą na świecie.

\*

\*

\*

Znajoma moja wyjechała.

Mieliśmy duże kłopoty finansowe. Dokuczliwe warunki życia zzewnątrz płynące. Oszczercstwa zaczęły przebierać miarę; musiałam iść przed sądy, szukać sprawiedliwości. Trochę mnie to zmogło. Więc poczta przynosiła mi, niemal co dnia, listy od przyjaciół i życzliwych, wyczuwających mój stan psychiczny, choć przed nikim i nigdy się nie skarżyłam.

Między innemi przyszedł i mały krótki liścik od mojej znajomej z za kulis. Pisała:

„Dowiedziałam się z gazet, że dobra, taka przeze mnie kochana pani, miała wielkie przykrości. Płaka-

łam i trochę tych łez ośmielałam się pani przesłać. Pani się o to nie pogniewa, bo przecież lzy to, jak rosa z nieba, a przytem nie robią krzywdy nikomu i nikogo nie ranią prócz tego serca, z którego płyną. Proszę je przyjąć, od zawsze wiernej...." Adresu nie przysłała.

\*

\*

\*

W kilka lat później już w Warszawie, spotykam ją na ulicy. Ubrana jak zawsze skromnie, ale wytwornie, Przywitałam ją serdecznie. Miała wyraz zmęczenia i apatji. Te same smutne oczy i matowa bladość.

— Co pani robi, gdzie pani angażowana?

— Angażowana w żadnym teatrze — nie jestem. Kota nie mam, żółwia nie mam. Mam tylko harta na smyczy, ot i człowiek tak dociąga do końca. Co tu długo mówić, pani Dyrektorowo, wszystko to razem, to jakaś wielka krzywda. Cemu, za co tak na człowieka idzie — nie wiadomo.

Więcej jej nie widziałam. Doszła mnie tylko wieść, którą mi do redakcji przyniósł p. Adam Breza, bośmy oboje tę dziewczynę lubili, że umarła...

Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!

*Trzecia:* Z rozrzutnością, godną atmosfery włoskiego renesansu, rozrzucała wśród malarzy — hojność swej piękności.

Niemal każdemu kto ją prosił o to — pozowała.

Za pieniądze, za podarki, za liczmany jakiegoś uczucia?

Broń Boże!

Za nic. Za darmo, z dobrej a nie przymuszonej woli, bo tak się jej podobało.

Lubiła malarstwo. Cieszyła się, że choć tem mogła mu służyć. Miała też ładny zbiór obrazów, bo to był jedyny wyraz wdzięczności, jaki przyjmowała od artystów.

Uśmiechała się ładnie do siebie — na płótnie i do twórców w ich pracowniach.

To jej wystarczało.

Pierścionki także lubiła i dostawała je. Ale te nie od malarzy.

A na podziw, nad pięknością któregoś z nich przez zachwycone koleżanki z nonszalancją jej właściwą odpowiadała kiedyś:

— To jeszcze nagroda z pensji.

Odtąd „nagrada z pensji“ przysłowiowo snuła się za kulisami...

Była też ona niezawodnie jedną z pierwszych kobiet, które zasiadały, przy kierownicy, w pięknym samochodzie.

\*

\*

\*

Któregoś ranka melduje się jakaś pani — do mego Męża.

I słyszę z drugiego pokoju:

— Błagam pana, uratuj mi syna, to przecież nie jest żona, któraby mu dała szczęście. Płakała. Do kolan się schylała. Rozpaczała.

Oczywiście, Mąż mój był bezsilny. W tak osobistych sprawach nie mógł zabierać głosu. Niczem zresztą do tego nie upoważniony.

Ale najniespodziewaniej tegoż po południa zjawia się u mnie panna X. X. prosząc o rozmowę poufną. I mówi mi:

— Pani już wie, że p. Z. Z. chce się ze mną żenić. Przyszedłam prosić panią o bezwzględnie szczerą radę. Ufam, że mi jej pani nie odmówi. Co mam robić? Czy mam wyjść za niego?

Dużo mnie kosztowało motywowanie mego: *Nie*.

Argumentów słuchała uważnie.

Niebawem wyszła jednak za niego.

Parę miesięcy najcięższego, zobopólnego szamotania się z życiem.

Potem — on przepadł gdzieś na szerokim świecie. Matka płakała. Ona — wróciła do kierownicy pięknej limuzyny.

A czwarta, piąta, czy dziesiąta? było ich dużo, bo często się zmieniały. Każda miała tę czy inną historję, każda jakąś szarpaninę kobiecej duszy, w której niemal zawsze było więcej nieszczęścia, aniżeli zła i zepsucia.

### *Garderoba Statystek.*

Była jeszcze jedna grupa ludzi w teatrze, to statysci i statystki.

Zbliżała mnie do nich moja praca wewnątrz teatru i piecza nad kostjumami, na co kładliśmy wielki nacisk, aby nie były dowolnie — „poprawiane...” Pomagali nam w ich komponowaniu artyści-malarze. Należało to szanować. Więc przed każdą kostjumową sztuką z polecenia reżysera robiłam przegląd nieraz licznej



armji. Męską garderobę otaczał pieczęć reżyser, kobieca powierzona była mnie.

Pamiętam przedstawienie „Nieboskiej“, kiedy to — stu młodzieży uniwersyteckiej przyszło nam z pomocą w statystowaniu i kiedy powiedziałam, jak najęta, w garderobie statystek, jakie to one mają w tej chwili stanowisko. Bo za sceną musi panować ład wielki i skupienie, żeby niczem nie zmącić dzisiejszego wieczoru. Niech wiedzą, że to wielki zaszczyt w takim przedstawieniu statystować, że skoro studenci z Uniwersytetu sami przyszli nam z pomocą, to już powinny z tego miarkować, co to się w tym dniu na scenie dzieje. I dlatego proszę je, aby będąc tu, u siebie, zachowały całą powagę. Żeby były grzeczne, i utrzymały porządek. Innego wyrazu nie chciałam użyć. Biedne kobiety i dziewczęta, wsłuchane były, nie bardzo pewno wiedząc, czego od nich chcę, a jednak trzeba było widzieć te Manie z Kopyca, Józie ze Zwierzynieckiej, jak wszystkie chodziły z wielką godnością, jak sprawowały swą rolę członkiń tego domu — bez zarzutu.

Ale, jako całość — taka garderoba statystek, to zawsze więcej mnie bolała, niż radowała. Bo ileż tu biedy i jakie na zaradzenie jej zarobki?

Toteż te twarze, choć jedne młode, ale malowane przed lustrami miejscami już białe i różowe, a miejscami jeszcze żółte i blade, inne stare, nawet nieraz już pomarszczone. Boże! Boże! myślałam. Nie chciałabym, nie chciała. Jakie szczęście, że nie muszę się malować.

A ta dziewczyna, której wspomnienie często do dziś mnie prześladowuje. Była ubrana w lekką grecką tunikę. Powinna była wyglądać szczupło. Tymczasem — coś jest źle. Podchodzę i obciągając jej szatę mówię: To

powinno być równo, spadać prostą linią do dołu, a tu pani tak dużo je, że brzuch przeszkadza". I, naciskając fałdy, z uporem jeszcze peroruję: „Kto to słyszał, żeby taka młoda, ładna dziewczyna miała taki brzuch. W tej chwili spojrzałam na nią i do dziś nie przestałam sobie wyrzucać tej gorliwości o utrzymanie linii.

Już nie o to mi chodziło, co ja powiedziałam, ale o to co to biedactwo myślało i co o mnie myślało, kiedym to mówiła.

Bo czy winna?

Czy ja z moją ciekawością życia, z werwą, zdrowiem, nie byłabym gorszą od niej, gdyby mi Bóg nie był dał tych warunków do życia, jakich ona była pozbawiona?

Dość, że pamiętam to do dziś.

A mimo to, i w tej garderobie bywa wesoło. Ta opowiada coś z werwą, tamta coś nuci, ta się o coś sprzecza z sąsiadką, a jeszcze któraś czasem — choruje. Wezwany lekarz teatralny stwierdza symulację.

Jak na świecie, jak wśród ludzi, jak w życiu.

## KAZIMIERZ KAMIŃSKI.

„Natura ciągnie wilka do lasu“... A ja kłam zadałam przysłowiu. Bo, z natury przekładając ród męski nad kobiecy, choć wiem, że żaden mężczyzna nigdy nie dorówna kobiecie w złości, a szczególnie w małostkowości, ale niedorówna także i w dobroci. Otóż, mimo tych wyłączności moich sympatji, o wiele więcej miałam do powiedzenia o kobietach, aniżeli mam o mężczyznach w teatrze. Jak się to stało — sama nie wiem, ale tak się stało.

Dobrych wspomnień jednak nie zagubiłam i te — notuję.

\*

\*

\*

*Kazimierz Kamiński*, to wielki, wielki aktor.

Nie wiem ani kiedy, ani gdzie się rodził. Wiedzą to za mnie niezawodnie ci, którzy będą pisali studjum o wielkim artyście. Wiem, że miał intuicyjną niepo-wszednią wiedzę w dziedzinie sceny, wielki talent, i że jako reżyser, ponieważ był, zwłaszcza w zakresie oby-czajów mieszczańskich, znakomitym obserwatorem.

obserwacje te, wybornie chwytane wlot, nie tylko umiał wcielać w postaci, które odtwarzał, ale i poddawać je doskonale innym, jako te drobne, często bardzo śmieszne, a zawsze charakterystyczne burżuazyjne cechy.

Bywałam na prowadzonych przez niego próbach i tu podziwiałam jedną wielką jego cnotę. Mianowicie: często, nawet jeśli miał swoją własną kulminacyjną scenę, nie wahał się poddać partnerowi, czy partnerce, odnośnej uwagi, jeśli ona wpływała na dodatnią całość danej chwili, a przecież ta wykonana uwaga mogła niekiedy rywalizować z jego własnym momentem popisu. Rzykował. I tu już aktora — zwyciężał artysta.

Wprawdzie, ktoś mi opowiadał, że był na próbie, na której Kamiński zrobił uwagę partnerowi, aby stonował swą kwestję.

— Kiedy ona wtedy zginie, — bronił się aktor.

— Właśnie o to chodzi, — odpowiedział Kamiński.

Mogło to być. Ale ja w to wolę nie wierzyć.

Tamto, co widziałam sama, lepiej mi się podobało.

Choć naogół, przyznać należy, że momenty altruizmu u „Kamyczka“ były rzadkie.

Nazywaliśmy go tak zdrobniale wszyscy, schlebając mu stale i ciągle, bo nigdy nie można było wiedzieć, kiedy z jasnego nieba grom uderzy, kiedy kaprys weźmie górę nad najpoważniejszą chwilą pracy. Na ogół stosunek Męża mego z nim był bardzo poprawny. Pracował w tym okresie chętnie i rzetelnie. Grywał dużo. Oczywiście, miał te fory, jakie na każdej scenie u rozumiejącego swój własny interes dyrektora miewają artyści wybitni. Każdy egzemplarz sztuki, w której miał grać dostawał naprzód. Rolę, o ile tego żądał, po dyskusji, określał mu Mąż, za jego zgodą, czasem razem

z nim. W obsadzaniu sztuk miewał głos, często decydujący. Jeżeli grał role kostjumowe, omawiało się z nim najdrobniejszy szczegół i wykonywało się jego żądania ślepo. Dochodziły one czasem do karykatury — ale mówiło się wtedy: „Trudno. Tak chce Kamyczek“.

Pamiętam np. charakterystyczny jeden szczegół. Dawało się „Don Carlosa“. Grał rolę kardynała. A więc: materja „musi być“ co najlepsza. To też była taka, że sama stała na scenie w fałdach płaszcza. Wszelkie akcesorja, jak rękawice jedwabne haftowane, pończochy jedwabne, obuwie wykwiłtne. Dalej łańcuch krzyż pierścienie, autentyczne kardynalskie, laskawie nam powierzone, ze zbiorów rodzinnych, przez p. Stanisławową hr. Tarnowską. Ale trykoty, już nikomu nie przyszło do głowy, żeby *musiały być koniecznie jedwabne*. Tymczasem:

— Nie będę grał, jeżeli nie będzie jedwabnych! — wyszło despotyczne żądanie. Ale ten wyrok pada podczas próby generalnej. Więc, oczywiście, pośpieszna depesza do Wiednia. Pośpieszna wysyłka powrotna z Wiednia. Zamęt, niepokój, koszt wreszcie, ale trykoty jedwabne są na termin „dla Kamyczka“.

Podobno „inaczej“ się w nich rusza. Może i słusznie. Niechże się stanie według woli jego.

Temwięcej, że w stosunku do Kamińskiego każdy trud się wypłacał.

Bo kiedy w tym fałdystym płaszczu, z materji jak skóra, w łańcuchach, krzyżach, pierścieniu i drogich kamieniach, a z ascetyczną maską, wyszedł kardynał na scenę, to był naprawdę średniowieczny mocarz, poważny dostojnik Kościoła, wielki pan w purpurze, złocie i brylantach. Daleki, wprawdzie, od Chrystusowego



ubóstwa sługi Bożego, ale nie mający też w swem otoczeniu pokornych wierzących prostaczków, jeno świeckich dygnitarzy, przebiegłych dyplomatów i polityków, którym swą wolę narzucać potrafił.

Jako pomocnica reżyserów w urządzaniu sceny, miałam bezpośrednią, dość częstą styczność z Kamińskim i nigdy nie miałam powodu skarżyć się na niego. Przeciwnie, pomoc moją przyjmował chętnie, radził zawsze dobrze. Poprawiał. A nawet kilkakrotnie namawiał mnie do wystąpienia na scenie.

— Ja pani rolę wybiorę i nauczę. Chętnie widziałbym panią, jako swą partnerkę.

Pochlebiało mi to bardzo, ale nigdy nie zachęcało. Czasem, widząc zbiorowe sceny nagromadzonych statystów, a bezwładnie stojących wtedy, kiedy powinno było coś zawrzeć, zakipieć wśród nich, brała mnie chętka wpaść na scenę, potrząsnąć tą masą, ożywić ją. Solowych popisów nie zazdrościłam nikomu i nigdy cienia ochoty nie wzbudzały we mnie, wzbudzając do dziś żywy zachwyt i wyczucie każdego drgnienia artysty na scenie.

\*

\*

\*

Przeglądam moje notatki, a pod datą 12. XII. 99 r. czytam: „W teatrze gwar, gorączka... Czechowska płacze, Wojnowska zesła z próby, obrażona, Solski, jak na wulkanie.

— Co się tu dzieje? — pytam. Nikt nie odpowiada. Reżyser macha ręką jakimś beznadziejnym ruchem — panie się rozpierzchły. Kamyczek siedzi w garderobie,

niby chmura gradowa. A przyczyna gniotącej atmosfery, jaką zastałam tego dnia w teatrze, leżała w faktach, od nikogo niezależnych. „Józefinę“ — sztukę Hermana Bahra, przeznaczoną do grania, Kamiński czytał. Rola Napoleona znęciła go, więc chociaż było na nią paru kandydatów, on ją dostał.

Na próbach już się zorjentował, że jakoś coś mu nie idzie i stąd ciągłe burze, bo każdy najmniejszy sprzeciw, choćby przyczyny jego w nim samym leżały, a może właśnie dlatego, przyprowadzały go o gniew i obrazę. Spostrzegł omyłkę i był wściekły.

A tak się fatalnie złożyło, że mimo prób, kostjumów, peruk z warkoczykami, miljona kaprysów, jakim się zadość czyniło ze względu na wielkiego artystę, od pierwszego kroku za próg sceny stąpiwszy, sztukę — kładł. Rzadki fenomen, ale się zdarzył. A kiedy po pierwszym akcie, spotkawszy go, za kulisami, powiedziałam, nie wierząc w to co mówię: — Świetnie pan gra, znakomicie pan ucharakteryzowany!

— Ale sztukę kładę, — powiedział mi przez zaciśnięte zęby i — położył.

Powodzeń, zachwyty, ról niezapomnianych w swej doskonałości, miał wiele. Niendana — była pewno ta jedna — jedyna. Dlatego, jako o curiosum charakterystycznego samosądu — o niej wspominam.

Był bardzo szczupły, w ruchach nie miał szerokiego rozmachu. W głosie, dość zwykle suchym, brakowało dźwięku wszechwładcy. Nie narzucił publiczności wcielenia wizji, na którą nie wystarczyły zewnętrzne, doskonale zresztą, nagromadzone szczegóły, sylwety znanego każdej wyobraźni — Korsykanina.

Był to wielki aktor, niema co! Ale Europa, świat ca-

ły, rządy, uniwersytety, nauka, nie dla niego nie istniało. Poza nim świat się kończył. Teatr, dyrektor, reżyser, kolega, koleżanka, ba — publiczność sama, nikt nie nie znaczył. Był on — on jeden. „Wszystko dla mnie i do mnie się odnosi i odnosić powinno“, to było jego motto. To też, naogół, praca z nim była uciążliwa, nawet wtedy, kiedy był w dobrym usposobieniu. A już w niehumorze, będącym prawie stanem, jeśli nie stałym, to bardzo częstym — uciekaj gdzie pieprz rośnie.

\*

\*

\*

W teatrze zmieniają się sytuacje jak obrazy w kalejdoskopie. Lwów ma nową dyrekcję. Obejmuje ją człowiek nieprzychylny Kotarbińskiemu. Możliwy. Artyści się chwieją. Kamiński urażony, że nie traktuje z nim najpierwszym, nowa dyrekcja lwowska proponuje:

— Proszę, podpiszcie państwo ze mną kontrakt, bo chcę mieć tę satysfakcję, abym, kiedy nareszcie zwrócić się do mnie z propozycją — już miał na nią odpowiedź w podpisanym dokumencie. Oczywiście, my na to jak na lato.

Solski, Roman, Tarasiewicz, Węgrzynowie, Bednarzewska — poszli do Lwowa. Kamiński został w Krakowie. Kotarbiński zabrał się do opracowywania Fausta, w którym Kamiński miał olbrzymi sukces. Prolog z Mefistem, siedzącym z wielkimi skrzydłami nietoperza na kuli świata i wyzwaniem na ustach do Wszechmocnego, odrazu, porwał publiczność krakowską, która umiała zawsze oddać hołd artystycznym wysiłkom.

Fausta i Małgośię grali: Kotarbiński i Siemaszkowa.

Afisz pięknie wyglądał. A marszałek Badeni, będąc na piątym przedstawieniu w teatrze, mówił w redakcji „Czasu”: „Zdumiony jestem, że *tak* Faust dany i zdumiony jestem, że piąte przedstawienie pełne“, co z radością powtarzał bardzo nam życzliwy p. Antoni Beauprè.

\*

\*

\*

Kamiński jednak zawsze na mnie robił wrażenie, w pewnym stopniu — psychopaty. Bo miałam przed sobą węzeł namiętności, uporu, zaciętości, zarozumiałości i przekory, obleczony wątłym ciałem, które te jędze, żrą, chłoną, który ginie pod ich tchnieniem, nie może ich pomieścić, a nie ma dość moralnej siły, ani z nimi walczyć, ani ich opanować. Sam cierpi. Nie je. Nie śpi. Szamocze się. W tej biednej duszy, do której wichry jakieś naniosły te wszystkie pyły i osadziły na olbrzymim talencie, nie było ani wiary w dobroć, ani w przyjaźń ludzką. Nieufny, obolały, czasem zrywał się jak zalękniony, kiedy się do jego garderoby wchodziło i chwycił silną ręką ramię krzesła, jak do obrony, przed czym? i przed kim? — przedemną? Czasem ironją odpowiadał na najżyczliwsze słowo. Czasem prawie zgrzytał zębami, a nie powiedział nic, co by mogło wyrazić jakąś miękkość duszy. Żał mi go było. Bo zdawało się, że nie miał do tego żadnych widomych powodów. A jednak coś tam zatruwało całą istotę. Jakiś mól gryzł tkanki duszy.

Miałam czasem ochotę go utulić, pogłaskać jak dziecko — chore dziecko. Zdawało mi się, że gdyby się do-



brze wypłakał, toby mu ulżyło. Ale jakaś ostra głucha twardość była wtedy w tej naturze, jakaś schorowana dusza, która onieśmielała i broniła wstępu do jej głębi. Ciężko chorego, na tyfoidalną gorączkę, odwiedzałam, i nawet wtedy nigdy w nim nie widziałam żadnej miększej nuty. Dopiero kiedyś list pisany ze Lwowa, w odpowiedzi na zaproszenie przez nas na występy do Krakowa, świadczy swym tonem o pewnem wewnętrznem ukojeniu. Było to już w r. 1903, pisał:

„Łaskawa i dobra Pani! Mam brata z Warszawy chorego, zajmuję się jego leczeniem, względnie opiekuję się nim. Zaraz z pierwszej pogody musimy korzystać i wyjechać w góry, z zalecenia lekarza.

Przy najlepszych chęciach nie mogę przyjechać. Przykro mi, że zdarza się to właśnie w czasie, w którym sobą dobrowolnie rozporządzać nie mogę. Niech mi pani wierzy, że to nie wymówka. Zrobiłbym to chętnie, a to tem bardziej, że tam państwu dokuczają. Ale cóż zrobić, kiedym uwiązany. Może później przydam się na co, ale teraz nie pozostaje mi, jak przeprosić obojga państwa i życzyć, aby sprawy się w najlepszy sposób zakończyć mogły.

Życzę państwu jak można najlepiej. K. Kamiński“.

Oczom nie wierzyłam, a jednak tak było.

Potem już widywałam Artystę na scenie Warszawskiej, i po ożenieniu się jego w lat kilka, pierwszy raz zobaczyłam twarz jego rozradowaną, uśmiechniętą, dobrą. Pokazywał mi fotografie swych synków.

Kochał już kogoś więcej, niż samego siebie.

Ostatni raz pisał do nas z Mentony: „Jesteśmy obojgu państwu wdzięczni za miłą kartę i przesyłamy życzenie wesołych Świąt. Tegoroczna Riviera pozostawia



dużo do życzenia — zimno jest i bezsłonecznie. Żydów różnej narodowości, z przewagą naszych — roje. Szwargot jak na Nalewkach. Wracamy w kwietniu. Z głębokim szacunkiem. K. Kamiński“.

Zdrowie pogarszało się z roku na rok. W ciężkich cierpieniach, do końca dni osłodą mu była opieka kochającej, anielskiej żony, która dziś już ma tylko tych dwu ślicznych chłopców do kochania.

## MICHAŁ TARASIEWICZ.

Jeden z artystów, z którym najściślej łączyły nas węzły przyjazne, był to Michał Tarasiewicz.

Zaangażował go mój Mąż, z myślą nadewszystko do roli Kordjana Słowackiego, granego po raz pierwszy w Krakowie dn. 25. XI. 1899 r., za dykcji i w opracowaniu Józefa Kotarbińskiego.

Był to młody człowiek, nadzwyczaj starannie wychowany. Zasluchany zawsze w każde słowo, dotyczące sztuki i poezji, których w naszym domu wymieniało się dużo. Ceniący sobie naszą życzliwość i chętnie biorący udział w życiu naszym towarzyskim, do czego, z całą serdecznością, był przez nas upoważniony.

Nazywaliśmy go „panną domową“, bo chętnie pomagał mi, w dniach przyjęć, w moich gospodarskich zamięgach o to, aby każdy gość był otoczony należną mu usługą. Cenił swój własny dom. Kochał matkę ponad wszystko, z ojcem, poważnym i szanownym przedsięwzięcą, łączyła go prawdziwa przyjaźń; z całą rodziną swą, z siostrą i bratem, był w serdecznych stosunkach, toteż umiał się wżyć w sprawy domowe, a wrodzona delikatność nigdy nie pozwalała mu na jakiegokolwiek uchybienie formom, niezbędnym jednak w

ludzkich stosunkach, właśnie przy pewnej zażyłości.

Co i jak się stało, nie pamiętam, ale wiem, że coś się stało. Musiałam nawet wówczas do niego pisać w tej sprawie, bo mam od niego list, który mówi:

„Nieskończenie wdzięczny za Jej względnosc, łaskawosc i życzliwosc dla mnie, stoję obecnie na rozstajnych drogach pomiędzy...”

Ale poco ja to piszę!

Zaszczytem jest to wszystko, co pani dla mnie raczyła zrobić. W przekazanie Jej serce nie wątpiłem nigdy, ale... mam także pewne od dzieciństwa wpojone zasady, których zawsze jestem niewolnikiem...”

Co się pod temi kropkami kryło, co znaczyły niedopowiedzenia? Nie zawsze wszystkiego dociekać można i nie zawsze trzeba. Pytać tem więcej, więc nie pytałam.

Po roku pięknej wspólnej pracy z moim Mężem i zobopólnego dużego dorobku artystycznego, którym było odegranie Kordjana Słowackiego, Albina w „Ślubach Panieńskich” i wielu innych ról Fredry, „Don Carlosa” Szyllera, choć bardzo młody jeszcze, ale już z opinią doskonałego aktora, zwłaszcza w rolach poetyckiego repertuaru, — wyjechał do Lwowa.

Przyjaźń jednak na tem nie ucierpiała, zmieniły się tylko jej formy. Bywał u nas na gościnnych występach. Zachwycał publiczność, która z entuzjazmem witała swego ulubieńca i, coprawda, nigdy nie podnosiliśmy sprawy jego od nas wyjazdu. Została dla nas niewyjaśniona.

Chwila bieżąca tyle zawsze wymagała skupienia myśli, że na roztrząsanie złych czy dobrych, ale minionych, nie było czasu. Od tego może być starość. Mło-

dość musi zbierać ziarna i gotować plon zasobny dla przyszłości. Więc chociaż ten wyjazd był istotną stratą dla sceny, a oczywiście i dla kasy, która zawsze odczuje ubytek dobrego aktora, zanim go kto inny zastąpi, bo taka jest kolej rzeczy na świecie — powiedzieliśmy sobie: stało się, „czynu z progu przeszłości sam Bóg nie odwróci“. Szło się dalej z pamięcią razem przeżytych — dobrych chwil.

\*

\*

\*

Wróciwszy na stałe z Krakowa do Warszawy, zaraz, oczywiście, zakrzętnęłam się koło przypomnienia się pamięci i zebrania w domu przyjaciół i życzliwych. Nie brakło wśród nich i pana Michała, który także osiadł w Warszawie.

Były to lata 1905 — 1906, a więc już świt jakichś przemian, może zluźnienia kajdan, może autonomji...

Było o czym mówić, nad czym radzić, poco zbierać się, liczyć, organizować i żyć podwójnem tętnem.

W r. 1907 wyjeżdża Tarasiewicz za granicę w sprawach handlowych firmy „Pluton“, którą dziedziczył po ojcu i prowadził z całą starannością, a z podróży, z Hamburga, Londynu i Paryża, odbieramy miłe dowody jego pamięci, czytając w listach, że „teatry są ciekawe, ale na własne nie mamy co się skarżyć. Nie mamy złych teatrów, tylko pracujemy w złych warunkach. Gdyby u nas było inaczej! Gdyby mogło być inaczej!!! A prędko!“ A że serca wszystkich były jakby szybciej i goręcej, w tej epoce pełnej nadziei dla naszej wielkiej ogólnej sprawy, a więc i własnego życia, —

niebawem po powrocie z podróży, pan Michał przywiózł nam radosną wieść: „Żenię się z p. Janiną Marcinkowską“, śliczną, młodą osobą, z którą niebawem zaznajomiliśmy się, zachowując wzajem najżyczliwsze uczucia po dziś.

A w ustalonej obyczajem dacie, a więc w dziesięć miesięcy, jak kiedyś od Adolfa Nowaczyńskiego o przyjściu na świat córki, zastaję znów, zostawioną na moim biurku kartkę: „Przyszędłem osobiście oznajmić, że wczoraj urodził się nam *syn*, któremu będzie *Kordjan*. I żona i chłopiec zdrowi. Michał Tarasiewicz, 20. XI. 1910“.

Dla mnie są to nad wyraz miłe dokumenty takich uczuć, na jakich zdobyte pracowałam w życiu.

A latem następnego roku, na naszych poduszkach w Konstancinie, gdzie jeździliśmy, w wolne dni od pracy, mając tam rocznie wynajęty pokój z tarasem dla wypoczynku, spał, po trudach ciężkiej podróży, odbytej z Rodzicami z Warszawy do nas, śliczny kilkomiesięczny chłopuś. Mając zaszczyt należeć nawet do Rady opiekuńczej osieroconego chłopca, nie przynoszącej zresztą żadnego trudu, doznaną jedynie radości, że wszystkie dodatnie cechy charakteru, a nawet układu Ojca, spotęgowane urokiem Matki, odnajduję w Kordjanie.

\*

\*

\*

W roku 1919, Tarasiewicz objął kierownictwo Teatru Lwowskiego, i niebawem Mąż mój otrzymał od niego list następującej treści: „Niniejszem uprzejmie proszę



i upoważniam Sz. P. Dyrektora, aby był łaskaw reprezentować, zastępować i pośredniczyć w Warszawie, Dyrekcję Teatrów Miejskich we Lwowie, porozumiewanie się z Autorami, Kompozytorami, Tłumaczami i Artystami, wszelkiego rodzaju. Z wysokim poważaniem M. T.“.

Józef Kotarbiński chętnie podjął te obowiązki, rozumiejąc potrzebę takiego wzajemnego porozumienia się i współpracy z pożytkiem dla obu teatrów polskich, nierozdzielonych już „Kordonem“.

Korespondencja odtąd trwa ożywiona. W jednym z listów Tarasiewicz pisze: „Wielce Szanowny i drogi panie Dyrektorze! Potrzeba dopiero przerwy w widowiskach, z powodu Wielkiego tygodnia, żebym mógł zasiąść do swobodnej korespondencji. Niech drogi pan mój nie gniewa się na mnie, że nie odpisywałem na kilka Jego listów, ale, doprawdy, nie mam kiedy. Dzień za dniem mija w kieracie, jakich chyba mało, a te trzy działy, w jednym gmachu, to tylko poto, aby skończyć... w Kulparkowie! Jakoś płynę i wypływam, od czasu do czasu, wcale znośnie, ale nieraz mam wrażenie, że okręt tonie wśród tych wzburzonych fal i fatalnych stosunków ogólnych.

Z takichże przyczyn prześlepilem dzień 6-go Józefa. Na trzy dni przed tą datą dostałem polecenie urzędnika uroczystych dwu przedstawień ku czci Naczelnika Państwa, po południu dla żołnierzy bezpłatne i wieczorem galowe. Roboty było dużo i, o! imieniny Pana przyszły, choć do żony pisałem, aby była u Państwa, co się też stało. Więc dziś ślę życzenia. A ponieważ wiem, jak zawsze jest Pan oddany Ojczyźnie i Sprawie, więc życzę Panu, aby jaknajprędzej Polska była

wielka i silna, a Jej synowie, aby się wzięli do usilnej pracy ochoczo a serdecznie. Potem zjawi się i pieśń czysta i wielka sztuka rodzima“. Dalej prosi o przesłanie listu do Tatarkiewicza i przynaglenie go do szybkiego tłumaczenia „Panienki z Okienka“. O przysłanie sztuki Macieja Wierzbńskiego: „Dwie Kobiety“. Zawiadamia, że daje operę Alfreda Statlera, że „Saul“ odniósł sukces, grany świetnie, reżyserowany bajecznie przez Frączkowskiego z tłumami ruszającymi się niby u Reinhardta, że „Kupiec Wenecki“ z Żelazowskim w roli Szylocka wypełnił teatr dziesięć razy z rzędu. Że Mieczysław Fijałkowski nie przysyła dotąd, mimo nalegania „Pana Posła“. I, dodaje, że „wszelkie wysiłki nie kryją wydatków, a Dyrektor Opery żąda 60 do 100% podwyżki.

Dalej dziękuje za listy, egzemplarze sztuk obcych i oryginalnych, treści przeczytanych i poprawionych.

A w końcu dodaje: „Najmilsze stosunki łączą mnie z Prezydentem Chłamtaczem, natomiast Prasa mnie różnie w dalszym ciągu stale — ja nic. Pracuję“.

\*

\*

\*

A kiedy wraca znów do Warszawy, jest niemal codziennym naszym gościem — na zakończenie dnia. Umowa staje taka, że, o ile światło jest w pokoju jadalnym, to nawet wracając z teatru, a mieszkał w tej samej, co my dzielnicy — zawsze będzie mile witany.

Rozmowy o teatrze trwały do późna w noc.

Kiedyś wychodzi o 3-ej nad ranem. W przedpokoju pyta go mój Mąż:

— Znasz pan tę sztukę, panie Michale?

— Nie znam.

— E, to ja Panu jej treść opowiem...

— Na miłość Boską — już nie dziś, wtrącam błagalnie, i, na szczęście, opowiadanie treści odłożone zostało — do jutra. Ci ludzie kochali teatr i twórczość.

\*

\*

\*

Żonę i syna ubóstwiał.

Życie domowe było pełne pracy i pełnienia obowiązków.

A kiedy w roku 1925 wyjeżdża do Lwowa w sprawach osobistych i handlowych, żegna nas obietnicą szybkiego powrotu do rozmów o niewyczerpanych nigdy tematach.

W dziesięć dni, o 8-ej rano, budzi mnie telefon:

— Czy sama pani?

— Ja.

— Michał nie żyje.

Wpół godziny byłam w ich domu.

Umarł nagle, w powrotnej drodze ze Lwowa, między Lublinem o Warszawą. Żonę zawiadomiła policja w nocy o nieszczęściu.

Wyjeżdżał ze Lwowa zdrowy, o czym świadczyły relacje przyjaciół Jego, u których miał gościć, Sz. pp. Profesorostwa Gubrynowiczów.

Potem już tylko plakaty: ś. p. Michał Tarasiewicz, artysta dramatyczny, b. dyrektor teatrów, Prezes Zarządu Akc. Tow. „Pluton“, zmarł, przeżywszy lat 51.

A w „Kurjerze Warszawskim“ w dni parę ukazało się „Wspomnienie Pośmiertne“, streszczające ży-

wot Jego pracowity, które, chociaż przekracza zakres moich notatek, przytaczam w całości, ze względu na dużą spójnię duchową, łączącą ich autora ze zmarłym.

„Wieść o nagłej śmierci Tarasiewicza tknęła mnie boleśnie. Według zwykłego porządku rzeczy ludzkich mniemałem, że mnie przeżyje, tymczasem oto zegnać mi go przychodzi słowami żalu i bratniej sympatji.

Staął mi żywo na myśli smukły młodzieniec, gdy w r. 1892 odznaczył się we fragmencie „Zbójców“ w roli Karola Moora na popisie klasy dramatycznej przy Tow. muzycznym, gdzie razem z Władysławem Szymanowskim prowadziliśmy praktyczne studia sztuki aktorskiej. Obdarzony pięknym głosem i sympatyczną powierzchownością, inteligentny, pełen zapału i górnych aspiracji, Tarasiewicz, wyniósł ze szkoły poprawną, pięknie wyrobioną dykcję, kult dla poezji, harmonizujący z jego wrodzonym estetyzmem.

Odbywwszy nowicjat na scenie w Łodzi, wstąpił do teatru krakowskiego w r. 1899 za mojej dyrekcji. Teżoż roku w listopadzie odniósł piękny tryumf aktorski, jako wykonawca głównej roli w *Kordjanie* Słowackiego. Pierwsze przedstawienie tego poematu stało się pamiętnym wypadkiem nie tylko w dziejach sceny krakowskiej. Zaczął się wtedy nowy rozkwit wielkiej poezji w teatrach polskich. Był to wstęp do epoki neoromantyzmu, którą tak uświetnił zaraz potem Wyspiański. W roli Kordjana Tarasiewicz ujął wszystkich technieniem młodzieńczego marzycielstwa, wcielił się w duszę szlachetnego patryjoty-spiskowca, był tłumaczem uczuciowej głębi bohatera, rzeźbiąc artystycznie wiersz Słowackiego. W krytyce głos Tarnowskiego Sta-



niślawą rozległ się, jako gorący aplauz dla młodego artysty.

W początkach bieżącego stulecia na scenie krakowskiej Tarasiewicz zdobył sobie sympatję i uznanie, jako wykonawca całego szeregu ról poetycznych. Oddał z powodzeniem tragizm uczucia Don Carlosa w poemacie Szyllera, melancholję cichą rozpacz Zbigniewa w „Mazepie“ Słowackiego. Był mile fantazującym Percinetem w „Romantycznych“ Rostanda, pełnym animuszu Sawą w „Srebrnym śnie Salomei“, starościem w „Księdzu Marku“, uwydatnił szczęśliwie arystokratyzm i poczucie dziejowej misji hrabiego Henryka w „Nieboskiej Komedji“ Krasińskiego. Odtwarzał także wiele poważnych ról w dramatach współczesnych, a między innemi oryginalną postać belgijczyka w „Matce“ Przybyszewskiego, nadając jej ciekawy egzotyczny charakter.

Potem na scenie lwowskiej grał główną rolę w tragedji Romanowskiego „Popiel i Piast“, odznaczył się, jako poeta, w „Weselu“ Wyspiańskiego, trafnem ujęciem tonu lekkiego fantazjowania.

Za dyrekcji Ludwika Solskiego w teatrze krakowskim, podczas gościnnych występów, stworzył jedną z najlepszych ról swoich, oddając artystycznie subtelne arabeski ciekawej postaci „Fantazego“ z odcieniem głębszej ironji, z jaką Słowacki traktował romantyczne pozy swego bohatera.

Podczas wojny, jako poddany austriacki, wysiedlony z Warszawy zrazu do Riazania, brał czynny udział w ruchu teatralnym polskim w Moskwie i Kijowie, gdzie razem z Osterwą i Jaraczem chlubnie świadczyli o naszych talentach na scenie i gdzie grał obok ról daw-



niejszych „Księcia niezłomnego“ Calderona w cudnej transkrypcji Słowackiego. Po wojnie w r. 1919 stanął na czele teatru lwowskiego, jako dyrektor z ramienia władz miejskich. W latach 1921 i 1922 pracował gorliwie, jako dyrektor artystyczny teatru Rozmaitości w Warszawie. Popierając na tem stanowisku głównie repertuar oryginalny, wprowadził na scenę między innymi: „Dzieje salonu“ Wroczyńskiego, „Miasto“ Przybyszewskiego, „Wierną kochankę“ Fijałkowskiego „Straszne dzieci“ Roztworowskiego, „Sublokatorkę“ Grzymaly-Siedleckiego, z wielkiego zaś repertuaru „Marję Stuart“ Szyllera w nowym przekładzie i nowej inscenizacji.

Jako artysta, Tarasiewicz zyskał sobie w dziejach sceny polskiej zaszczytną kartę, stojąc wiernie przy sztandarze piękna i poezji.

Wrodzona inteligencja, poparta smakiem i wyższą kulturą artystyczną, wysuwały go parę razy na stanowiska kierownicze. Miłość dla sztuki nie była u niego zdawkowym frazesem, ale czynną siłą wewnętrzną jego duszy. Na drodze swej spotykał nieraz ciernie i przeszkody, nie umiał bowiem kariery popierać manewrami polityki zakulisowej, brał żywo do serca sprawy krajowe i perypetje życia teatralnego, nawet w tych latach, gdy nie brał w niem czynnego udziału. Człowiek nieposzlakowanej, kryształowej zacności w teatrze, w życiu praktycznem, w domu rodzinnym zacny mąż i ojciec, szanowany przez wszystkich, którzy go mogli bliżej poznać i ocenić.

Ze ściśnionem sercem rzucam tę garstkę wspomnień na trumnę zasłużonego pracownika i artysty, jednego

z najmiłszych dawniej moich uczniów, dobrego kolegi i wiernego przyjaciela.

Józef Kotarbiński“.

I koniec?

Koniec życia chwilowego, ale nie jego syntezy wiekuistej. Bo, co dobre i piękne, nie ginie. Snuje się nicią nierozzerwalną w przyszłość. Wplata się w codzienność żywota drugich i zostaje w dorobku ogólnego dobra duchowego, tej dźwigni wszechrzeczy i wszechistnienia.

## LUDWIK SOLSKI. ALEKSANDER ZELWEROWICZ.

Mistrz nad Mistrzami. Pracownik nad Pracownikami. Zawsze niezawodny — artysta. Niestrudzony kierownik.

Na scenie krakowskiej podczas dyrekcji Kotarbińskiego był tylko rok.

Na mocy zawartej umowy przeszedł po roku do Lwowa.

Niestety!

Objąwszy po sześciu latach teatr krakowski, nieustannie prowadził z Mężem moim korespondencję — a mnogie listy jego, pełne charakterystycznych cech, odnoszących się do stosunku z gminą, prasą i t. p. cho-wam jako dokumenty zapadłej w przeszłość epoki, które zajmą niezawodnie przyszłego teatrologa, kiedy je będzie przeglądał, pisząc o teatrach polskich. Dla Męża mego był zawsze pełen koleżeńskiej uprzejmości, więcej nawet powiem, pewnego sentymentu, ten wielki twórczy artysta o tak szerokiej skali talentu.

W r. 1911, zaprosił Kotarbińskiego na gościnne występy: w „Weselu“, „Zemście“ i „Kupcu Weneckim“, a po ich ukończeniu pisze: „Przyjazd Dyrektora był dla mnie prawdziwym zaszczytem, tem bardziej, że utwier-

dził kochany Dyrektor wiarę, iż węzły koleżeńskie i przyjazne zacieśniły się między nami silniej“.

Bardzo ładna jest taka kurtuazja, która ciągnie się przez cały czas znajomości.

W książce, wydanej przez Komitet Jubileuszowy ku uczczeniu 50-cio lecia pracy artystycznej Solskiego, w słowie wstępnem — Stanisław Miłaszewski pięknie mówi o wielkim Artyście:

„Ten mistrz dykcji, fanatyk pieczołowitości, pracujący w żmudzie benedyktyńskiej iście cierpliwości nad każdym szczegółem roli, — na scenie wobec tłumy widzów zdobywał się nie rzadko na ekstatyczny lot opętanego boskiem szaleństwem improwizatora. Jako dyrektor, reżyser i aktor apostołował wielką poezję narodową, pojmując, iż niesie ona nie tylko rozkosz estetyczną, ale jest także narzędziem mistycznym przy odbudowie państwa, pionem moralnym, chroniącym od krzywizny ściany ojczyste, wznoszone z gruzów rękoma narodu“.

W tejże samej książce, Józef Kotarbiński pisze o znakomitym swym koledze, cechując „naturę jego talentu“.

„Ludwik Solski należy do najwybitniejszych twórców, zapelniających swymi kreacjami świat teatralnej uludy. Jego trud półwiekowy na polskich scenach przenikniony jest wielką pasją artystyczną, zamiłowaniem i nieustającą w swym pochodzie ambicją, dążeniem do możliwie największej czynnej ekspansji sił.

...Jego krzepka, zwiśla cielesność nadaje się zawsze do giętkich, rzutkich ruchów, gestykulacja bogata, pomysłowa, związana ściśle z charakterem roli, głos tenorowy, podatny do różnorodnej koloryzacji dźwięków. Wrodzone warunki fizyczne pozwalają mu na prometeu-

szową zmienność i rozmaitość wcieleń teatralnych“. Tu następuje długi szereg znamiennych ról Artysty, z nadmienianiem, że: tworzył czasem arcydzieła z małej nie-mej roli, — jak wiarus w „Warszawiance“ Wyspiańskiego; za pomocą skupienia i rytmiki gestów, chwijnego wysiłonego kroku, munduru, zbryzganego błotem, okrytego pyłem bitewnym, wysiłku żołnierskiej służbistości, wywarł głęboki, przejmujący efekt, oddając poezję ofiarnego milczenia... Nie hołdował żadnej jednostronnej doktrynie, ani metodzie, nie był fotografem, niecierpiał szablonu... starał się każdą postać oprzeć na odrębnej podstawie genetycznej.

...Solski zawsze przekonywa, narzuca mocno swą wizję, wrażliwości widza, przejmując często do głębi, nierazdko przykuwa.

...Solski rozwija bajeczną pracowitość, niezużyty, nieznudzony ani na chwilę... wciela się w najgłębsze i najsubtelniejsze tajniki organizmu sceny, jako aktor, pedagog, reżyser i dyrektor artystyczny. Gdy prowadzi sztukę na próbach, informując młodych lub mniej wytrawnych artystów, gra nietylko za siebie, ale czasami za kilku kolegów. Talent jego wzmocniony bystrą inteligencją sprawia, że jest zawsze żywotny i niezmordowany. Jest nietylko znakomitym, ale najbardziej produkcyjnym, polskim aktorem, reprezentując tę zdrową dziedzinę naszej kultury teatralnej, w której nerwem sceny jest poezja człowieka i jego duszy, skojarzona z rasowym poczuciem piękna“.

*Aleksander Zelmerowicz.*

To było oczko w głowie sceny krakowskiej.

Podobno było tak: został zaangażowany jako bardzo



jeszcze młody człowiek. O wartościach jego niewiele wiadano, jeszcze nie na tej scenie nie grał, kiedy zachorował Popławski, aktor doskonały, wyrobiony już służbą dla sceny.

Na próbie miał chwilowo markować jego rolę Zelwerowicz.

Tymczasem markował tak znakomicie, że już przy roli został, tem więcej, że niedomaganie kolegi się przedłużało.

Tego wszystkiego ja nie pamiętam, ale taka była legenda, powtórzona mi teraz, na świeżo, przez koleżankę p. Sznagę, artystkę, która także była u nas jakiś czas, zdobiąc zawsze scenę wyjątkową urodą. Ale natomiast, to już pamiętam na pewno, że po pierwszym sezonie Mąż mój zawarł umowę z Zelwerowiczem na trzy lata, z automatycznym podwyższaniem gaży co sezon. Znakomity artysta może to potwierdzić, co jest znamienym szczegółem porównawczym zakulisowych warunków dawniejszych i dzisiejszych.

Wierna podjętej, w stosunku do tej mojej pracy, zasadzie, że nie mówię o talentach artystów, a tylko o nich samych, chętnie jednak przytoczyłabym zdanie poważnego krytyka o Aleksandrze Zelwerowiczu — aktorze. Szukałam takiej pomocy i po za uogólnieniem, „znakomity“, „świetny“, przeszedł sam siebie“ i t. p. nie znalazłam nic więcej. Jest to dużo. Ani słowa. Ale jakże mało w stosunku do nakładu pracy, wysiłku całej istoty aktora, kiedy wciela się w duszę innego człowieka. Więc, nie mogąc tej chęci uczynić zadość — wracam do samego pana Zelwerowicza, mego dawnego znajomego, który był i jest każdej sceny poważną podporą, a dla którego ja mam szczególną w sercu wdzięcz-

ność za niebywałą delikatność, z jaką zwracał się do mego Męża, jako starego kolegi — aktora.

Ile to telefonów kierował do mnie, kiedy mu Dyrekcja poleciła najpierw granie, a potem, po wynurzeniu pewnych motywowanych przezeń skrupułów, dublowanie roli Nowosilcowa w „Dziadach“ — z Kotarbińskim.

Ile żalu mi wyrażał, kiedy w przeddzień przedstawienia, Kotarbiński dowiedział się, że nie gra w premierze. Bo on, aktor młody, ale wyczul, co to dzieje się w takiej chwili w duszy aktora, właśnie już starego.

Nie dziwiło mnie to, bo znałam Zelwerowicza, kiedy pielęgnował ukochaną Matkę — w Krakowie. Kiedy raz stojąc za kulisami, w kierezji, z pawim piórem u czapki i kosą w ręku, czekając na swą kolej wyjścia na scenę — płakał, bo już wiedział, że ją żegnać musi.

Więc choć nie dziw, że każdą starość umie otoczyć należną opieką, że tę, tak mi bliską, szanował — niech Mu się wszystko w życiu wiedzie!

*Marjan Jednowski.* O Marjanie Jednowskim powinienym mieć może najwięcej do powiedzenia, bo widywałam go, od samego początku, bardzo często.

Żył w przyjaźni z bratem Męża mego, Eustachym Kotarbińskim, z którym razem mieszkał.

W niedzielę brat zawsze, Jednowski bardzo często, bywał u nas z nim razem na obiedzie. Mąż mój miał do niego pełne zaufanie. Ceniliśmy go jako doskonałego pracownika, zdolnego aktora, ale i porządnego człowieka o charakterze silnym, nieugiętym.

Obce mu były wszelkie kompromisy. Pracą i tylko pracą zdobywał stanowisko. Lubiany przez publicz-

ność, szanowany przez wszystkich dyrektorów, zmiany ich znosił ze spokojem, jaki mu dawało przeświadczenie nie przecenionej, ale poważnej swej wartości.

Pisywać do siebie, widując się co dzień, nie mieliśmy sposobności. Rozstawaliśmy się z prawdziwym żalem. A dopiero po dłuższym okresie, posyłam do niego kilka słów i odbieram list:

„Wielce szanowna pani, kartka, którą otrzymałem, sprawiła mi prawdziwą radość, niestety, nie nie mogę napisać na usprawiedliwienie mego milczenia, wobec okazywanej mi zawsze przez Szanowną panią życzliwości.

Co zaś do moich losów, z radością donoszę, że nareszcie pokonałem upory rodzinne i w lutym odbył się nasz ślub.

Naczekaliśmy się długo. Trzy lata. Wychudliśmy oboje, a za to teraz czujemy się szczęśliwi.

Tyle o moich sercowych sprawach, które zmieniły się na lepsze. Zawodowe nie idą tak dobrze. Atmosfera się zmięknęła. Materjalnie teatr idzie dobrze. Trzeba przyznać, że obecna Dyrekcja ma specjalne szczęście, bo np. państwo napracowaliście się nad wystawieniem Wyspiańskiego, a plon zbiera kto inny i materjalnie i moralnie...

Wyczytałem, że pan Józef zajmuje ładne stanowisko w teatrze i szczerze się tem cieszę. Z Eustachym (Kotarbińskim) gniewam się, ale ciągle myślę o jego bieliźnie, daję ją do prania, a czystą do zmiany, bo to stare dziecko jest zupełnie bezradne.

Za okazanie mi stałej życzliwości dziękuję, o pamięć proszę. M. Jednowski“.

Poślubił dzielną kobietę, która mu dała szczęście,

w spokojnym, pełnym pracy domu. Ładna córka, starannie chowana i wysoko kształcona, dopełni zadań życia.

Prostoliniorny człowiek, zamilowany w swej sztuce artysta, dobry obywatel, pełniący wszystkie obowiązki, bo wie, że „trza, aby pełnione były“.

Nie było sztuki, w którejby brakowało na afiszu jego imienia.

Każdą rolę opracował, obmyślał, dając setki typów trafnie ujętych, należycie odczutyh. Gościnne występy na scenie warszawskiej dały go poznać i naszej publiczności. Ale nie byłby dla żadnych warunków rzucił Krakowa, który mu jest drogi.

Oto wszystko. Mało i wiele.

*Józef Sosnowski.* Artysta nieprzeciętnej miary, którego zalety ocenił dyrektor Szyfman i w jakiś czas po naszym wyjeździe z Krakowa pozyskał go dla Teatru Polskiego.

Scena krakowska, do której przywykł, publiczność, z którą miał kontakt, wreszcie niezawodnie Dyrekcja, która musiała być w wielkim kłopotcie, kogo uzyskać w zastępstwie tak bardzo cenionego artysty — nie pozwoliła mu na długie rozstanie się z Krakowem. Wrócił też, w jakiś czas. Objął reżyserję na scenie Teatru Słowackiego i dotąd w pełni sił pracuje z wielkim dla niej pożytkiem.

Bardzo ceniam go nie tylko jako artystę, ale i człowieka.

Zamknięty w sobie, w różnych okresach swego życia osobistego, dawał mi dowody zaufania, co mi było drogie, a kiedy w trzy lata po wyjeździe z Krakowa



obchodziłam (jak mi mówiono: „Pierwsza kobieta w Europie, a może i na świecie”), dzień skończenia pięćdziesięciu lat, a więc zamknięcia rachunków z młodością, jak się okazało — bez deficytu, bo dostałam parę tysięcy róż (był to czerwiec) i setkę listów, Sosnowski pisał mi z całą galanterją: „Są rzeczy nieprawdopodobne, w które przez grzeczność uwierzyć trzeba, skoro to wola pani. Ale kto potrafi tak pięknie czuć i odbierać tak żywo wrażenia, ten liczyć lat nie powinien“. Jeszcze wiele wyrazów, których już przez skromność nie powtarzam, bo są zbyt pochlebne, a potem „o przyjęcie najserdeczniejszych, najszczerzych życzeń w dniu trzydziestoletniej rocznicy urodzin prosi Józef Sosnowski“.

20 lat ujął mi kochany i łaskawy kolega, 20 lat od tej doby upłynęło — przeciętna 50, więc znów bez deficytu.

Bodaj to mieć do czynienia z grzecznymi ludźmi. Odwdzięczam się paniącią, bo dokument miły, dziś jeszcze, sprawia mi przyjemność kiedy go odczytuję.

*Leon Stęporowski*, aktor starej daty, przesiąknięty nie tylko życiem teatru, ale i *teatralnością*.

Zacności człowiek, sąsiad z wyższego piętra tego samego domu, co my, mieszkający z rodziną, ale jeszcze nie mogący zgodzić się z tem, żeby aktor mógł być na zewnątrz *sobą*. I, ani rusz nie można mu było wytłómaczyć, że właśnie może sobie na to pozwolić, boć aktor to tylko forma, pod której powierzchnią może przecież równie dobrze mieścić się solidny człowiek, jak zgrywający się, okłamujący innych, a najwięcej siebie, kabotyn.



Tego rozumieć nie chciał i rozumieć nie potrafil.

— Oto — jakże, jakże ja bym mógł np. Dyrektorowi X. X. powiedzieć, co ja o nim myślę?

— Zapewne, że niepotrzebne weredyctwo niemal zawsze jest zgoła zbędne. Ale poszanowanie dla swej wewnętrznej prawdy — jest człowiekowi przynależne.

To przechodziło jego kręgi myślowe.

— Prawda, prawda jest mojem marzeniem, powtarzał bez końca.

Czasem bywa taka psina, co się kręci zawzięcie koło własnego ogona, naszczekuje, warknie i znów w koło... nie wiedzieć poco.

Nasz kochany sąsiad był mu podobny i przychodził często zgryziony, zirytowany, zawsze z tego samego powodu, że nie mógł mówić *prawdy*.

— Znów tego mu dziś nie powiedziałem, czego był wart — biadał.

Kręcił się w labiryncie jakichś pojęć, nabytych w prowincjonalnej wędrownicy, które najniepotrzebniej zatrzymały wrodzoną jego pogodę.

Ileż to razy pytał: „W jakim celu pan to powiedział?“, albo „Zauważyłem pani uśmiech wczoraj, kiedy“...

A ani „pan“, w powiedzeniu swem, ani „pani“ w uśmiechu, nie mieli żadnych innych usprawiedliwień nad te, które powodowała dana chwila. Ot, „kąć widzenia, punkt widzenia“.

Stępkowi, bo tak nazywaliśmy go za kulisami, zdało się, że zdobył szczególne względy Wyspiańskiego, bo go kilka razy zaprosił do siebie i długo z nim rozmawiał, obiecując mu rolę w „Wyzwoleniu“.

Tymczasem Wyspiański, naogół, nie rozrzucał swych sentymentów. Wszędzie, gdzie tylko mógł, upewniał nas

o swej „nienawiści“ i usprawiedliwiał ją. Potrzebował — najniezawodniej obserwacji nad tą duszą i... rolę mu dał w „Wyzwoleniu“, „Starego Aktora“, ale włożył mu w usta:

„Mój ojciec był bohater, a ja to jestem nic,  
W błazeństwie dzieł udanych, w komedji wiecznej prób,  
Ja się rumienię, wstydzę, wstyd biorę wasz do lic,  
Mój ojciec był bohater, a my jesteśmy nic!“

Stępek rolę odegrał. ale z Wyspiańskim zerwał.

Do nas był przywiązany. Dzieci, które w kolysce widziałam, starannie chował.

W liście, pisanym do Męża z Krakowa w roku 1914, już, jako emeryt, prosi go o poparcie „Pamiętników“, które skreślił, a które mimo bardzo wielu interesujących szczegółów, nie znalazły dotąd wydawcy. Piszę nam, że „jeden syn jest aktorem, choć wolalby, żeby był szewcem. Drugi za to kończy Uniwersytet, pracując na polu literackim“. I ten właśnie, p. Janusz Stępowski, którego w kolysce widziałam, jako syn, starego naszego przyjaciela, z całą gościnnością jest przyjęty w naszym domu. Tem więcej, że już i na polu twórczości zdobył pewne uznanie, napisaniem piękną, staropolską mową, w czem znać ucznia Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie, „Turniej żywych szachów“, ilustrowany przez p. Ludomiłę Lowiankę. Pierwsze przedstawienie tej arcy oryginalnej rzeczy, odbyło się na dziedzińcu Wawelskiego Zamku, z okazji uroczystości sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju, w dn. 29 czerwca 1927 r. Widowisko wystawiono w inscenizacji i reżyserji Antoniego Piekarskiego.

Z zaświatów, cieszy się tem stary ojciec, który do

końca prowadził szkołę wymowy, dla tych, którzy ją mają wadliwą i mówił kończąc list: „Tobie, kochany kolego i Dyrektorze, dziękuję za list. Pani rączki całuję, a ile razy biorę emeryturę, zawsze ją wspominam ze czcią, boć jeżeli ją mamy, to Obojga Was niepomierne w tem zasługa“.

Mile takie wspomnienie „Starego Aktora“.

*Sobiesław Bystrzyński*, urodzony lekki amant i na scenie i w życiu.

Doskonale od natury wyposażony w urodę, dystynkcję, słodycz głosu i dykcji, którą brał ludzi na widowni i poza nią. Wsławił się rolą Gucia w „Ślubach Panieńskich“ Fredry, której nikt nigdy nie tylko nie zagrał lepiej od niego, ale nikt tak, jak on.

W 50-lecie pracy jego na scenie, zorganizowaliśmy uroczyste przedstawienie. Teatr przepełniony. Mowy, kwiaty, dary.

A ponieważ w wolnych chwilach łowienie rybek — bez aluzji, a może i z aluzją, było ulubioną jego rozrywką, więc odemnie dostał — wędkę, „najpiękniejszą, jaka była we Wiedniu“. „Le dernier cri“, angielska, stalowa z kołowrotkiem i t. d., pisał mi ktoś, kogo o załatwienie tego sprawunku prosiłam. Po jubileuszu odebraliśmy list z podziękowaniem za „ujmującą serdeczność, którą we wszystkim wyczuwał“. Ale kiedy dostał emeryturę — już ani razu nie przestąpił progu teatru. Rys, który często się u artystów powtarza.

„W staropanieństwie najczęściej kryje się jakiś dramat. W starokawalerstwie przeważnie egoizm“, mówił mój Mąż. Obserwacje moje często to sprawdzały. Sobek był nie żonaty.

Na starość, samotny — łowił rybki — w czystej wodzie, już bez żadnych aluzji.

*Andrzej Mielewski*. Młody, zdolny artysta z ładnym głosem i zdawało się dobrymi warunkami. Grał dużo i dobrze.

Nieszczęście przynosi do Krakowa Tarasiewicz, który ma więcej wrodzonego uroku, lepszą dykcję, dość twardą u Mielewskiego, i... bierze go.

Ten to czuje.

Po latach pracy i nabytej z nią rutyny, marzy o „Kordjanie“. Gra go Tarasiewicz.

Chciałby grać „Don Carlosa“.

Gra Tarasiewicz.

Grał kiedyś dawniej Zbigniewa. Znów gra Tarasiewicz, bo ma czar poezji na scenie, urok młodości, ma zapał, podniecony powodzeniem.

— Panie Dyrektorze, ja jestem nawet na operację z oczami przygotowany! Miał jedną źrenicę nieruchomą, — mówi Mielewski.

Rozbeczałam się, kiedy mi to mój Mąż powiedział.

Co to musi cierpieć taki aktor!

Ale znów, jakże tu zażegnać tę niedolę.

Na jego szczęście Tarasiewicz, po roku, wyjechał do Lwowa.

Mąż mój, chcąc radykalnie wygoić rany jego ambicji, mianował go drugim reżyserem (pierwszym był Adolf Walewski, pracowity i inteligentny artysta), i odtąd życie Mielewskiego popłynęło spokojnie, tem więcej, że miewał znakomite kreacje w swoim repertuarze, jak: Sawy w „Śnie srebrnym Salomei“, małą, ale świetną

rolę „Nieznajomego“ w „Kordjanie“ Kossakowskiego w „Księdzu Marku“.

W scenie z Siemaszkową. w karczmie, nie wyrazi. skry im obojgu z ust się sypały, zdawało się, że swym żarem scenę spala.

Toteż po rozstaniu już w lat parę, pisze między innymi:

„Łaskawy i dobry panie Dyrektorze!

Z pism dowiaduję się o nominacji pana na kierownika literackiego sceny. Tak bardzo mnie ta wiadomość rozradowała, że piszę, aby ją choć w krótkich słowach wyrazić. Cieszę się, że warszawska scena odżyje tak, jak przed laty krakowska, która pod pana kierunkiem stała się przybytkiem sztuki, a choć pan za to orderu nie dostał, to ludzie mówią, że dzięki Kotarbińskiemu teatr krakowski wszedł na poważne tory. Osobiście, całą moją karierę na scenie krakowskiej kierował pan Dyrektor i za to kreślę mu wyrazy prawdziwej wdzięczności — z jaką zostają Andrzej Mielewski“.

Wyrobiony artysta objął potem kierunek sceny teatru Łódzkiego i na tym stanowisku przedwcześnie umarł.

\*

\*

\*

*Michał Przybyłowicz.*

„Dowiedziałem się z dzienników, że pan Dyrektor na mój dochód daje poniedziałkowe przedstawienie, zrobiwszy tak doskonały wybór dzieła. Jak mam dziękować panom kolegom i paniom, które zajęły się sprzedażą biletów...“ 1905 rok.



„Błagam o natychmiastową odpowiedź do Buska, pod adresem J. S., bo jestem za jego paszportem...” 1904 r.

„Serdeczne dzięki składam czcigodnym i szanownym moim Dyrektorstwu za nawiedzenie mnie w mojem nieszczęściu i za to, żeście mi nie odmówili gaży. Oby Bóg, który mnie tak ciężko dotknął, dal to szczęście, bym mógł wam odrobić świadczone mi dobrodziejstwa”.

„Kochanej, dobrej Pani, Bóg zapłać” proszę odemnie złożyć podziękowanie p. Macharskiemu...” 1905 r. (p M. prowadzący firmę „Hawelki”, której był właścicielem, zawsze darzył swą sympatją teatr i Artystów).

„Z wielkim żalem dowiedziałem się, że pan Dyrektor nie wniósł oferty na dzierżawę teatru. Ja tak liczyłem na panią Dyrektorową, że tylko jej zawdzięczać będę moją egzystencję. Tymczasem rozstaniemy się wkrótce na zawsze. Co ja pocznę!

Pisania nie dają mi od miesiąca. Pozostanę bez żadnych środków utrzymania, co się tyczy emerytury, to jest ona szyderstwem z aktorów i prawa państwowego...” 1905 r.

\*

\*

\*

I któż to pisze te listy? Czyżże to rysuje się obraz życia?

Artysty i to znakomitego artysty. Dobrego męża i ojca, wykształconego i przeznaczonego człowieka.

Na scenie, podczas przedstawienia, nastąpił bezwład nóg i już potem ciężkie borykanie się z nieszczęściem.

Jeszcze i w r. 1909 odbieramy od niego kartę razem

z żoną i synem, w której pisze, „Mnie dobrze“. Warunki egzystencji ułożyły się“, ale na scenę już nie wrócił ten doskonały aktor i sumienny pracownik.

*Antoni Bednarczyk* zawsze najcichszy z cichych, pracował rzetelnie, pełnił czego się podjął. Dużo grał. Mało mówił. Uszedł mi i darować sobie nie mogę, że wtedy nie przeczułam, jakie to ziółko koło nas rośnie. Wyjechał do Warszawy. Imię tego cichego, a tak głośnego wśród aktorów — człowieka, otaczam zawsze najwyższą czcią.

*Brydziński, Stanisławski, Krzewiński*, którzy dziś zajmują duże artystyczne stanowiska, byli młodymi ludźmi, z zapowiedzią jednak tego — co osiągnęli talentem i pracą i czego dziś — dotrzymują.

*Franciszek Dominik* aktor i staranny inspicjent, autor kilku sztuk ludowych.

*Knake-Zamadzki*, doskonały aktor, z którym ostatnio spotkałam się w Schronieniu Artystów-Weteranów Scen Polskich w Skolimowie.

*Miarczyński*, sympatyczny młody chłopiec, który to wyjeżdżał — to znów, po czułym do Dyrekcji liście — wracał.

*Jejde* — stary doświadczony aktor i zacny człowiek.

---

A kiedy ogarnę myślą całe to społeczeństwo aktor-  
skie, z którym żyłam tyle lat, a przez pewien czas — na

codzień, to jednak z największym szacunkiem i uznaniem myślę o Związku Artystów Scen Polskich, który podnosi wartości stanu aktorskiego i walczy o pełne kontrakty, pełne emerytury, zabezpieczenie starości dla tych, którym zawdzięczamy tyle radosnych chwil.

A że szczęście było zawsze towarzyszem mego życia, więc oto: 12 października 1925 r. odbieram takie pismo:

Szanowna Pani!

Zawiadamiamy Szanowną Panią, że Zarząd Główny Z. A. S. P. na posiedzeniu w dniu 11 b. m. w uznaniu zasług, położonych dla dobra naszej organizacji, postanowił powołać ją w poczet członków nadzwyczajnych Z. A. S. P.

A w roku bieżącym odbieram znów pismo, które brzmi jak następuje:

„Szanowna Pani!

XIII Walny Zjazd Delegatów Z. A. S. P. ma zaszczyt zawiadomić Sz. Panią, że powołał ją na Honorowego Przewodniczącego XIII Walnego Zjazdu.

---

Za co mnie spotyka to, co mi jest nad wyraz drogie—nie wiem. Wiem jednak, że mi przybywa w każdym z takich dni jedno więcej zobowiązanie wdzięczności względem wiernie towarzyszącej mi ludzkiej dobroci.

## BOLESŁAW PUCHALSKI.

Kreślę trzy sylwetki skromnych ludzi, o których mało pisano za życia i mało po śmierci. A jednak byli to ludzie, którzy prawdziwie kochali scenę i służyli Sztuce z całą gorliwością prostych serc.

\*

\*

\*

Od pierwszej chwili zwrócił moją uwagę za kulisami jeden z aktorów, pewno dlatego właśnie, że nie chciał zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Cichy, na małym stanowisku, z małą pensyjką, nie narzucał nikomu swej osoby. Trzymał się zdala od wszystkich. Natomiast, o ile grał, choćby nawet statystował, co u nas zresztą nie należało do degradacji stanowiska, ponieważ zdarzyło się, że i pani Bronisława Wolska i Józef Kotarbiński statystowali w którejś sztuce Przybyszewskiego bez żadnej ujmy dla swego honoru, otóż, o ile choćby statystował, to już wtedy trzymał się nie zdala, ale jak najbliżej rampy i publiczności.

— Panie Puchalski, na miłość Boską, tyle razy pana prosiłem, nie pchaj się pan na rampę!

— Panie Puchalski, wlecisz pan napewno w orkiestrę, — wołał reżyser.

— Puchala — do kroćset! Głuchy jesteś — wybuchał nareszcie znecierpliwiony.

Wszystko groch o ścianę.

Na próbach nieco się hamował, cofał się z wyrazem „gadać zdrów“, ale, na przedstawieniu, zawsze stawał po lewej czy prawej stronie przed samą rampą, lewą czy prawą nogę wystawiał naprzód, wyprężał się, zbierał się w sobie, niby koń do skoku i... kwestję swoją wypowiadał bezpośrednio do publiczności. Na to nie było ratunku.

Przyznać trzeba, że robił to zawsze z rozbrajającym przeświadczeniem o ważności swej roli na scenie, choćby to był jeden wyraz. To świadczyło o jego artystycznych umiłowaniach teatru. Był to bardzo uczciwy człowiek, delikatny, uprzejmy, bez cienia uniżoności, raczej ambitny i dumny. Miał pragnienie być czemś i kimś na scenie, był, niestety, z powodu nieszczęśliwych warunków, prawie nikim. Żał mi go było.

Wzrost miał średni. Ramiona podniesione. Duża głowa, osadzona na krótkiej szyi. Oczy na wierzchu, jak u żaby. Głos ciężki. We wszystkich jednak sztukach wielkiego repertuaru miał on zawsze jakąś małą rolę, czasem dwie. Na próbach sumiennie bywał. I... los swój niósł, z wiekuistym żalem, że nie grał Romea, którego „czuł“, jak żaden z tych co go „brzydzą“. Ale cóż? „Nie miał szczęścia“, i w tem tylko upatrywał przyczyny zawodów.

— Panie Puchalski, może mi pan pomoże — zwraca-





*Marja Przybyłko - Potocka*



*Mieczysława Ćwiklińska*



*Ludwik Solski*

lam się do niego często, widząc, jaką mu to robi przyjemność, że może stać się potrzebnym, choć naprawdę nim nie był.

— Panie Puchalski, niech mi pan poradzi...

— Panie Puchalski, niech pan pójdzie ze mną do rekwizytorni i zadecyduje, co mam wybrać... (a co, mówiąc nawiasem, dawno już było zdecydowane). I na takich oto drobnostkach podstawach kokieterji z mej strony utrwałała się nasza przyjaźń.

Pan Puchalski myślał, że bez jego rady i pomocy obejść się nie mogę, a ja myślałam, że choćby chwilę złudzenia dać komuś, kogo rzeczywistość nie pieści i kto „nie miał szczęścia“, to i to dobre.

Były czasem z panem Puchalskim i zabawne epizody.

Przychodzi raz do mnie nasza przyjaciółka teatralna, żydówka Fragnerka, której już parę wspomnień poświęciłam na innem miejscu, i mówi mi:

— Pani Dyrektorowo, u tych Puchalskich to straszna bieda. Ona niema w co się ubrać, koszula i fartuch w domu. A z domu nie wychodzi.

Natychmiast zrobiła się paczka, i, oczywiście, bez wymienienia od kogo, boby nie przyjęła, miała Fragnerka polecone, pod pozorem propozycji okazynego kupna, wręczenie najpotrzebniejszych narazie rzeczy pani Puchalskiej. Ale, był to paljatyw. Chciałam radykalnie pomódz coś tym ludziom.

Więc, rada w radę z panem sekretarzem Wójcickim: co tu robić? A że właśnie jeden z suflerów zachorował i na czas dłuższy, może na zawsze, musi porzucić to zajęcie, więc czemużby tego nie można dać właśnie pani Puchalskiej? Znajduję pewną opozycję ze strony administracji, która nie wierzy w jej użyteczność —

ale zwyciężam. Pan Wójcicki wieczorem ma załatwić sprawę, związaną ze stałą pensją dla suflerki.

Siedzę wieczorem w kulisie na ławeczce z którąś z pań aktorek i widzę, jak Wójcio, tak nazywaliśmy naszego, przez wszystkich kochanego, sekretarza, idzie i zbliża się do Puchały, bo tak znów nazywali go kole-dzy, stojącego w przeciwległej kulisie. Widzę, że rozmawiają.

Z początku ożywienie, po chwili jakieś zachnięcie się Puchańskiego i odwrót truchcikiem Wójcia do drzwi wejściowych. Tak czasem idzie oblany wodą pies.

Tymczasem koło nas stanęło paru aktorów, rozmawiamy po cichu.

Wtem, zbliża się, widać poirytowany Puchalski i mówi namiętnym szeptem:

— Co za myśl! Nie do wiary! Wiecie państwo, co mojej żonie ośmiela się łaskawie proponować pan sekretarz? Miejsce suflerki...

Cisza. A po pewnej chwili:

— A państwo wiecie, kto jest moja żona? Wiecie komu zrobiono tę niegodną propozycję? Jezierska — to ona.

Cisza jeszcze głębsza, bo nikt nie wie, kto była owa Jezierska.

Po pauzie znów stłumiony szept i refleksja z zapowiedzią:

— Ale komu pierwszemu ta bezczelna myśl przyszła do głowy? Komu? Dojdę i pyski spiorę.

Wtedy zbieram fałdy sukni w rękę i w koń—do domu.

Nikt już tego wieczoru w teatrze mnie nie widział. Puchała nigdy nie dowiedział się, kto był sprawcą obelgi, wyrządzonej jego żonie — Jezierskiej.

\*

\*

\*

— Grywało się, pani dyrektorowo, rolki, grywało. Jeszcze jakie! „Albo będzie pańskie nazwisko na afiszu, albo zamykam budę“, mówił do mnie dzień w dzień dyrektor, — opowiada mi pan Puchalski, z którym lubiłam rozmawiać, od tej właśnie chwili, w której zauważyłam, że jest to dla niego pewnego rodzaju — popisem. Łaknął go, a zażywał go tak mało. W wolnej chwili szukałam jego towarzystwa. Niech używa. Jego nie bolało „o chwilach szczęścia wspominać w niedoli“, bo, o ile mnie się zdaje, to te wszystkie opowieści były płodami fantazji. Ale w nie wierzył, upajał się niemi, więc cel osiągnięty.

Choć niewielka, ale regularnie wypłacana gaża, kto wie, czy właśnie nie była czynnikiem pewnego spokoju, wśród którego wyobraźnia snuć mogła barwne obrazy i sny młodzieńcze nieziszczonych nigdy pragnień, zamieniać w rzekomo przeżyte chwile.

Tak to już jest, że człowiek musi się zawsze jakoś ratować.

Nie ma szczęścia, nie miał go nigdy, ale niech choć opowie, że miał, tym, którzy tego sprawdzić nie mogą, jak to tam w rzeczywistości bywało...

Ukrył rany, czemś błysnął, zaszeleścił, okłamał, tylko siebie, ale mu lżej, bo myśli, że właśnie okłamał drugich.

— Otóż — grywało się, — mówi — grywało.

— Raz, pamiętam, gramy w X. Sala (czytaj szopa) nabita. Gramy: „Wódz na wałach“. Gram bohatera, główną rolę, piętnaście bitych arkuszy. A no, nic, gram.



Nie schodzę ze sceny. Bravo! co powiem, rrym! bravo! Po pierwszym akcie dwadzieścia razy wywołują. Gram. A żółta, nędzna jego twarz zaczyna się ożywiać, rybie oczki nabierają blasku przy tych wspomnieniach. Prostuje się, Pierś wydyma. Staje pewniej, jakby się wkopywał w nasypy wałów, jakby swą osobą nacierającym hufcom tamy stawiał, i prawi, w miarę im go uważniej słucham. Gram, biorę, publika wyje!

Nagle paraliżuje mnie... więc krzyczę, wyciągając w górę rękę z proporcem: Za mną młodzi! Na wały! Za mną! I padam. Publika ryczy, mnie wynoszą. Mowę mi odjęło, ręce, nogi odjęło. Nazajutrz leżę niemy i bezwładny. A tu wpada dyrektor:

— Musisz pan grać, buda sprzedana, co ja zrobię? Musisz.

Wtedy ja, tak, jak mnie tu pani dyrektorowa widzi, biorę w rękę rewolwer i mierząc: „Odejdź, oprawco, mówię, bo strzelę w łeb jak psu!”

Oczywiście nie strzelił. Wieczorem pewno grał. Tylko tęsknoty do tych chwil tryumfu nad tłumem nigdy dostatecznie nie zaspokoili.

\*

\*

\*

Ale pan Puchała miał także chwile prawdziwego tryumfu. Właściwe rozdanie ról odpowiednim aktorom, to znów rzecz talentu dyrektora, reżysera czy aktora, który może najczęściejby się mylił, gdyby go nie wspierały życzliwą radą siły zawodowe w tym kierunku.

Dwie niezapomniane kreacje miał pan Puchała na scenie krakowskiej, podczas dyrekcji Józefa Kotarbiń-

skiego, który niezmierną wagę przywiązywał do właściwej obsady i zawsze był zdania, że na tym punkcie praca kolektywna wydaje najlepsze rezultaty.

Rolę Batorego, w sztuce Zapolskiej, dano Puchalskiemu. Miał idealnie nadające się warunki do tej postaci, a rola polegała niemal na pokazaniu się króla na scenie i dała obraz niezatarty w pamięci swem dostojnictwem i nawet głosem, szarmonizowanym z dojrzałością stroju i surową powagą wielkiego rozumnego władcy.

Druga rola, to „Szela“ w „Weselu“ Wyspiańskiego. Był kilka minut na scenie, ale stworzył typ z momentu nieszczęsnej rzezi galicyjskiej, niezapomniany.

Pojawienie się tego „Dziada“-Upiora o bladej twarzy, wylupiastych oczach, rozczochranych włosach, okrytego łachmanem, z plamą na czole i krwią zbroczonemi rękoma, wywoływało grozę. A dreszcz przechodził po krzyżu, kiedy mówił niskim, matowym, głuchym głosem:

Dajcie bracie kubeł wody:  
 Ręce myć, gębę myć,  
 Suknie prać — nie będzie znać,  
 Chce mi się tu na weselu  
 żyć, hulać, pić...  
 jeno ta plama na czole...  
 — — — — —  
 widzisz w orderach chodzą ja Szela!!  
 — — — — —  
 Przyszedłem tu — do wesela,  
 Bo byłem ich ojcom kat.

\*

\*

\*

Upłynęły lata.

Naraz, zjawia się u nas, w Warszawie, kto?

Pan Puchalski. Postarzał. Głowa jeszcze bardziej wrosła w ramiona. Farba z przerzedzonych włosów zachodziła na łysinę. Pochylił się. Żona umarła. Jezierska.

Powitaliśmy go bardzo serdecznie, zaprosili na obiad, na który doprosiłam jeszcze parę osób, aby było uroczysiej. Wspominali z Józefem dawne czasy, niby „lepsze“. Niezapomniałam mówić o „Batorym“ i o „Szepli“. Puchala rósł. W końcu, zwierzył mi się, że pragnie się dostać na scenę teatru Narodowego, aby w stolicy wolnej Polski mieć zaszczyt pracować.

To, oczywiście, było znów marzenie nie do urzeczywistnienia.

Ale, właśnie w tej chwili „Dziady“ Mickiewicza reżyserował pan Aleksander Zelwerowicz, i najwidoczniej, chcąc choć chwilę radości dać dawnemu, a znów staremu koledze ze sceny krakowskiej, daje mu rolę „pułkownika“.

Byłam na przedstawieniu. Patrzę i oczom nie wierzę. Bo, niemal w tem samem miejscu, jak ongi, w Krakowie, koło samej rampy, zjawia się postać, która się prostuje, pręży, wysuwa naprzód nogę w lakierowanym bucie, znów zbiera się, jak koń do skoku, dwie maleńkie kwestje, dykcją wyraźną, głosem donośnym, rzuca w publiczność jak wystrzał z pistoletu i odchodzi.

— Marzenie moje się spełniło, mówi mi nazajutrz, w stolicy wolnej Polski — wystąpiłem.

Feu brał — ale, wyjechać już, biedak, nie miał za co.

Mała emeryturka w ogóle nie zabezpieczała potrzeb starości.

Niebawem też doszła nas wiadomość z Krakowa, że

pożegnał życie ciężkie, pełne zawodów, „nieziszczonych pragnień, niewyśnionych snów“.

*Juljan Strycharski.*

Przezacny człowiek. Biedny, jak ruda mysz. Dla czego ruda — nie wiem. Ale, może nawinęło się to wyrażenie dlatego, że musiała się ona czemś wśród swoich odróżniać, jak i on był nieco odmienny.

Otóż, pan Strycharski był to ten cichy, bez wielkiego talentu, nieładny, ale rozmiłowany w sztuce, użyteczny aktor.

Pretensji nie miewał o nic — do nikogo. Wdzięczny za wszystko. Uprzejmy pracownik.

Nigdy nikomu niczem przykrem nie dał się we znaki. A choć, naogół, słowami nie szafował, jeśli ich używał — to zawsze na dobro drugich. Był jednym z tych, których się nie docenia w zamęcie pracy, ale ocenia we wspomnieniu.

Nie było prawie na świecie takiej jednostki, któraby mnie nie interesowała, jako odmiana człowieka.

Więc i z panem Strycharskim, tym skromnym cichym człowiekiem, za kulisami nieraz coś niecoś się gadało. Zauważyłam też, że z dnia na dzień chudł, coraz był bledszy i — zamyślał się beznadziejnie.

— Panie sekretarzu kochany, co z tym Strycharskim się dzieje? Niknie w oczach.

— Bieda, pani dyrektorowo. Trzeba to i owo sprawić, a tu pensja już tak ratami obstawiona, że ani weź, dalej nie ujedzie.

Zafrasowałam się. Idę do domu. Dzień był piękny. Koło trzeciej po południu przychodzi bardzo nam życz-

liwy, p. Gustaw Traczewski, stary kawaler, klubowiec, doskonale wychowany, zrównoważony urzędnik z Tow. Ubezpieczeń, ubrany zawsze jak z igły, według ostatniej wiedeńskiej mody. Mnie ujął kiedyś jednym rycerskim odruchem. Jechaliśmy powozem. Dwie kobiety i on. W chwili kiedy jesteśmy na skraju dość stromego spadku, spłoszone czemś konie zaczynają się rzucać. Niepokoją się. Przysiadają na zadach. Woźnica głupieje. Źle. Grozi może katastrofa. Jednym skokiem nasz towarzysz wyskakuje, chwytą przy pysku przerażone konie i prowadzi. Rasa się ozwała. Doskonale się spisał.

Zainteresowania jego krążyły wprawdzie między Habsburgami, plotką dworu, arcyksiężniczką Stefanją, teatrem, kobietami i klubem „końskim“. Ale taki jeden w naszym domu był koniecznie potrzebny, choćby dla równowagi. Umiał jednak kiedyś, wśród wielkiej naszej troski, przesiedzieć całą noc z nami, aby nas nie zostawić samych — ze zmartwieniem. Przepadał za spacerami w mojem towarzystwie i za moim humorem.

Przychodzi w ów piękny dzień spróbować, czy nie uda się czasem dziś mnie wyciągnąć na jakieś kilka kilometrów. A kiedy się nie decyduję, bo jest jakaś robota w teatrze — biada:

— Ta poco ja się starał o głosy dla dyrektora, kiedy odkąd jest ten teatr, to pani już przepadła.

Naraz błyska mi myśl:

— Da mi pan jakie spodnie, bo mi potrzebne dla kogoś, kto nie ma ich za co kupić, to pójdę z panem na spacer.

Roześmiał się serdecznie i, oczywiście, nietylko owe spodnie, ale całe pudło doskonałego ubrania wraz z pra-



wie nowem paltem, na jedwabnej podszewce, dostałam od mojego towarzysza spaceru.

Umówiliśmy się z Wójciem, że ubranie niby ktoś sprzedaje, że, na razie, można nie płacić gotówką, a małe raty, z pensji strącane, ułatwią nabycie tych rzeczy panu Strycharskiemu.

Oczywiście, nie utył od tego, ani nie nabral cery. Na razie jednak pewne troski były usunięte.

Dotąd wszystko w porządku.

Ale — bo jakżeby mogło odbyć się coś na świecie bez tego *ale*?

Otóż, w kancelarji na stole pana sekretarza, jest przyśrubowana żelazna puszka, w którą wpada raz wraz grosz ofiarny — na pomnożenie skrzętnie przezemnie zbieranego funduszu emerytalnego dla artystów sceny krakowskiej. Trzebaż nieszczęścia, że właśnie w chwili, o której mowa, ktoś puszkę próbował ograbić i manipulując nożyczkami, bo znaleziono potem pocięte niektóre papierki, wydobyć z niej, co się dało.

Jednocześnie zaś Strycharski ukazuje się, nie roztyty wprawdzie, jednak z dobrą miną, w świetnych spodniach i pięknem prawie nowem palcie, na jedwabnej podszewce.

Złe języki zaczynają pracę. Tu słówko, tam pomruk, ówdzie porozumiewawcze spojrzenie, i robi się koło tej garderoby biednego chłopca jakaś zła atmosfera.

Naturalnie, że doświadczony sekretarz natychmiast ją poskramia, zdradzając tajemnicę tego rzekomego dobrobytu. Naskutek czego, dostaję list:

„W. P. Dyrektorowa pozwoli, że złożę podziękę za czyn, zrobiony dla mnie. Byłoby mi przykro z innych rąk to otrzymać, ale z rąk pani przyjmuję dar z wdzięcz-

nością. Obym mógł się czem wypłacić i t. d. A dziś prośba tylko o przyjęcie wyrazów: „Dobra pani! Bóg ci zapłaci!”

Sprawa umorzona. A garderoba co starczyła na jakiś czas — to starczyła.

Strycharski grał różne rólki, bo zawsze tylko rólki. Ale znakomity znawca i miłośnik teatru — König, ozoniony z doskonałą w swoim czasie aktorką, Salomeą Pałińską, mawiał, com jeszcze z ust jego słyszała:

— Uważasz, kochana pani, — niema ról ani małych ani złych. Są tylko mali i źli aktorzy.

Ileż razy przypominałam to sobie w życiu, patrząc np. na Solskiego niemą rolę w „Warszawiance” Wyspiańskiego, Brydzińskiego małą rolę w „Nadziei” Heijermansa. Momenty — a zawsze gotowe do przypomnienia artystycznych wrażeń.

Otóż i Strycharski utkwil mi w pamięci tak jak Puchalski w „Szeli”.

Biedny księżyna, w „Bolesławie Śmiałym” Wyspiańskiego, jest na scenie odrazu: nie kto inny, jeno ten księżyna właśnie. Chudy, marny, wystraszony i oszołomiony otoczeniem, tem, co słyszy od króla samego, nie wierząc, zda się, własnym uszom:

A cóż na to ty drugi,  
Widzę, wzdychasz posługi, —  
Cóż się patrzysz żalem po komorze.  
Czy cię złoto urzekło,  
Czy ci język przypiekło.  
Weź-że sobie, co zmieścisz w tym worze.

Księżyna rzuca się do komory z worem, jeszcze patrząc, raz po raz, nieufnie na króla. Napelniwszy wór dzwiga go i jęczy:

Och, nieszczęście, ciężary,  
 Wziąłem złota bez miary.  
 Śmierć mnie ściga, złamała mi kości.  
 O, królu, daj pomocy!  
 Niechaj wydraż mi oczy,  
 Patrząc zamrę od wielkiej żalości.

Przygniótł ciężar złota — księżynę, którego świetnie  
 zagrał Strycharski.

To na scenie.

A na świecie?

Przygniatał go — brak złota. I niezawodnie przyczynił się do wczesnego pożegnania życia.

Czy bez żalu? Któż to zgadnie.

*Bolesław Zarwierski.*

Był to synek piekarki, dzielnej kobiety, która, po śmierci męża, nie straciła głowy i pracowała, aby synka do szkoły ślać. A na straganie Małego Rynku, w Krakowie, słynęła ze smacznych bułeczek, które, dla stałych zwłaszcza odbiorczyń, były u niej zawsze „chrupiące“ i „rumiane“, sprzedawane przytem z życzeniem: „Na zdrowie, paniusiu kochana, na zdrowie!“

Jedynak, nie chciał zostać przy warsztacie ojców. Szkołę kończył, a matka biadała: — Nic mu, paniusiu kochana, tylko aby ten teatr w głowie — od małego. Tylko aby ten teatr!

Głos miał dobry, wzrost ładny, zapal olbrzymi. Został aktorem.

Był jednak z gruba ciosany.

Nawet owego dobrego głosu, a tem mniej dykcji nie można było nagiąć do tonów, jakich wymaga twórczość

dział podniosłych. Ale, że scena ma wielostronne potrzeby, więc z miejsca był użyteczny, pracował pilnie. Nie gonił za wielkimi rolami, stąd unikał niezadowoleń, jeśli go one miały. Grał, co mu powierzono, bo teatr kochał świadomie, sztukę jeszcze bezświadomie. Wyczucie jej wielkości i pańskości przechodziło na razie zakres kultury umysłu.

Miał zdrowie moralne, bezpośrednią sprawiedliwość sądu, był koleżeński. Można było na niego liczyć, tak mi się przynajmniej zdawało.

— W pysk go lunąłem, bo zełgał! — mówił o kimś jednym.

— Chcecie, żebym mu rękę podawał... Jakto? Kiedy on mi woltę z kartą zrobił, — o drugim.

Kompromisów nie uznawał.

Kochał — to kochał. Niecierpiał — to niecierpiał. Szanował albo nie.

— A tam te wszystkie... bo on to, bo owo, możeby nie zrobił, gdyby... to już nie dla mnie. To dla was, filozofy, mówił do kolegów. U mnie tam jedna miara: porządny człowiek, albo świnia. Innej nie znam.

W domu naszym bywał na zebraniach koleżeńskich, które dawaliśmy parę razy w roku. Zdawało się, że był życzliwy. Z Administracją naszą, w której pracował brat mego Męża, Eustachy, łączyły go dobre stosunki. Był u nas w teatrze już parę lat. Słowem, nic nie zdradzało, aby w tej prostolinijnej naturze były jakieś komplikacje.

Tymczasem...

Niezbadane są zaułki dusz ludzkich — nawet w najmniej złożonych ustrojach.

W szmatach humorystycznych zaczęły się pojawiać

bo tylko z pogłosek o tem się dowiadywałam, różne pseudo-dowcipy, szykanujące teatr, a nadewszystko — moją osobę.

Pracowałam razem z Mężem, spędzając w teatrze długie godziny. Bywał to często taniec wśród mieczów, bo całe środowisko było dla mnie, w tym stosunku, w jakim mnie do niego życie postawiło, nowe.

Dlatego pewnie nieraz, mimowolnie, mogłam się komuś czemś narazić, bez złej woli. Pewno tak bywać musiało.

Przy pracy, w której nerwy są ciągle naprężone, w której wśród paru chwil na scenie aktor przeżywa często losy czyjegoś życia i musi dać całe prawdopodobieństwo tej chwili, aby widza przekonać i zdobyć, o nic nie jest łatwiej jak o urazę, wywołaną często pozorem — pozoru.

W stosunku jednak do pana Zawierskiego, nie mogłam popełnić najłżejszego nawet uchybienia, bom go lubiła, ale mniej się z nim naogół, rozgadywałam, aniżeli z innymi.

A jednak...

Siedzę kiedyś sama w mojej małej kancelaryjce, w której odbywały się zazwyczaj narady o wystawie sztuk z reżyserem, dekoratorem, tapicerem, krawcem lub rekwizytorem. Puka ktoś. Proszę. Wchodzi Zawierski i bez żadnego wstępu mówi:

— Pani Dyrektorowo, jestem lajdak. To ja pisałem te wszystkie świństwa na teatr i na panią dyrektorową. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, co mnie opętało, ale przyznaję się — ja. Wiem, że jest odnawianie kontraktów, wiem, że mogę być wyrzucony, wiem, że to byłoby słuszne. Ale myślę, niech się dzieje co chce, powiem.



Dłużej w tej owczej skórze być nie mogę. Co będzie, to będzie. Zgrzeszyłem sam nie wiem poco i dlaczego, proszę jednak, jeśli to możliwe, o przebaczenie. Mnie zależy na tem, aby tu zostać. Dobroć pani dyrektorowej rozstrzygnie o moim losie, do niej się odwołuję, pragnąc odtąd wiernie służyć, jak pies.

Nie widywałam nawet nigdy bibuły, żyjącej cudzą krzywdą. „Świństw“ jego nie czytałam i z jego ust dopiero o ich istnieniu się dowiadywałam. Wiedziałam natomiast, że kochał się w ślicznej i dobrej swej koleżance. Wybaczenie uzyskał. W teatrze został. Wybornie grał Jaśka Młynarczyka ze świetną młynarką Siemaszkową, w „Zaczarowanym kole“ Lucjana Rydla. Z werwą pana młodego w „Weselu“ Stanisława Wyspiańskiego. Postępy robił duże, bo rzetelnie pracował. Przez całe dalsze lata przodownictwa mego Męża w teatrze krakowskim — nie miano mu nic do zarzucenia. Nawet w Warszawie nas odwiedzał i nie pominął nigdy sposobności okazania nam swych życziwych uczuć. Scena dawała mu coraz większe zadowolenie.

A miłość?

Nie moja, więc jej historii nie naruszam. Z tem zawsze trzeba być ostrożnie. Mogłoby jej wspomnienie kogoś zabołeć.

Pani piekarka na Małym Rynku z jedynaka była dumna, dając zresztą zawsze „rumiane“ i „chrupiące“ bułeczki, z życzeniami „na zdrowie, paniusiu kochana, na zdrowie!“.

## SCHRONIENIE ARTYSTÓW-WETERANÓW SCEN POLSKICH W SKOLIMOWIE.

Fale i bałwany, z hukiem i szumem przelewające się wiecznie na burzliwym brzegu morza w Blankenbergu, tłumią wszelkie ludzkie głosy, pełne najczęściej śmiechu i wesela, beztroskiej, rozswywołonej ludzkiej gromady. Toteż, niemało się zdziwiłam, wracając z wody do mojej kabiny, że jakiś piskliwy a żalosny jęk, chwilami bolesny krzyk, przebija się jednak ponad wszystko, a wychodzi z ust nieszczęsnego stworzenia, które zwraca już ogólną uwagę, bo jest prawie niesione przez dwie silne kobiety, do kąpieli.

Wracam do hotelu Savoy i po pewnym czasie z tarasu naszego, wychodzącego na plażę, widzę bardzo wykwintny wózek, kierowany do wejścia naszego hotelu i na nim ślicznie ubraną damę. Po chwili, widocznie przy wysiadaniu, dochodzą mnie znów te same nieartykulowane dźwięki, które świeżo mam w pamięci i jednak coś, coś, w tej damie przypomina mi kogoś znanego. Przeglądam listę gości i czytam między innemi: Odillon — artystka dramatyczna z Wiednia.

Odillon! czyż być może, żeby to była ona. Odillon — ta ulubienica wesołej stolicy, ta szalona swawolna

kapryśnica. Ta buntownica życiowa, pełna czaru, talentu i zuchwalstwa.

Obrzucana kwiatami, złotem, brylantami. Zdaje mi się że jeszcze jakby wczoraj widziałam ją w teatrze wiedeńskim, jako zwycięską Afrodytę. Cudnie zbudowana, prawie naga, idzie przed forum sędziów, których pięknnością zwycięży. Plaszcz, okrywający jej ramiona, twany sztucznym wiatrem, raz wraz odchyła się i pokazuje jej posągowe kształty. Więc to ta sama.

Wchodzimy z mężem do sali jadalnej. Odillon, bo to ona, siedzi przy osobnym stole. Służąca i lokaj pełnią koło niej posługi i karmią, jak dziecko.

Po chwili, wchodzi jakiś elegancki młodzieniec, odkłada tenisową raketę i z nonszalancją zabiera się do jedzenia, przy tym samym stole. Brzydko się rysuje ze swym doskonałym apetytem i niezmaconą obojętnością na tle tak bardzo tragicznem.

Bezpośrednio po lunchu — posyłamy artystce kwiaty z kartką, pełną wyrazów najwyższego zachwytu dla jej talentu.

W godzinę, przychodzi do nas ów niesympatyczny młodzieniec i oznajmia:

— Pani Odillon prosi, aby państwo zechcieli ją odwiedzić.

Idziemy.

Sparaliżowana.

Ręce i nogi odmawiają narazie posłuszeństwa. Polowa twarzy nieruchoma. Zamiast uśmiechu — skrzywienie. Zamiast podziwianej dykcji w teatrze — jakiś mało zrozumiały belkot.

Nieszczęście.



Jadwiga Toeplitz Mrozowska



*Pokój imienia Józefa Kotarbińskiego w schronieniu Artystów - Weteranów Scen Polskich  
w Skolimowie*



Na wyjeźdnem, żegnamy ją znów kwiatami i życzeniami: dowidzenia na scenie we Wiedniu!

A potem, potem dowiedzieliśmy się, że fortunę jej puszczał, ów obojętny, dobrze ubrany, ale źle dobrany towarzysz życia, że ręce i nogi skrzepiła jednak kuracja w sanatorjach i lecznicach, których w końcu nie miała czem opłacać, i że artystka chodzi, prawie w lachmanach, po kawiarniach i restauracjach, podpierając się laską i sprzedając własną fotografię z napisem, (cośmy widzieli), „Odillon in seiner letzten Rolle — als Bettlerin“ (Odillon, w swej ostatniej roli, jako żebraczka).

To było w Wiedniu.

\*

\*

\*

U nas: o paręset kroków, od małej stacyjki Chylice. kolejki wilanowskiej, stoi wielki gmach prawie pałac. Siatka otacza obszerne terytorjum, na którem się rozpostarł ze swemi dwoma piętrami i przykrył czerwoną czapką na łamanym dachu — dom, co się zwie. Planował go i stawiał znakomity architekt, pan Mikulski, syn artysty dramatycznego i wielką intuicją natury aktora, wyposażył swe dzieło.

Duży piętrowy hall przez całą szerokość gmachu, schody wewnętrzne z galerją, obszerne korytarze, znów przez całą długość domu z wejściem na prawo i lewo do zgrabnych i ustawnych pokoików, duże w nich okna, a więc i dużo światła, obszerne tarasy na parterze i na dwu piętrach, wszystko składa się na rozkoszną całość, świadczącą o wielkich zasobach artystycznej duszy jej twórcy.

Sad okolił dom. Wartka rzeczulka, Jeziorka, z obramieniem grabów, zaznaczyły granicę od wewnątrz.

Jest lato.

Róże pną się po ścianach. Pelargonje kwitną. Na zielonych kobiercach rabaty kwiecica rozłaczają swe czary barw i woni.

Grupy pięknie dobranych krzewów różnorodnością listowia dekorują klomby. A młoda jodelka, choć jej piasek i glina nie bardzo smakują, goni jednak doskonale idące topole, klony i lipy z bujnemi czuprynami, którym imponuje szybkim wzrostem zawsze pełna uroku brzoza w srebrnej sukience.

Są tam i drzewka owocowe i zagonki truskawek, które się znakomicie zjada, i kapusta zwija się w główki „nadolku“, a kartofli i warzywa starczy z własnego zbioru na zimę. W małych zabudowaniach gospodarczych kury niosą jaja. Indyk z dwoma córkami wychodzi na konkurenta. A kiedy służą nim uprzejmi sąsiedzi, zamiast wesela są awantury. Bo oto, starsza pani urażona, że kawaler z miejsca pannę sobie upodobał, srodze ją karać poczęła, i za uciekającą, z pasją pogoniła, co nie przeszkodziło junemu kawalerowi składać uznania jej wdzięków, nie tracąc czasu, drugiej panience. Jak się to tam skończyło — nie wiem. Było widocznie coś w powietrzu, tego dnia, bo ni stąd ni zowąd, kaczor znów upodobał sobie kurę, która z przeżeniem uciekała, mając skrzydła do pomocy w locie, gdy on, biedak, w pogoni łamał krótkie nogi na próżno.

Obojętny tylko, na te wszelkie amory prosiak, pomrukiwał z zadowoleniem w swej zagrodzie, gdzie się tuczył na wyśmienite szynki i doskonałe wędliny, któ-

re staranna pani gospodyni skrzętnie gromadzić miała w spiżarni — na Wielkanoc.

Jest także w ślicznej, białej stróżówce pan Jan i nieoceniona w pracy pani Janowa. Bo jakżeby to obyla się jaka polska siedziba bez takiego Jana, co to wszystko potafi i wszystkiemu da radę. Wszystko się też z Janem najpierw omawia, ogród — to ogród, faszyna — to faszyna. Gwóźdź, śruba, woda, elektryczność, ba! nawet radio, słowem, co popadnie, jak przy domu.

Jan na wszystko znajdzie radę i na wszelkie gospodarcze niedomogi — leki.

Dzielny i uczciwy człowiek. Niedarmo z Wielkopolski ród swój wywodzą państwo Janostwo. Doskonała kucharka spełnia staranne i umiejętne rozporządzenia gospodyni. A Stefcia lata, niczem fryga, to nakrywając do stołu, to zbierając ze stołu, to biegając po kurytarzach lub jednym susem, po piętrach, i pełniąc różne funkcje po pokojach.

\*

\*

\*

A stali mieszkańcy tego obejścia?

Każde, z pań czy panów, zajmuje osobny pokój. Karta na drzwiach wymienia jego właściciela, olbrzymie okna, zajmujące trzy czwarte ściany poprzecznej zalewają pokój światłem, wschodzącego lub zachodzącego słońca.

Każdy pokój zaopatrzony w doskonałe łóżko, fotel lub kanapkę oraz potrzebne szafy. Umywalnia z kranem, nad nią lustro, pozatem własne pamiątki i drobiazgi, świadczące o upodobaniach lokatora. A nazew-

natrz pokoju na obszernych tarasach w dzień pogodny, kanapki, fotele i stoliki zajęte.

Panie robią roboty, panowie czytają nadeszłe świeżo pisma lub grają w szachy. Dzwonek przerywa sjęstę. Długi stół w pięknym, na piętro wysokim holu, z dwoma, po kilku schodkach, bocznymi salonikami, zgromadza często i czterdzieści osób. Im więcej, tem weselej i milej.

Dziś jest mniej. Sami stali mieszkańcy stawiają się na obiad czy kolację. A więc: sędziwa p. Bolesława Siedlecka, była artystka charakterystyczna teatrów poznańskiego i warszawskiego. Latami wysłużona. Humorem młoda. Ze wszystkiego zadowolona, prócz tego, co powtarza z filuternym uśmiechem, że niema choć paru młodych ludzi na stałe w schronieniu.

Pani Teofila-Żołopińska, skromniejsza w wymaganiach, ze wszystkiego rada, spokojna, pogodna, zawsze tak staranna, jak tylko umieją być bardzo ładne kobiety do późnej starości. Była artystka teatrów prowincjonalnych i dyrektorka teatru w Częstochowie.

Pani Irena Sznabelin, pogodnie godząca się z losem pewnej bezczynności po długich latach pracy, którą fizyczne niedomaganie przerwało, mimo jej chęci i woli. Ale zajęta zawsze robotą, książką, i szczęśliwa, że znalazła błogosławioną przystań.

Państwo Wiśniewscy, których stan zdrowia przedwcześnie skazał na miano weteranów.

P. Wanda Biernacka, pracowita, więc pogodna, dobra koleżanka, chętna w pomocy dla każdego, kto jej potrzebuje.

Pan Sapalski, któremu słodzi życie samotne świergot niezliczonych ptaszków, mieszczących się w klatkach,



własną ręką zrobionych. Krzyżuje rasy, dbały o coraz piękniejsze trele kanarków, czyta „Nędzników“ Wiktora Hugo, — w czem ma rację, bo to wiecznie piękne arcydzieło romantyzmu. Stroni od ludzi, w czem niema racji, bo cieszyćby się mógł, gdyby chciał o tem wiedzieć, że otacza go ogólna sympatja, co zawdzięcza sobie, bo nikomu wody nie zamąci.

Pani Józefa Wilgardowa, której nie znałam ze sceny i pani Marja Palińska, mile zjawisko przed laty na scenie Rozmaitości, siostra zasłużonego teatrowi artysty ś. p. Władysława Palińskiego, która też wiekiem nie odpowiadająca, ale warunkami zmuszona korzystać ze schronienia.

Jeszcze ktoś. Pani Adolfina Zimmajerowa. Wymieniam ją ostatnią, żeby żadne słowo nie ćmiło jej zasług położonych dla sceny. Żeby skupić uwagę, łaskawego Czytelnika, na tym oto tak częstym w życiu objawie, że ci, którzy najwięcej dali, najmniej odbierają.

Tyle talentu, tyle uroku, tyle humoru, ile rozsiewała go ulubienica pokoleń, „Zimajerka“, tyle pracy, ile kładła w każdy występ, szanująca sztukę, wielką, w swoim rodzaju artystką, tyle powodzeń, oklasków, swoich i nieswoich, bo występowała całe sezony w Berlinie i Wiedniu, powinnyby zapewnić jej zmierzch życia we własnej siedzibie. Tymczasem zapewnia jej wygodę i spokój o jutro — miłość bratnia. Nie lekceważy jej. I w swym małym pokoiku. opowiada mi o swych uczniami dla kolegów, i, bez sarkania na los, przyjmuje to, co jej dają szczerze życzliwe serca z największą wdzięcznością, tak prosto, jak Pan Bóg przykazał.

I, oto, tu właśnie jest miejsce na odpowiedź: Co otrzymuje wzamian za talent, za rozrzucanie jego uroków,



za pracę, może często za bezfrasobliwość myślenia o jutrze, może nawet za lekkomyślność, ale i za ofiarę — aktorka?

— Rzadko możność stworzenia cichego, wygodnego — własnego kąta. Najczęściej — niedostatek.

Ma jednak u nas: „Schronienie“, gdzie zupełnie od niej zależy, żeby w niem się czuła jak u siebie, we własnym kochanym domu.

Odillon, świetna wiedeńska artystka — domu takiego nie miała.

\*

\*

\*

Jest tam jeszcze jeden pokój, o którym napis mówi: „Pokój Imienia Józefa Kotarbińskiego“.

Ostatniego roku, wspólnego życia, spędziliśmy w nim 6 tygodni.

Mąż mój pracował nad swą książką: „W służbie sztuki i poezji“ (wydanie Hoesicka, 1929 r.) i czuł się tak doskonale w ciszy do pracy, w niedalekich spacerach nad rzeczką, nad którą godzinami mógł przesiadywać, a potem w towarzystwie kolegów i miłych koleżanek, nie żalujących mu swych względów, że, wprost, żał mu było rozstawać się z tym kątem, w którym czuł się jak w domu.

Po Jego odejściu z tego świata, przeznaczył p. Józef Śliwicki, wówczas prezes Związku Artystów Scen Polskich, przyszedł ze swą małżonką, znakomitą artystką sceny warszawskiej, Felicją Pichor, i oznajmił mi, że Zarząd uchwalił, żeby pokój, w którym przebywał mój mąż, nazwać jego imieniem i ofiarować go mnie, na do-

żywością własność. Chwila tego czynu, ile razy o nim mówię, nie wyłączając obecnej, wzrusza mnie do łez. Było w tem postanowieniu, tyle męskiego rozumu i kobiecej iście dobroci, że wdzięcznością bezgraniczną napełniło me serce. Toteż schronienie w Skolimowie, choć nie przebywam w niem stale, jest moim drugim domem, a z jego mieszkańcami, wiążą mnie szczere i przyjazne uczucia. Pragnę je utrzymać po dni ostatnie, bo przecież tak bezpośrednio łączą się z całym mojem życiem.

\* \* \*

Pokój, ofiarowany mi przez Artystów, zamieniłam w zgromadzenie pamiątek po moim Mężu.

Jest tam jego portret w roli Herodosa z dramatu „Herodjada“, Jana Kasprowicza, pędzla Sichulskiego. Portret w roli Zygmunta Starego z „Królewskiego Jedynaka“ Lucjana Rydla, rysowany przez Mieczą Kotarbińskiego. Jest doskonała karykatura Jana Jerzego Kozłowskiego z r. 1915, w której są zaznaczone pewne cechy osławionego roztargnienia Artysty, bez żadnej jednak złośliwości. Zaś, malowany portret przez Leona Wyczółkowskiego, wisi w Foyer Teatru Słowackiego w Krakowie, bo tam Kotarbiński realizował na scenie marzenia swego życia, wystawiając arcydzieła naszej literatury romantycznej: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, wielkiego neoromantyka Wyspiańskiego Stanisława. A współcześnie całe szeregi sztuk oryginalnych z tem niezłomnem przeświadczeniem, że tylko na rodzimej twórczości opierać należy repertuar w teatrach polskich, co zresztą, dzieje się na całym świecie, oprócz u nas.

Pozatem, są jeszcze, choć, na ogół nie lubił fotografii, artystyczne zdjęcia wykonane przez firmę Fotoplata, z niektórych ważniejszych ról artysty, jak: Horsztyńskiego, Króla Zygmunta, Derwida, Urjela, Hamleta, Wilkosza w „Przepióreczce“ Żeromskiego, za wykonanie której dziękując mu Autor, mówił: „dziwne uczucie jest widzieć tak żywego człowieka z tego co się napisało“ i pochyliwszy się pocałował go w ramię. Ze wzruszeniem opowiadał mi to Mąż, wróciwszy z teatru, szczęśliwy tym wyrazem zadowolenia wielkiego pisarza.

Jest kilka zaszczytnych dedykacyj na książkach z podpisem: Orzeszkowej, Asnyka, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Adama hr. Krasińskiego, na listach Zygmunta Krasińskiego do Rayva, danej Józefowi na pamiątkę wystawienia Nieboskiej. Kilka srebrnych wieńców, wstąg z napisem: Wilno, Kijów, Poznań, Berlin — z czasów granic i zaborów, za głoszenie słów, które zaborów nigdy nie uznawały.

Jest Pierścień od „Związku Artystów Scen Polskich“ Droga pamiątka od Autorów dramatycznych z napisem: „Kochanemu...“, co i jego i mnie ucieszyło nad wyraz, bo ich naprawdę kochał. Jest faun misterny „Od Reduty“, której dyrektora Juljusza Osterwę mąż mój bardzo cenił, choć tomy listów wypisywali w sprzeczce o Hamleta, w poprawkach — Wyspiańskiego. Są śliczne meble, w części rysowane przez Mieczysława Kotarbińskiego, w całości przez Artystę Stanisława Połujana, wykonane bardzo pięknie przez p. Wł. Wybrańskiego w Bydgoszczy i p. Wasilewskiego w Warszawie.

Diwan, według rysunku tegoż artysty, piękna praca p. Śliwińskiej, dar — Dr. Dłuskiej, z którą dzielili się często wspomnieniami młodości, przechowując przez całe życie zobowiązaną życzliwość.

Jest także — Krzyż Polonia Restituta.

Ślicznie tam. Jasno, widno, na oknach rysują się drzew konary i szkli się między nimi tu i owdzie tafelka wody. Jednak, dzieje się z tym pokojem to, co często dzieje się ze spełnieniem marzeń, kiedy się ono spotka bezpośrednio z życiem. Bo wszystko jest i wygodnie i nawet wytwornie, cisza, ten największy, dla mnie, wdzięk natury, niemal ogłuszająca. A mimo to, mimo to — zasnąć nie można. Tu wspomnienie, tam westchnienie i dzień gaśnie, noc zapada, a sen — ulata. Gdyby tam jeszcze zasypiać można...

\*

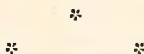
\*

\*

W lecie, w schronieniu sezon się ożywia. Zjeżdżają na wypoczynek rodziny aktorskie, odwiedzają goście. Raz wraz jakiś samochód przywozi kogoś, kto rozweseli i zabawi. Bywali tu: pp. Marjuszostwo Maszyńscy ze śliczną Ewunią, która na klęczkach przy wieczornym pacierzu, w ofiarowaniu, prosiła Boga o zdrowie: dla Tatusia, dla Mamusi. Niani, Ewuni i... dla much na łepie. Zaszczycili nas swą obecnością kiedyś: Piotr Maszyński z córkami, wszyscy pełni czaru towarzyskiego, pp. Palewiczowie z Marychną — zuchem, Drabik, i p. Halska z Jurkiem, Rolandowa z miłą córeczką Lalką, Dygas, Pawłowski, Frycz, Norski, Horwat-Groerowa, Barszczewska, Rolandowa Helena, Bronicz-Jelowicka, stała przez miesiące letnie mieszkanka schronienia, zbie-



rająca datki na kapliczkę w szlachetnym wyścigu z p. Bednarczykiem. I tak w lecie gromadzą się wrażenia na czasy, kiedy jesień wiatrem dmuchnie i deszczem o szyby uderzy. Kiedy białym całunem śnieg otuli pola i zalegnie cisza, przerywana gwizdaniem pociągów, które budzą nadzieję przywiezienia pożądanego gościa z Warszawy.



Myśl stworzenia tego azylum, wyszła ze szlachetnych natchnień, nieżyjącego już niestety, ś. p. Józefa Mikulskiego, artysty dramatycznego teatrów warszawskich, i, na szczęście, żyjącego i zawsze pełnego energii, Antoniego Bednarczyka, nie tylko prawdziwego artysty dramatycznego na deskach teatru, której do dziś na wezwanie służy swym talentem, ale i prawdziwego artysty w usuwaniu kamieni z dróg życia innych. O sobie nie myśli nigdy.

Cichy człowiek. Bez cienia pychy. Opętany wprost oddawaniem siebie w ofierze dla drugih.

W młodzieńczych snach roił czyn, który stał się celem i treścią wewnętrzną jego istnienia, i dokonał go. On jeden. Żelazną wolą i niezmordowaną pracą.

A dziś nie rząd, nie państwo, nie miasto, składa się na utrzymanie stworzonego przezeń dzieła. To, na co się przez lat dziesiątki składali aktorzy do rąk Bednarczyka, na to dziś, znów składają grosz ofiarny artyści—Zarządowi Związku, aby trzymać zawsze w należyтым porządku gmach, w którym wyczerpani pracą, niebezpieczni na starość koledzy, znajdują zaciszny kąt,



świadczący o zbiorowem sercu bratniej drużyny.

Gmach, na którym bez frazesu i kłamstwa mógłby się znaleźć napis, nieprawdopodobny na obecną dobę, a jednak istotny i sprawiedliwy:

*Gmach ten stawila Miłość Bliźniego.*

\*

\*

\*

Słowem, Schronienie Artystów Weteranów Scen Polskich, to raj dla ciała, Królestwo Boże na ziemi dla duszy. Panująca w niem bezgraniczna miłość dla Antoniego Bednarczyka. Wdzięczność dla wszystkich, którzy zgodnym rytmem jego dążeń szli mu z pomocą i niosą pomoc bezinteresownie a ciągle.

To stała harmonja, zadowolenie wszystkich, jako jedyny wyraz wdzięczności dla człowieka, który, oddając w służbę dobra innych całą swą duszę, nigdy niczego nie żąda dla siebie.

Tak normalnie jest. Tak być powinno. Tak być musi tam, gdzie biją szlachetne serca.

Pomyśleć bowiem trudno, aby mógł się znaleźć ktoś, niedoceniający ogromu pracy, wysiłku zużytej energii, na przewycięzanie przeszkód przy tworzeniu tak wielkiego dzieła. Aby mógł ktoś niedoceniać należycie dobrodziejstwa, jakie spływa na wszystkich, którzy z niego korzystają.

A jednak...

Zdarza się jednak czasem, że „w cichy wieczór“, „w noc majową“, kiedy już wszystko życie zmiłknie, wszystko także w Schronieniu się ukoi, ze skraju ogrodu z ponad rzeczki płyną smutne tony skrzypek. To

Antoni Bednarczyk rozmawia z gwiazdami i niebem. A potem tony cichną i są coraz cichsze, jakby lkały czy płakały...

To pewno Bednarczyk duszę wypowiada samemu Panu Bogu.

Nikt nie śmiałby mu przerwać tej jedynej chwili wypocznienia.

Każdy jednak, kto szlachetny, pragnie, aby go kiedy doszły ze skraju ogrodu, z ponad rzeczki, „w cichy wieczór, w noc majową“, z pod gwiaździstego nieba tony wesołe, pogodne, które na swej skrzypce Antoni Bednarczyk, zwany przez nas wszystkich Świętym Antonim Skolimowskim, wygra ludziom w odpowiedzi — za ich miłujące serca, a Bogu w podzięcie, za duszy wesele — co daj Boże. Amen.

## REKOLEKCJE DLA ARTYSTÓW TEATRU.

— To oni się modlą?

Nie sto lat temu i nie w Chinach, gdzie w dykasterjach społecznych następują po sobie: ten, ów, tamten—potem pies, a na końcu — aktor; więc nie w Chinach. Parę dni temu, w Warszawie, pytała mnie o to, jedna ze znajomych pań, dowiedziawszy się, że rekolekcje dla teatru organizuje młody, pełen zapału i przejęty swą „misją duchowego powiernika pośród artystów“, co w zupełności sankcjonowały Jego najwyższe władze duchowne, szanowny ks. Stanisław Stefański, współpracownik na polu społecznem czcigodnego i zasłużonego ks. prałata Marcelego Godlewskiego. My zaś, dopomagamy mu w osiągnięciu jak najlepszych rezultatów tego zadania.

Mąż mój miał swoje zapatrywania na sprawy religji. Ale, jeśli sam miał na ten temat jakie restrykcje, to umiał zawsze szanować wiarę i poglądy innych.

Moje wyprawy do Matki Boskiej Ostrobramskiej do Wilna, piesze wycieczki do Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej z Krakowa, czy do Słoneczyna pod Warszawą, w chwilach, kiedy chciałam być na dłużej sama z Panem Bogiem, nazywał pobłażliwie: „sportowem na-

bożeństwem mojej żony“. Nigdy się jednak nie tylko nie sprzeciwiał, ale otaczał je pewną zadumą i ciszą. I nigdy też nie bywało w naszym domu dysput na temat religii.

Każdy wierzył po swojemu, i po swojemu Pana Boga chwalił. Kto lepiej? Rozstrzygać nie nam należy. Ale, z chwilą, kiedy zaczęły się prądy antyreligijne głośno objawiać w kraju, a w sąsiedniej bolszewji zerwała się orgja, trwająca po dziś dzień, burzenia świątyń i tępienia wszelkiej wiary, ten sam Józef Kotarbiński, który był raczej wolnomyślny, napisał w Kurjerze Warszawskim w r. 1924. artykuł p. t. „Walka z religją“, w którym między innemi mówi:

„Nauka nie może dać odpowiedzi na pytania, dręczące umysł ludzki: jaka jest przyczyna wszechrzeczy, jaka potęga utrzymała prawa ustroju materji, budowy i ruchu systemów słonecznych i gwiazdowych, jaka jest esencja bytu po za grą zmiennego falowania zjawisk, po za migotliwemi blaskami wiecznie mieniającej się uludy życia i świata.

To co wiemy o bycie, który nas otacza, jest prawdopodobnie miliardową cząstką tajemnicy — tajemnic. Wielką, w stosunku do małości człowieka, znikomą wobec potęgi najwyższego rozumu, widoczną na każdym kroku w ustroju ziemi i nieba“.

A potem mówi, że jednak:

— „Duch ludzki nigdy nie rezygnuje z możliwości przeniknięcia największych zagadek“... „Kiedy na niebie wyiskrzają się gwiazdy w noc letnią, stajemy zapałtrzeni w tę kopulę błękitu, a myśl nasza przekracza granicę konstelacji i smugę drogi mlecznej, tego zbiorowiska słońc, wirujących w bezmiarze, gubi się w da-

lach wszechświata, zdumiewając się nad lotem światła, które dochodzi nas w setki i tysiące lat od chwili, gdy je wysłało w przestrzeń, źródło promieniste, jednego ze słońc niebieskich. Wtedy, podziwiając ład i ogrom budowy świata, człowiek obnaża głowę przed potęgą twórczą, władną poprzez miljarady miljaratów ziemskich wymiarów. I oto jest najprostszy akt i hold religijny, to jest niema modlitwa duszy ludzkiej, zdumionej cudem istnienia!”

I dlatego, wierząc w to, że nikt niema prawa burzyć tego, co jest często jedynem niebem miljonów dusz, to jest: wiary w Boga, chętnie powitał projekt rekolekcyj, widząc w tem zbiorowem zestrzeleniu myśli pewne moralne wartości naszego artystycznego świata.

\*

\*                      \*

Pamiętam kiedyś, w jakimś mieście, początek rekolekcyj, których końca nie wysłuchałam.

Kaplicę, w Biskupim palacu, zastałam ciemną. Jedna czerwona lampka drżące światelko rzuciła na Ukrzyżowanego. Doskonałego zresztą kaznodziei nie było widać wcale. Czasem zarysowała się tylko słabo sylwetka chudej podniesionej ręki. Wszystko otoczone było jakąś ponurą tajemnicą i jakby grozą. Czemu tak? Nie wiem, ale to do mnie nie przemówiło. Po wysłuchaniu nauki, wyszłam i więcej tam nie wróciłam.

Panie Kanoniczki w Warszawie, z intuicją kobiecą, z sercem oddanem uroczystej dla nas chwili, z zapalem pracują przy swoim warsztacie, przy którym pełnią służbę z życzliwością, pogodnie i swobodnie, prosto, szczerze, przyjęły nas w swym Kościele.



Ławki ich stały dla nas otworem, wraz z książkami do modlitwy.

Rozłożone na ziemi dywany, ogrzały zimną kamienną posadzkę.

Ołtarz i kościół widny. Wszyscy też czuliśmy się dobrze i ciepło i swojo u dobrych Pań Kanoniczek, niby u Pana Boga za piecem. Wszyscy sobie wzajem znani, radzi, że się tu spotykamy.

Frenkiel Mieczysław z synem Tadeuszem, Solski Ludwik z żoną, Śliwicki Józef z żoną, ś. p. Felicją Pichor, Krzewiński Julian z żoną, przeznacny, uduchowiony człowiek, przyjaciel osobisty ks. Stefańskiego ś. p. Roland z żoną, synem ś. p. Witoldem, ś. p. Józef Kotarbiński z żoną, Horwat-Groerowa Zofja, Junosza-Gostomska Antonina, Rotter-Jarnińska, Zachorska Helena, Mogilnicka, Pomian-Brodzicz, Chmieliński Józef, Staszkowski, Myszkiewicz, Osterwa Juliusz, Tomasik, Śnieżko, najgorliwszy pomocnik przy organizowaniu rekolekcji, — któżby zresztą wyliczył wszystkich!

Artyści opery i liczni artyści i artystki baletu. Dużo przedstawicieli personelu technicznego.

Słowem kościół pełny. Zamknięty dla obcych. Na ambonie uczony ks. Jezuita Pawelski. Z początku, jakby nas chciał upewnić, że wie, jakich ma słuchaczy, że mu nie są obcy, powołuje się na znajomość bliższą Ludwika Solskiego i paru innych artystów, potem już mówi pięknie, prosto, rozumnie, chwilami podniosłe, na temat: „Wiara w życiu wielkich artystów — wieszczów narodu“.

Skończył.

Zajaśniały światła w wielkim ołtarzu, zadzwoniły

dzwonki, i ks. Stefański wszedł z monstrancją. Klęka, wznosząc modły za nas i od nas.

Jest cały jakby oderwany od świata. Przejęty swą misją. Głos mu drży, ręce, złożone do modlitwy trzęsą się. Dymy kadzidel tworzą koło niego jakieś mistyczne nimby. Błady, szczupły, oddany nadziemskiej ekstazie, mówi we wzniosłej modlitwie: „Drogi Twoje okaż nam, Panie, a ścieżek Twoich naucz nas“! „Chryste skrzep dusze nasze. Chryste obejmij nas miłosierdziem Twojem. Chryste przyjmij nas, którzy do Ciebie idziemy, ufni w Twą dobroć i w Twe miłowanie biednego człowieka“...

Kto stał, ukląkł i powtarzał: „Ufni w Twą dobroć i Twe miłowanie biednego człowieka“. Chwila ciszy. A wślad za intonacją od Ołtarza, wybucha z głębi serc potężna po wieki pieśń: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!“ — płynąc z muzycznego zespołu artystów najcudniejszą harmonią głosów pod niebo.

A kiedy, po skończonym uroczyscie, pierwszym dniu rekolekcyj, pełni najczystszych wzruszeń, znajdujemy się w bramie domu Pań Kanoniczek, rzucamy się sobie w objęcia, ściskamy się; radośni, z zapomnienia uraz, jeśli były, z przebaczenia, jeśli czyjeś serce przebaczenia chciało, i idziemy... dokąd? — do najbliższej będącej teatru „Qui-pro-quo“.

Niech nam nikt tego nie bierze za złe. I niech się ludzie o to na nas nie gniewają, bo Pan Bóg wybaczył napewno. Błogość jakaś wstąpiła do dusz, z kimże ją dzielić, jeśli nie z własnym domem — z teatrem. Tak się ona u pewnej grupy, trzeba się już do wszystkiego przyznać, grupy starszyny, wyraziła. Choć były inne,

skłonne do cichej kontemplacji minionych chwil. I, nie był to u nas odruch jakiegoś nieposzanowania, broń Boże — cynizmu! Coś nas roznosiło. Nie można było spokojnie iść do domu, rozstać się na chłodno i zwyczajnie iść wcześniej spać. Chcieliśmy jeszcze być razem. Jeszcze cieszyć się razem jakąś radością, bośmy w owej chwili byli niezawodnie tą: „Milością, co wprowadza w ruch słońce i gwiazdy“, o której mówi Dante, kończąc swą wędrówkę, pełną cierpień i męczarni, w pochodzie przez piekło. Serca nasze podwójnie żyły.

Siedząc w łoży, mówiliśmy, o czym te łoże nigdy nie słyszały, mówiliśmy z wdzięcznością o świetnym kaznodziei i przypominaliśmy sobie, że się długo do naszych dusz „dobierał“, zanim dotarł. Ale — dotarł. Więc nazajutrz znów kościół przepelniony. Już nie idziemy do żadnego teatru. Kaznodzieja skończył. Zmieniło się oblicze świątyni. Po południe. Półmrok. Cisza przegromna zaległa kościół. Miałam wrażenie, że nikt nikogo nie widział. Były dusze — nie było osób. W konfesjonalach — kapłani. Czasem ciche, czasem głębokie westchnienie. Czasem łkanie.

Nazajutrz rano Msza Św. i Komunia.

Skrzypce płaczą. Wiolonczela jęczy wielkim żalem, a Ksieni Pań Kanoniczek klęka razem z nami u stóp Ołtarza, jeszcze słowa kapłana, serdeczne, przyjazne na rozejściu, potem uroczyste „Te Deum laudamus“.

I tak się kończy ten piękny, wśród podniosłych wrażeń, okres kilku, ale niezapomnianych chwil.

Powtarzają się one odtąd co roku. Przemawia do nas gorąco ks. Szwejnec, a po skończeniu wspaniałych nauk, ś. p. Teodor Roland szepce do mnie: „Ee! To nie tylko świetny kaznodzieja, ale i znakomity aktor“, bo

rzeczywiście dykcją i głosem posługuje się ten kapłan z niezwykłą maestrią, która zajmuje, wzrusza i przekonywa. A w roku ostatnim, niezmordowany w trudach, nasz drogi przyjaciel ks. Stanisław Stefański, który, niestety, przyjeżdża z sanatorium dla piersiowo chorych w Ołtrocku, gdzie stale krzepi chore płuca, daje nam poznać wysoką miarę umysłu i piękność duszy ks. prof. Węglewicz. Nie karze, nie przeraża. Nie gromi. Słowami Chrystusa zaczyna: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni!“ „Pójdźcie z wiarą, z oddaniem, z przeświadczeniem, że godzina sam na sam jest każdej duszy niezbędną“. Że unikać jej nie należy dla własnej wewnętrznej równowagi, że nie kara, nie sąd, nie potępienie czeka nas u Boga ołtarzy, ale zdjęcie ciężaru życia, które potrzebuje obliczenia, aby do jego dźwigania nie zbrakło sił. I kończy też Chrystusa wezwaniem: „Pójdźcie do mnie wszyscy, spracowani i obciążeni — a ja sprawię wam ochłodzenie“.

Idziemy.

Co roku też zwiększają się liczby uczestników, pośród których, ostatnio, 300 osób drużyny artystycznej, duchem zbratanej, przystępowało do Stolu Pańskiego, jak zawsze z Ksienią Kanoniczek, hr. Mycielską na czele, wiernie nam życzliwą, i panią Kanoniczką Zofją Ośniałowską, z łagodnym uśmiechem na pięknej twarzy, wychodzącą, niby zwiastun dobrej nowiny, na spotkanie tych — którzy się modlą.

„Wieźcie każdego Kościoła mówią ludowi o wzniesieniu duszy ku niebu, ponad nędzę powszedniego żywota“ — pisał Józef Kotarbiński.

Jeśli jednej bodaj duszy wierzącej — modlitwa



zmniejsza ciężar niesienia bólu, jeżeli jedna u stóp Krzyża znajduje ukojenie cierpień, których tyle dokoła, jeśli jedna radość niesie dziękczynne słowa przed Boga Ołtarze, z wiarą, że one idą gdzieś wzwyż, z hołdem wdzięczności, i dojdą tam żywe, a wrócą na ziemię wysłuchane, to religji należy się cześć, jej formom poszanowanie ludzi, miłujących wspaniały dar życia oraz szczęście bliźniego, którem jest jego *Wiara!*

Przeczulone dusze artystów, ich życie pełne wzruszeń, wrażeń i niepokojów stąd płynących, potrzebują ukojenia. A, instynktem wiedzione, szukając go, idą właśnie przed Boga Ołtarze, gdzie czeka na nie: *miłowanie biednego człowieka.*

*Dn. 20 października 1932 r.*

\*

\*\*

\*\*

Na stronicy 99, w piątym wierszu od góry, przypadkowo ominięto ustęp tekstu, co, niestety, wykryło — ostatnie spojrzenie na już drukowane w całości karty. Brzmi on jak następuje:

Znakomita artystka, Felicja Pichor-Śliwicka, której każdy występ był artystycznym dorobkiem dla sztuki i z każdą rolą potężniał.

Jako koleżanka, szczególną pieczę otaczała „Schronienie Artystów Weteranów Scen Polskich“, nie żałując hojnych darów, jakie im z życzliwością składała — do końca swoich dni.





## SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Słowo wstępne . . . . .	5
„Brać“ aktorska . . . . .	7
Za kulisami . . . . .	22
Teren pracy. Rola. Dyrektor . . . . .	30
Reżyserja. Wystawa Sztuk . . . . .	41
Kobieta w Teatrze . . . . .	57
Poławiacze pereł . . . . .	68
W obronie czci . . . . .	77
Przedwczoraj, wczoraj i dziś . . . . .	90
Ostatni pobyt Modrzejewskiej w kraju . . . . .	105
Gabryjela Zapolska . . . . .	124
Wanda Siemaszkowa . . . . .	138
Jadwiga Mrozowska . . . . .	152
Stanisława Wysocka. Marja Przybylko . . . . .	179
Aktorki przygodne: Jedna, Druga, Trzecia.	
Garderoba Statystek . . . . .	195
Kazimierz Kamiński . . . . .	203
Michał Tarasiewicz . . . . .	212
Ludwik Solski. Aleksander Zelwerowicz . . . . .	223
Bolesław Puchalski. Bolesław Zawierski.	
Juljusz Strycharski . . . . .	239
Schronienie Artystów-Weteranów Scen Polskich	
w Skolimowie . . . . .	255
Rekolekcje dla Artystów Teatru . . . . .	269



## SKOROWIDZ NAZWISK.

	Str.		Str.
Anczyc L.	18	Brydziński Wojciech	237
Andruszewski	108	Bujwid Otto	87
Antoine	54	Calderon	221
Arkawinówna Helena	187	Conrad (Józef Korzeniowski)	177
Asnyk Adam	118, 119, 135	Chęciński Jan	91, 133
		Chłamtacz Prezydent	217
Badeni Marszał.	209	Chłapowski Karol	106, 120, 122
Bakałowicz Wiktorja	93	Chłapowski Dr.	108
Baliński Stefan	7	Chmieleński Józef	99, 272
Barszczewska Wanda	95, 265	Chomiński Ignacy	91
Bahr Herman	207	Chrzanowski Ignacy	264
Beaupré Antoni	209	Ćwiklińska Mieczysława	100
Bednarczyk Antoni	237, 266,	Czaki Jadwiga	24, 94
	268, 269	Czaplińska Zofja	94
Bernhard Sara	25, 122, 149	Czartoryski Ks.	107, 109
Bieńkowska Apol.	7	Czechowska Jadwiga	181, 206
Biernacka Wanda	260	Dante Aligieri	133
Biernacki Kazimierz	103	D'Annunzio	19, 111, 183
Bednarzewska Konst.	208	Deryng Marja	94
Blüthner	47	Dłuski Kazimierz Dr.	162
Bogucka Róża	98	Dłuska Bronisława Dr.	265
Bogucki Andrzej	98	Dominiak Franciszek	237
Bon	25	Drabik Wincenty	51, 52, 265
Breza Adam	198	Dulęba Marja	101, 185
Bronicz-Jełowicka A.	187, 188	Duse Eleonora	19, 25, 122
	265	Dygas Ignacy	265

	Str.		Str.
Eysoldt	122	Hóšick (Firma wydawnicza)	27,
Eibenschütz	122	51, 84, 164, 172, 173, 187,	187,
			262
Federowiczowa Marja	99	Hugo Wiktor	9, 261
Fertner Antoni	103		
Fijałkowski Mieczysław	217	Ibsen Henryk	141
Filippo Lipi	171		
Frączkowski Franciszek	217	Janowski Stanisław	128
Fredro Aleksander	91, 186, 233	Janusz Jan	103
Fragnerowa Rozalja	85	Jaracz Stefan	102, 220
Frenkiel Mieczysław	34, 98,	Jarszewska Wanda	101
	272	Jejde Juliusz	237
Frenkiel Tadeusz	103, 272	Jeremi Bronisława (Rudlicka)	189
Frycz Karol	51, 52, 265	Juljan z Poradowa	18
		Junosza-Stępowski	102
Gellówna Marja	101	Justjan Kazimierz	102
Gerson Wojciech	7, 9	Jutkiewicz Sylwia	191
Glikson Jakób	138	Jednowski Marjan	227, 228
Głowacka Aleksandrowa	88		
Głowacki-Prus Aleksander	88	Kainz	25
Godlewski Marcelli ks.	269	Kasprowicz Jan	183, 263
Gorczyńska Marja	101	Kamiński Kazimierz	35, 190
Gostomska-Junosza Antonina	96,	191, 203, 204, 205, 206,	
	272	207, 210, 211	
Górski Artur	15	Knake-Zawadzki	237
Górska Helena	190	Kochanowicz Jan	18, 103
Grammatica	122	Konopnicka Marja	150
Grubiński Henryk	92	Kończycowa-Jasińska Aldona	101
Grzywiński Józef	92	Korzeniowski Józef	185
Gromnicka Helena	101	Kosmowska Irena	186
Güntherówna Jadwiga	87	Kostrzewski Franciszek	7
		Kotarbiński Józef	8, 9, 15, 40,
Halpertowa	91	51, 94, 105, 106, 109, 111,	
Halska Halina	265	127, 129, 138, 152, 157, 181,	
Hoffmanowa Antonina	91	182, 208, 212, 213, 216, 222,	
Horwat-Groerowa Ir.	100, 265,	223, 224, 227, 235, 239, 244,	
	272	262, 263, 270, 272, 275	

	Str.		Str.
Kotarbińska Lucyna	41, 130, 146	Maszyński Marjusz	102, 168, 265
Kotarbiński Eustachy	227, 228, 252	Maszyński-Krzewiński Julian	87, 88, 103, 237, 272
Kotarbiński Mieczysław	263, 264	Maszyński Piotr	265
Kozłowski Jan Jerzy	263	Maszyńska Ewunia	266
Kraśiński Adam Hr.	264	Marcinkowska Janina	215
Kraśiński Zygmunt	150, 165, 166, 182, 220, 263, 264	Marcello-Palińska Helena	94
Kremer Józef	9	Mazurowska Józefa — z Gro-szczewskich	93
Krogulski Władysław	92	Mehoffer Józef	52
Królikowski Jan	91	Meterlink Maurycy	18
Kryński Leon Dr.	87	Mickiewicz Adam	150, 182, 246, 263
Krzyżanowski (La Croix)	177	Miciński Tadeusz	31
Kurnakowicz Jan	103	Mikulski Józef	266
		Mielewski Andrzej	35, 36, 234, 235
Łanżanka Ludomiła	232	Mirska Marja	95
Le Bargy	25	Miarczyński Włodzimierz	237
Leszczyński Bolesław	24, 97	Miłaszewski Stanisław	224
Leszczyńska Honorata	16, 98	Modrzejewska Helena	93, 105, 106, 111, 113, 115, 117, 118, 119, 120, 121, 123, 155, 156, 182, 183
Leszczyński Jerzy	15, 97, 98	Modrzejewska Felicja	112
Leśkiewiczowa Stefanja	7	Modzelewska Marja	101
Lewicki adwokat	84	Mogilnicka Halina	272
Lindorfówna Zofja	101	Molière	42
Lorentowicz Jan	51	Mondadori A.	171, 177
Lüde-Żmurkowa	12, 24, 92, 94	Morozowicz Rufin	91
		Mounet Sully	25
Ładnowski Bolesław	24, 91, 185	Morska-Popławska Gabr.	185
Ładnowska Aleksandra	93	Morzowska Walerja (Marrené)	142
Łaska Michalina	99		
Łazarewicz Władysł.	192	Mrozowska Jadwiga	87, 148, 152, 155, 157, 158, 159,
Maciejowska Marja	31, 87		
Macharski (firma Hawelki)	236		
Malicka-Sawanowa Marja	101		
Manowska Wanda	93		
Maskoff (Zapolska Gabryjela)	127		



	Str.		Str.
160, 162, 165, 166, 167,		Pawłowski Jan	265
169, 171, 172, 174, 176,		Pichor Felicja	262, 272, 276
177, 178		Piekarski Antoni	232
Mycielski Jerzy Prof.	87	Ponsard Franciszek	25
Mycielska Hr. Ksieni	275	Popiel-Święcka Romani	11, 94
Myszkiewicz Mieczysław	103,	Poświkowa	101
	272	Popławski Józef	526
		Połujan Stanisław	264
Nałkowska Zofja	95	Pomian-Borodnicz	272
Niewiarowska Walerja z Ła-		Prażmowski Marjan	24, 91
pińskich	93	Przybyłko-Potocka Marja	11,
Nowaczyński Adolf	15		183, 184
Nowakowska Marja	93	Przybyłowicz Michał	235
Nowicki Seweryn	92	Przybyszewski Stanisław	31, 41,
Noiret Zofja	95		182, 220, 221
Norski Feliks	103, 265	Prévost Antoni-Franciszek	186
Norwid Cyprian	150	Puchalski Bolesław	239, 240,
			241, 244, 245, 246
Odillon	122, 255, 258, 262		
Olsztyński Marcin	7	Rayva	264
Ordynski Ryszard	167	Rakiewiczowa Aleksandra	24,
Orzeszkowa Eliza	464		93, 95
Osterwa Juljusz	16, 102, 220,	Rapacki Wicenty	96
	264, 272	Reinhardt Maks,	217
Ostrowski	35, 92	Réjane	25, 122
Ośniałowska Zofja - Kanoniczka	275	Rittner Tadeusz	166
	99	Robert	25
Owerllo Paweł	99	Roland Teodor	99, 272, 274
		Roland Witold	272
Pac	7	Rolandowa Helena	100, 265, 272
Paderewski Ignacy	109	Rolandowa Halina	265
Paliński Władysław	95, 261	Rolandówna Lalka	265
Palińska Marja	261	Roman Władysław	208
Palewiczowie Marjanostwo	265	Romanówna Joanna	101
Palewiczówna Marychna	265	Romanowski Mieczysław	220
Panczykowski	91	Rostafiński J. Prof,	81, 87
Pappée Stefan	181, 183	Rotter-Jarnińska A,	101, 272
Pawelski ks. jezuita	272		

	Str.		Str.
Rostand Edmund	220	Solska Irena	101
Różycki Antoni	101	Sonnenthal	25
Rudziński Władysł.	7	Sorma Agres	25
Rudzińska Kamila	7	Sosnowska Michalina	192
Rychter Józef	91	Sosnowski Józef	229, 230
Rydel Lucjan	11, 31, 142, 263	Stanisławski Stanisław	237
Rygier Edmund	108	Staniszewska Karolina	124, 125
Rutkowska Felicja	87, 187	Stefański Stanisław ks.	269, 272
		Staszkowski Władysław	200, 272
Samborski Bogusław	102	Statler Alfred	217
Sapalski Bolesław	260	Stępowski Janusz	232
Schiller J. C. Fryderyk	93, 213, 182	Stępowski Leon	230, 231, 232
Shakespeare	14, 42, 102, 106, 182, 185	Steinway	47
Siedlecki Franciszek	52	Straszewicz Ludwik	72
Siedlecka Bolesława	260	Strycharski Julian	247, 249, 250, 251
Siemaszkowa Wanda	138, 139, 140, 142, 145, 147, 148, 149, 150, 208, 235, 254	Stoma Władysław	187
Siemaszko Antoni	139	Sudermann	106
Siemaszko Wojciech	143, 147, 148	Sulima Helena	185
Siennicka Natalja	95	Sznebelin Irena	260
Sierpińska	138	Szwejnica ks. rek.	274
Sierpińska Wanda	138	Szyfman Arnold	95, 186, 229
Skarżyński Tadeusz	103	Szymanowski Wład.	92, 219
Skrzyński Kazimierz	127, 128	Świętochowski Aleks.	94, 183
Sliwiński Ludwik	92	Szczutowski	87
Sliwińska	265	Sikorski Wawrzyniec	91
Sliwicki Józef	98, 262, 272	Sichulski Kazimierz	263
Słowacki Juliusz	9, 106, 182, 186, 212, 213, 219, 220, 221, 229, 232, 263	Śnieżko Włodzim.	272
Sobiesław-Byszczyński	233		
Sokolicz Stefanja	189	Tarasiewicz Michał	35, 87, 208, 212, 214, 215, 216, 218, 219, 220, 221, 234
Solski Ludwik	35, 206, 208, 220, 223, 224, 225, 272	Tarnowska Stanisława Hr.	205
		Tarnowski Stanisław Hr.	219
		Tatarkiewicz Jan	24, 92, 217
		Tetmajer Włodzimierz	87
		Tetmajer Kazimierz	115
		Toeplitz Józef	163, 172

	Str.		Str.
Tomasik Janusz	103, 272	Wójcicczy Hipolit i Józefa	189
Traczewski Gustaw	180, 248	Wybrański Władysław	264
Trapszo-Krywultowa Tekla	98	Wyczółkowski Leoa	263
<b>Walewski Adolf</b>	165, 234	Wysocka Stanisława	87, 155, 179, 181
Walewska Leta	191	Wysocki-Godziemba Antoni	126
Waliszewski Kszimierz	175	Wyspiański Stanisław	31, 42, 102, 106, 108, 110, 111, 114, 141, 144, 150, 165, 166, 182, 185, 191, 225, 231, 232, 245, 250, 254, 263, 264
Walter Władysław	103	Wroczyński Kazimierz	221
Wasilewski	264	<b>Zacconi</b>	19
Wedekind	122	Zagórski Adam	51
Węglewicz ks. pref.	275	Zahorska Helena	272
Węgrzyn Józef	102	Zapolska Gabryjela	124, 125, 126, 127, 128, 129, 131, 134, 136, 141, 245
Węgrzyn Maks z żoną	208	Zawierski Bolesław	251, 253
Weryho Eugenia	100	Zdziechowska Marjanowa	87
Wierzbński Maciej	218	Zegadłowicz Emil	150
Wilgardowa Józefa	261	Zelwerowicz Aleksander	225, 226, 227, 246
Wilńska Stanisława (Wysocka)	182	<b>Zimajer Adolfina</b>	261
Winkler Marjan	91	<b>Żelazowski Roman</b>	217
Wiślański	108	Żeromski Stefan	264
Wiśniewscy Lucjan i Marja	260	Żółkowski Aloizy	91
Wiśnowska Marja	24, 94	Żóławski Jerzy	165, 166
Witkiewicz Stanisław	121, 122	Żołopińska Teofila	260
Wojnowska Paulina	206		
Wolter Karolina	25, 222, 255, 262		
Wolski Edward	91		
Wolska Bronisława	185, 239		
Wostrowski Ludwik	92		
Wójcicka Józefa	188		
Wójcicki Hipolit	242, 249		
Wójcicka Zofja (Chylewska)	189		















